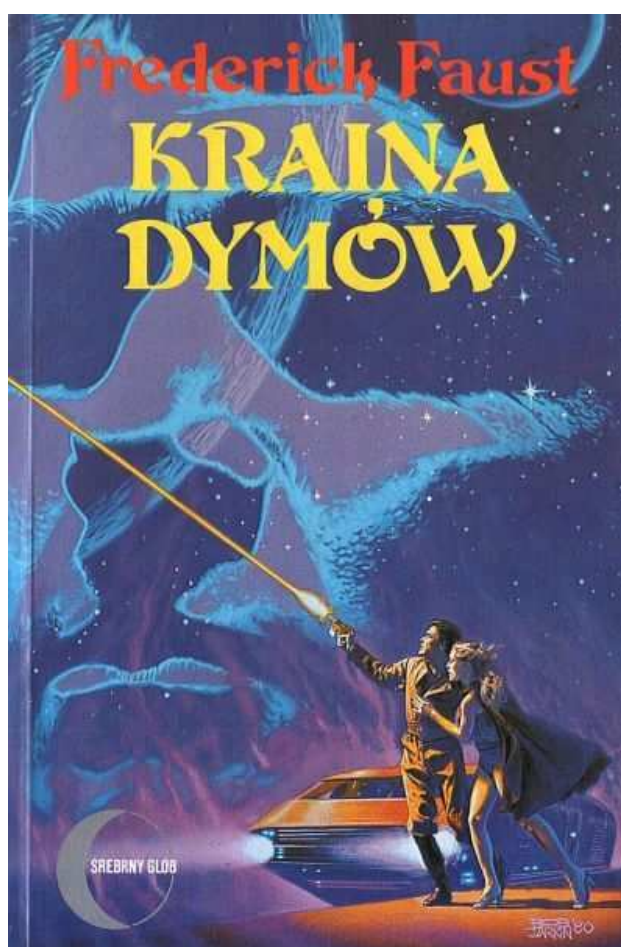


**FREDERICK FAUST**

# **KRAINA DYMÓW**

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SMOKING LAND  
PRZEKŁAD: ANNA POPŁAWSKA



WYDAWNICTWO „ALFA” WARSZAWA 1994

## Rozdział I

### WEZWANIE

Wielu ludzi w górach Bitterroot, od Apache Springs do Bullhide Crossing, uważa, że już trzecie pokolenie Cassidych, obojętnie stary czy młody, to kłamcy, nicponie i oszuści. Owszem muszę im przyznać rację, ale choć także nazywam się Cassidy, zbytnio się tym nie przejmuję.

Wołają na mnie Smoky Bill, czyli Dymek. Nigdy nie udawałem, że jestem czysty jak kryształ. Lubiłem sobie postrzelać i to nie tylko do kojotów. Od czasu do czasu zdarzało mi się również pobawić sznurem lub brzytwą. Nie raz, nie dwa bywało, że przysięgałem na Biblię, że jestem Mahatma Gandhi albo generał Grant, i nie były to moje jedyne kłamstwa.

Nikt z żyjących nie zaprzeczy jednak, że z Cassidy mi można konie kraść, ani nie powie, że któryś z nas kiedykolwiek zawiódł w potrzebie przyjaciela. Piszę to wszystko, abyście zrozumieli, co czułem tamtego popołudnia.

Ryczące bydło wracało właśnie z pastwiska. Nagle jakiś jeździec odłączył się od stada i skierował się ku mojej chacie na wzgórzu. Ponad odległymi szczytami słońce zachodziło na czerwono, a zmierzch powoli wypełzał z obu krańców horyzontu. Drzemałem sobie spokojnie, obudziłem się dopiero wtedy, kiedy ktoś usiłował przekrzyknąć zwierzęta, wołając mnie po nazwisku:

— Cassidy... Wzywa cię Cleveland Darrell. Cassidy...

Stanąłem w drzwiach i patrzyłem jak niski facet o tłustej, pozbawionej zarostu twarzy, w okularach na nosie przypominającym kartofel z trudem zsiada z wielkiego, srokatego konia. Nie znałem człowieka, przesunąłem więc pistolet do przodu. Gość zmierzający w moim kierunku przypominał napuszonego kogucika liliputka.

— Pan William Cassidy?

W odpowiedzi kiwnąłem głową.

— Jestem doktor Herbert Franklin. Możliwe, że słyszał pan o mnie. Przyjechałem do pana od Clevelanda Darrella.

Odsunąłem się na bok, aby mógł wejść do środka.

— Czy coś się stało Cleve'owi? — zapytałem.

— Jeszcze nie, ale jeśli nie znajdę człowieka, który okaże się jego prawdziwym przyjacielem, z Darrellem może być kiepsko. Czy jest pan tym, kogo szukam?

— Niech pan siada, doktorze, o, tam, na krześle. Proszę opowiedzieć mi wszystko po kolei. Jeżeli Cleve Darrell naprawdę jest w tarapatkach, to trafił pan pod właściwy adres. No, słucham.

Usiadł i patrzył na mnie swoimi jasnymi oczami. Poza gazetami niewiele w życiu czytałem. Próbowałem teraz wysilić całą moją pamięć, żeby sobie przypomnieć, skąd znam jego nazwisko. Już, już zaczynałem coś kojarzyć, również tę twarz.

— Doktorze Franklin, czy to nie pan wynalazł promień, który rozwała atomy i rozstawiła po kątach molekuły?

— Panie Cassidy, może w przyszłości moje imię nie pójdzie w niepamięć, a to dlatego, że rozpocząłem doświadczenia, które później kontynuował znacznie bardziej ode mnie uzdolniony badacz. — Wydał usta w śmieszny ryjek. — Mam tu na myśli naszego wybitnego przyjaciela, doktora Clevelanda Darrella.

Musiałem się chyba lekko uśmiechnąć, bo nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś z taką pompą będzie mówił o starym Cleve'ie Darrellu. W dawnych czasach, w szkole okręgowej,

znałem Cleve'a na tyle dobrze, żeby mu podbić jego wybitne oko, gdy on rozkwaszał mój mały wybitny nos. Oczywiście wiedziałem, że później zaszedł daleko, ale niespecjalnie przejmowałem się, kiedy gazety rozpisywały się o facecie, z którym kiedyś taplaliśmy się w jednym bajorku.

Powiedziałem, że chciałbym wiedzieć, dlaczego Cleve'owi grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

— Czy jest pan zorientowany w obecnych badaniach doktora Darrella? — rozpoczął sławny doktor Franklin. — Czy wie pan, czym on zajmuje się obecnie?

— Jeśli nie zmienił swoich zwyczajów, to o tej porze pewnie gra w makao.

— Nie to miałem na myśli — chrząknął. — Czy wie pan coś o doświadczeniach, które teraz prowadzi?

— Mają chyba coś wspólnego z elektrycznością. Nic więcej nie wiem. Jest w nich coś strasznie skomplikowanego i do zrozumienia, i do odkrycia.

— Krótko mówiąc, przez wiele lat ludzie starali się uwolnić niezmiernie pokłady wewnętrznej energii atomu. Po prostu chodzi o rozpad materii, gdyż jak do tej pory nie ma na to innej nazwy. Rozwiązanie Clevelanda Darrella polega na skierowaniu pewnego promienia na pewien gaz w pewnej określonej temperaturze... Ale lepiej i prościej bym to panu wyjaśnił przedstawiając kilka równań.

— Na pewno mógłby pan, doktorze Franklin. Coś mi mówi, że pan potrafi. Gdy tylko pana ujrzałem, wiedziałem, że jest pan matematykiem albo kimś takim. Całe życie podziwiałem matematyków. Podziwiałem ich i czciłem, ale miałem przez nich mdłości. — Sądziłem, że lepiej będzie, jeżeli go o tym uprzedzę, nie chciałem jednak, aby się obraził. — Po prostu ludzie rodzą się tacy a nie inni; lubią albo pająki, albo węże. Widziałem faceta, który brał pająka za nogi i głąskał meszek na jego tułowiu. No i dobrze, jeżeli ktoś akurat lubi pająki, to ja nie mam nic przeciwko temu. Osobiście jednak i od pajaków, i od matematyki dostaję dreszczy oraz mdłości.

— Ach tak, rozumiem — przytaknął doktor.

Widziałem jednak, że nic nie zrozumiał, bo zupełnie się nie przejął i kontynuował swój wywód:

— Za pomocą wykresu i kilku podstawowych wzorów mógłbym to panu wyjaśnić w bajecznie prosty sposób.

— Niech pan tego nie robi, doktorze — poprosiłem. — Wiem, że mógłby mi pan wszystko ładnie wytłumaczyć, ale niczego to nie zmieni. Tak jak dając komuś do dmuchania balonik zawsze wykryje się alkohol, bez względu na to, co to było i z czym było zmieszane, dokładnie tak samo ja poczuje matematykę już z daleka, nawet gdyby nosiła maskę albo była przebrana za Cygankę. Może wyglądać obiecująco i apetycznie, lecz gdy ją tylko wyniucham, od razu dostaję niestrawności i ciemne plamy zaczynają wirować mi przed oczami. Byłem u specjalisty od nerwów, u psychoanalityka, żaden z nich jednak nie potrafił mi nic poradzić na straszne koszmary o algebrze. Nawet ułamków nie lubię. Nie lubię ich, nie używam i nienawidzę o nich mówić. Sama myśl o przecinku dziesiętnym potrafi zepsuć mi cały dzień.

— Tak? — zdziwił się doktor. — Możliwe, że w pańskim przypadku mamy do czynienia z zatrzymaniem rozwoju na pewnym etapie, ale nie to jest teraz najważniejsze. Cały problem w tym, że musi pan zdać sobie sprawę z niesłychanej wagi prac prowadzonych przez Clevelanda Darrella, czego nie mogę panu bezpośrednio i dokładnie pokazać nie odwołując się do matematyki.

— Niech pan będzie tak niedokładny, jak pan chce, doktorze. Co się zaś tyczy bezpośredniej wiedzy, to jestem jak jastrząb, który zawsze krąży nad celem. Mówi pan, że Cleve pracuje nad czymś wspaniałym, wierzę panu na słowo. Wymyśla jakiś promień, który zakasuje wszystkie inne promienie. Jak widzę, ten promień ma także szansę zastąpić owsiany napęd,

to także rozumiem, ale równania w dalszym ciągu pozostaną dla mnie chińszczyzną. Powiedzmy, że ta bitwa między pajakami a węzami zakończyła się remisem. Cleve jest wspaniałym facetem i pracuje nad czymś równie wspaniałym. Wierzę, wcale nie musi mnie pan przekonywać. Teraz niech pan to wszystko sprowadzi do mojego poziomu i proszę mi powiedzieć, w czym mogę pomóc.

— Rozumiem, że jest pan starym przyjacielem doktora Darrella — zaczął Franklin.

— Nigdy w życiu nie miałem lepszego — odpowiedziałem.

Za oknami zmierzch skradał się już nad góry, a w dole widać było mrugające światła dużego domu na moim ranczo.

— To wszystko dzięki Cleve'owi Darrellowi. Gdyby nie on, byłbym jeszcze jednym włóczęgą na koniu — powiedziałem małemu doktorowi, uśmiechając się do moich wspomnień. — Nawet nie wie pan, jakim dobrym przyjacielem był Cleve. W dwóch bójkach na trzy zawsze dostawałem od niego bity. Zanim jednak pojechał na uniwersytet, zdradził mi tajemnicę owych zwycięstw. Nie było to nic wielkiego, prosta, mała sztuczka, lecz ileż ona wtedy dla mnie znaczyła! Jeden jedyny słabutki cios, hak, który zaczynał się jak przeprosiny, a kończył jak trzaśnięcie bata. Rozumie pan, mocne zakończenie.

Wyraźnie zbity z tropu doktor roześmiał się nerwowo. Sprawiał wrażenie człowieka, który wpadł ni stąd ni zowąd do głębokiej wody i rozpaczliwie poszukuje dna.

— Prawdę mówiąc, pewne pańskie niedomówienia sprawiają, że nie całkiem nadażam za pańskim tokiem rozumowania — przyznał. — Może gdyby mi pan zechciał wyjaśnić...

— Nie, doktorze Franklin — uciałem krótko. — Nigdy się pan tego i tak nie nauczy. Może pan całe życie studiować teorię wołtyżerki, a i tak nigdy nie będzie pan wiedział, jak należy porządnie siedzieć w siodle. To właśnie jedna z tych rzeczy, o których mówiliśmy przy okazji węży i pajaków. Wydaje mi się, że pan specjalnie nie gustuje w węzach.

— Nie, właściwie nigdy się tą dziedziną wiedzy nie zajmowałem. Kiedyś wprawdzie napisałem niewielki artykuł o płazach, który...

— Dobra, mnie to naprawdę nie przeszkadza. — Chciałem szybko zmienić temat. — Wróćmy jednak do Cleve'a. Co mogę dla niego zrobić?

— Może pan go bronić — usłyszałem odpowiedź.

Bardzo mi odpowiadało sprowadzenie rozmowy do wymiany krótkich zdań, takich jak to.

— Bronić go, przed czym?

— Przed niebezpieczeństwem. Mam wrażenie, że potrafi pan robić użytek ze swoich pięści, a nawet posługiwać się bronią.

— Niejeden raz przydały mi się ręce w jakiejś wymianie zdań, choć bywało, że wolałbym mieć ze sobą porządny kij — oświadczyłem. — Spluwa zaś bardziej mi leży niż twierdzenia i równania.

— W pełni się z panem zgadzam.

— Czy to możliwe, żeby stary Cleve naraził się komukolwiek? — zdziwiłem się. — Zawsze był cichy i nie wadził nikomu, chyba że ktoś się do niego przyczepił. Wtedy potrafił pokazać rogi. Czyżby poczęstował kogoś hakiem, którego tamten nie chce teraz zapomnieć?

— Hakiem? — Doktor zdziwił się i zaczął mówić, ważąc każde słowo. — Hm, właściwie to nawet nie tylko pojedynczy ludzie, ci spośród najbardziej wpływowych, ale całe państwa są zainteresowane kradzieżą wyników doświadczeń Darrella lub też zniszczeniem jego samego, zanim zdąży ukończyć swoje badania.

— Zniszczeniem go? — zapytałem.

— Tak.

— Chcą zamordować Darrella?

— Tak.

— Ale przecież państwa, wielkie, nowoczesne państwa, nie zajmują się ściganiem i

zabijaniem samotnych facetów, nawet gdyby któryś z nich wynalazł nowy rodzaj prochu czy sposób dostania się na księżyc. — Czułem się w obowiązku zaprotestować.

Niemalże słyszałem jak doktor kręcił głową:

— To jest zupełnie nowy przypadek, sprawa zaś jest tak wielkiej wagi, że nawet międzynarodowe prawo i etyka wydają się bez znaczenia! Zmienia ona cały obraz świata! Oczywiście wszystko to może się zdarzyć, jeśli eksperyment się powiedzie. Na razie jednak liczy się Cleveland Darrell, który sprzeciwia się jakimkolwiek środkom ostrożności. Jego szlachetna dusza i dobre serce nie potrafią zrozumieć niskich pobudek kierujących innymi. Jednym słowem, poprzez własną nieostrożność naraża swoje życie, co z kolei stanowi zagrożenie dla przyszłości całej naszej cywilizacji. Właśnie dlatego przyjechałem do pana. Wiele razy słyszałem, jak bardzo mile pana wspominał. Wydaje mi się też, że od czasu otwarcia jego laboratorium przy Srebrnej Tamie wolne chwile spędzał z panem, polując na terenie pańskiej posiadłości.

— Owszem, odwiedzał mnie.

— Z jego słów wywnioskowałem więc, że jest pan przyjacielem, na którym można polegać — kontynuował doktor Franklin. — Jeżeli się mylę, to przyznam szczerze, że nie wiem, dokąd miałbym się udać. Gdybym wynajął uzbrojonych ludzi, na pewno by ich przekupiono, nie ma bowiem tak wysokiej sumy, której nie wyłożyliby nasi wrogowie.

Cała ta sprawa zaczynała mnie interesować.

— Wiem, że przyjęcie mojej oferty wiązałoby się z porzuceniem przez pana pracy — zapewniał doktor. — W imieniu laboratorium chciałbym więc zaproponować panu wynagrodzenie wystarczająco wysokie, aby pokryć, jak myślę...

— Wynagrodzenie? — przerwałem mu. — Nie, doktorze Franklin. Tam, na dole, na ranczo, mam zarządcę i jego pomocników. Znacznie lepiej będzie im szło, kiedy mnie tu nie będzie. Specjalnie przecież mieszkam tu na górze. Jeśli tylko uda im się pozbyć mnie z rancza moje konto bankowe wzrośnie. Z radością odwiedzę Cleve'a w jego laboratorium i zaopiekuję się nim najlepiej, jak tylko potrafię.

Doktor był zachwycony. Mówił, że miał podstawy sądzić, iż okażę się takim wyjątkowym człowiekiem i prawil mi jeszcze wiele innych komplementów, aby dodać mi odwagi. Wszystko to jednak puszczałem mimo uszu.

— Od kiedy miałbym zacząć? — spytałem. — Jutro rano?

— Jutro rano? — Doktor sprawiał wrażenie przerażonego. — Panie Cassidy, opatrność zesłała nam pana na pomoc, najlepiej byłoby, gdyby pan mógł rozpocząć od zaraz, jeszcze dziś wieczorem!

Na te słowa zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Powiedziałem jednak, że pojedę z nim, i poszedłem osiodłać sobie konia.

## Rozdział II

### ŁKAJĄCY OLBRZYM

Później dane mi było przekonać się, że naukowcy nie przesadzają, a już na pewno nie doktor Franklin. Pojechałem z nim nad wielką tamę, do laboratorium zużywającego część energii dostarczanej przez wirujące turbiny elektrowni. Świącie wierzyłem, że przynajmniej tę jedną noc uda nam się z Darrellem przetrwać bezpiecznie. Jedyne, co mnie pociesza, to fakt, że nie wierzę, aby jakimkolwiek inny człowiek zdołał go wtedy ochronić.

Spróbuję jednak opowiedzieć tę naszą niesamowitą historię po kolei, z zachowaniem

wszystkich szczegółów. Jeszcze w czasie jazdy próbowałem wydobyć z Franklina jak najwięcej informacji.

— Przypuszczam, że wielu pracowników jest zatrudnionych w warsztatach i w fabryce — zacząłem.

— Około dwustu — pokiwał głową mój towarzysz.

— Czy podejrzewa pan, że niektórzy z nich trzymają z naszymi wrogami?

— Tak. Wszyscy, jak sędzę, przeszli na tamtą stronę.

— Podejrzewa pan wszystkich?

— Tak, każdego.

— Ale przecież na pewno jest jakiś stary, twardy, uczciwy nocny stróż — próbowałem z niego cokolwiek wyciągnąć. — No, niech mi pan nie mówi, że każdy z tych dwustu dał się przekupić!

Nie odpowiedział mi od razu. Podskakiwał obok mnie na swoim koniu, wywijając przy tym raz po raz łokciami. Utwierdzał mnie tym samym w przekonaniu, że po matematyku nie należy oczekiwać mistrzowskiej jazdy konnej.

— Panie Cassidy, chciałbym panu o czymś opowiedzieć.

— Proszę bardzo, tak długo, jak długo nie będzie pan mówił o żadnych iksach i igrekach do kwadratu, zamierzam pana słuchać z uwagą. A tak przy okazji, prawie wszyscy tutaj nazywają mnie Dymek, Darrell też. Pan również zaoszczędziłby w ten sposób wiele zbędnych słów.

Podziękował mi, ale nie chciał zwracać się do mnie używając przezwiska.

— Myślę, że widzi pan, jak wielką przyjaźń żywię dla Darrella? — spytał.

— Tak. Nie przychodzi mi na myśl żaden inny powód, dla którego wybrałby się pan dziś wieczorem na tę konną eskapadę. Coś mi mówi, że nie jest to pana ulubiony sposób podróowania.

— O, a jak pan to odgadł? — zdziwił się.

— Sam nie wiem — odpowiedziałem. — Tak mi po prostu przyszło do głowy.

— W istocie, rzecz to niebywała i godna podziwu, jaką intuicję posiadają ludzie w zakresie swojej specjalności — mówił doktor. — Jeśli uwierzy mi pan na słowo, że lubię Darrella jako człowieka oraz cenię ogromnie jako naukowca, a przy tym jeszcze weźmie pan pod uwagę fakt, że mój własny majątek w zupełności wystarcza mi na zaspokojenie wszelkich moich potrzeb, wtedy... — przerwał na chwilę, ja zaś siedziałem cichutko jak mysz pod miotłą. Rozumiałem, że doktor Franklin mówił mi rzeczy, których normalnie nie usłyszałbym nawet podsłuchując pod drzwiami jego sypialni. Widziałem, ile go to kosztuje wysiłku.

— Widzi pan, nie tylko jestem człowiekiem zamożnym, wierzę również, że jestem prawy i rzetelny, tego przecież wymaga moja praca. Panie Cassidy, jak już mówiłem, mimo tak luksusowej sytuacji, nawet ja musiałem walczyć z pokusą.

Jego głos zamarł i stał się zaledwie chrypliwym szeptem. Dopiero wtedy, na wpół ogłupiały zdałem sobie sprawę, z jakim wielkim, mimo niepozornej postaci, człowiekiem miałem do czynienia.

Powoli trawiłem jego słowa. W końcu zapytałem:

— Doktorze Franklin, czy zaoferowano panu gotówkę?

Chrząknął. Wyraźnie czuł się nieswojo. Po chwili odpowiedział na moje pytanie:

— Pieniądze stanowiły zaledwie część oferty. Jeżeli zaś chodzi o resztę, to mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, ale wolałbym o tym nie mówić.

Nie mogłem oczywiście nalegać. Zacząłem natomiast zastanawiać się, co za potężne złe moce uwzięły się na biednego Darrella, skoro prawie udało im się kupić duszę takiego dżentelmena jak Franklin — człowieka sławnego, bogatego i szlachetnego.

Jaka byłaby na przykład moja cena? Jeśli prawie udało im się przekabacić doktora Franklina, ze mną poszłoby im łatwo. Cały spocony zastanawiałem się, jakim pokusom nie

potrafiłbym się oprzeć oraz co, oprócz gotówki, mogło wchodzić w grę. Na takich rozmyślniach droga schodziła mi szybko. W końcu wjechaliśmy na wzniesienie, z którego widać było nasyp oddzielający taflę wody po drugiej stronie tamy oraz światła mrugające na lewym brzegu. Gdy zbliżyliśmy się do nich, przypominały rój rozżłoszczonych, wirujących pszczół. Zawsze tak wyglądają światła miasta, kiedy się do niego zbliża. Tamtej nocy owo złudzenie ruchu stanowiło dla mnie zapowiedź czekających nas kłopotów.

Zjechaliśmy ze wzgórza, potem znowu, niemalże bez słowa podjeżdżaliśmy pod górę, aż dotarliśmy do osady. Wzdłuż starannie wytyczonych ulic pobudowane były domy pracowników elektrowni. Otaczała je dobrze utrzymana zieleń. W ciemności nie mogłem wprawdzie tego zobaczyć, lecz wyraźnie czułem zapach trawy. Od czasu do czasu słyszałem też zraszacze trawników, gdy wyrzucały z siebie szumiące strumienie wody.

W sumie była to przyjemna chwila, ale cały jej urok jeszcze bardziej mnie przygnębiał, tak samo jak kwiaty na pogrzebie. Spokój zaś wydawał się jedynie pełną wyczekiwania ciszą, poprzedzającą mającą wkrótce rozpocząć się bitwę.

Zaprowadziwszy konie do firmowych stajni, udaliśmy się do głównego budynku, gdzie mieściły się laboratoria. Doktor Darrell miał do swojej dyspozycji różnego rodzaju pomieszczenia o powierzchni prawie pół hektara. Oprócz tego zapewniono mu także pieniądze na doświadczenia oraz ogromne zasoby energii dostarczanej przez elektrownię wodną. W zamian za to on w wolnych chwilach robił dla swoich pracodawców jakieś bzdury. Zastanawiałem się, skąd mieli pieniądze na utrzymywanie go. Zapytałem, czy robili to ze względu na zainteresowanie owymi doświadczeniami.

— Prawdę mówiąc, zarządzający firmą nie są dość inteligentni, aby docenić wagę tych badań — powiedział. — Nie wiedzą, co Cleveland Darrell ma w zanadru. Jednak nie utrzymują tego wszystkiego ani dla celów dobroczynnych, ani też dlatego, że szkoda im Darrella. Nic z tych rzeczy. Dzięki niemu zaoszczędzają każdego roku jakieś dwieście lub trzysta tysięcy dolarów. Poza tym oddał im kilka swoich wynalazków, które mogą sprzedać, a dzięki którym wyprzedzają resztę świata o jakieś sto lat.

Każde ze zdań wypowiedzianych przez doktora Franklina stanowiło jakby miarkę, za pomocą której próbowałem określić wielkość intelektu Darrella. Rósł on i rósł w mojej wyobraźni, aż przesłonił horyzont i sięgnął gwiazd.

Oczywiście wiedziałem od lat, że dotarł wysoko, nie przypuszczałem jednak, że jest gigantem. Kiedy spotykaliśmy się, rozmawialiśmy o łowieniu ryb, polowaniu i innych takich rzeczach. Był miłym towarzyszem na każdą porę. Tu jednak w grę wchodziło coś innego. Miałem go spotkać na jego własnym gruncie.

Ujrzałem go bardzo szybko. Weszliśmy do wąskiej, małej klitki, która była poczekalnią. W powietrzu unosiła się mieszanina wszystkich możliwych smrodów, jeden gorszy od drugiego. Chłopak wyglądający na zmęczonego, zapytał nas, jak się nazywamy, i wyszedł. Przeszedł jakiś facet z tygodniowym zarostem, też wyglądający na zmęczonego i warknął do nas, że mamy czekać. Zapytaliśmy jak długo, lecz on tylko odwrócił się do nas plecami, a odchodząc powiedział, że sam nie wie jak długo i że go to zupełnie nie obchodzi. Wyszedł, trzepocząc połamami białego fartucha, przypominającymi spódnicę.

Spojrzałem na Franklina, lecz on się tylko lekko uśmiechnął:

— Ludzie współpracujący z Clevelandem Darrellem często stają się spięci i nerwowi, jeśli tylko umysł pozwala im zrozumieć wielkość tego dzieła.

Przeszliśmy na galerię i stanęliśmy przy oknie. Czekaliśmy tam przez jakieś następne pół godziny. Nagle oślepił mnie błysk. Był on złoty i czerwony, wysłany chyba z odległej części budynku uderzył w przeciwległą skałę. Naprawdę zobaczyliśmy dokładnie to miejsce, w które trafił. Słyszeliśmy też dziwne wycie i grzmot, coś jakby połączenie chorego psa z piorunem. Widziałem też, jak jaśniejący punkt z boku przeciwległej skały rósł w mgnieniu oka. Dołem, po zewnętrznym okręgu tego koła skapywała po skale czerwonozłota strużka.

Gdy jej krople spadały w wodę zapory, natychmiast wylatywały z powrotem w górę, wybuchając tysiącami iskier i ponownie uderzały w leżącą pod nami skałę.

Doktor Franklin bardzo mocno wychylił się na zewnątrz, myślałem nawet, że wypadnie przez okno. Cały czas wydawał jakieś dziwne, niezrozumiałe pomruki.

Wielkie koło światła, które wciąż rosło i rosło, nagle zniknęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło. Doktor Franklin cofnął się i z ogromnym trudem dotarł do krzesła, na które ciężko opadł. Byłem zupełnie oszołomiony, zdążyłem jednak odwrócić się na czas, aby ujrzeć wysoką postać z długimi, wiszącymi rękami, w długim białym fartuchu spływającym aż do ziemi oraz... szklaną twarz zjawy. Dziwna ta figura stanęła w drzwiach i niezręcznie zdjęła szklaną maskę, spod której wyjrzała twarz Darrella. Bez trudu go rozpoznałem, choć nigdy w życiu nie widziałem u niego takiego wyrazu twarzy. Doktor Franklin uprzedził mnie, że wszyscy pracujący z Darrellem łatwo stawali się nerwowi. Jeżeli w istocie tak było, zdenerwowanie udzielało im się od szefa. Jego twarz stała się przezroczysta, a oczy zapadły się zupełnie i zniknęły pod brwiami. Wyglądał, jakby nie spał od miesiąca, ale jednocześnie miało się wrażenie, że mógłby pracować bez przerwy przez jeszcze jeden miesiąc. Rozumiecie chyba, że nie mogłem patrzeć, jak mój przyjaciel sam siebie wykańcza. Nie mogłem też przestać się dziwić, skąd w tym człowieku tyle energii! Pomachał ręką, pozdrawiając nas, lecz nie miał jeszcze dla nas czasu.

Właśnie wniesiono jakichś dwóch nieszczęśników. Obaj byli nieprzytomni. Szybko położono ich na podłodze pod oknem. Na głowy lano im wodę, a do gardeł brandy. Darrell też się nimi zajmował. Mimo że jego ruchy były szybkie i zwawe, wyraźnie go to jednak męczyło. Jednym z tych dwóch okazał się być niepokazny, nie ogolony człowieczek, ten sam, który przed pół godziną przypominał kasającego żółwia. W duchu cieszyłem się, że spotkał go taki los. Drugi był to prawie dwumetrowy facet o posturze byka i kanciastej szczęce. Właśnie w tej chwili odzyskiwał przytomność. Usiadł, potem wstał, a następnie rozplakał się, łkając jak niemowlak.

Na ten widok zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, ale nikt nie wydawał się zawstydzony tą sceną, żaden z kilkunastu laborantów w białych fartuchach, w których wyglądali raczej na personel sali operacyjnej. Z ich twarzy wyczytałem tylko zrozumienie i współczucie dla olbrzyma. Zaraz też pomogli mu opuścić pomieszczenie.

Potem wstał mały człowieczek z tygodniowym zarostem. Przeszedł przez pokój jak lunatyk, aż nagle gwałtownie zakrył ręką oczy, skulił się lekko, jakby z bólu, przechylił się na bok, upadł i znowu jak długi rozciągnął się na podłodze. Hm, może to i dziwnie zabrzmiało, ale jestem przekonany, że tym, co go powaliło po raz drugi, był wzrok Darrella, kiedy nagle spojrzał tamtemu prosto w oczy.

### Rozdział III

## WIELKIE DRZWI

Nie sądzę jednak, aby w spojrzeniu Darrella było choć trochę złośliwości. Z łatwością podniósł małego nie ogolonego człowieczka, nic dziwnego, bo krzepę ma niezłą, i podał go dwóm asystentom w białych fartuchach. Wyniesiono go. Nie były to żadne osobiste porachunki. Po prostu kiedy tamten popatrzył na Darrella, zobaczył go jako część czegoś tak wielkiego, że dosłownie ścięło go z nóg.

Darrell wyprosił z pomieszczenia resztę personelu. Szli bezmyślnie jak owce, oglądając się na Darrella, jakby oczekiwali, że zamieni się w niedźwiedzia grizzly albo coś jeszcze



gorszego! To dopiero respekt!

Kiedy zostaliśmy sami, doktor Franklin krzyknął:

— Darrell, udało ci się!

Cleve jednak podniósł rękę, trochę jakby grożąc mu, po czym podszedł do mnie, żeby się przywitać.

— Musiałem się ich wszystkich stąd pozbyć — powiedział. — Dlatego najpierw nie zwracałem na ciebie uwagi, Dymek. Czy coś się stało? Co cię tu sprowadza w środku nocy?

— Słyszałem, że tutejsze noce są nieco za długie jak na nerwy niektórych ludzi, Cleve. Zresztą to, co zobaczyłem, wszystko wyjaśnia. Coś ty takiego zrobił, że tamci twardziele trzęśli się jak galareta?

Zmierzył mnie głębokim spojrzeniem swoich jasnych oczu, tak samo jak dawniej, kiedy byliśmy dziećmi.

— Ciężko mi o tym opowiadać — mówił powoli. — Nie chcę też na ten temat rozmawiać. Powiem ci tylko, że obaj ci faceci od kilku miesięcy blisko ze mną współpracowali. Wierzyli we mnie, wierzyli w to, co robię, ale to właśnie nasza własna wiara może okazać się dla nas najcięższą próbą.

— Rozumiem — odrzekłem, sprowadzając wszystko do mojego poziomu. — Wcale nie obchodzi mnie, co się będzie działo, kiedy dwie drużyny wybiegają na boisko, nawet gdy to ekstraklasa. Kiedy jednak grają Wyoming Wasps, mało co ze mnie serce nie wyskoczy, całkiem tracę głowę. Tylko, do diabła, powiedz mi, co to tak walnęło?

Uśmiechnął się do mnie lekko, a potem zwrócił się do doktora Franklina:

— Widziałeś, Franklin?

Herbert Franklin siedział w kącie w fotelu i cały się trząsał. Głowa mu się kiwała, a ręce mocno ścisnęły oparcia. Nie podniósł wzroku, kiwnął tylko głową, mówiąc:

— Widziałem.

Fala gorącego, dusznego powietrza przeniknęła przez okna i wypełniła pokój. Jakoś dziwnie zapachniało, zacząłem się krztusić, a Franklin kaszłał. Podskoczył jednak i wskazał ręką na zewnątrz, w ciemną noc. Nie mówił przy tym ani słowa, uparcie wpatrując się w Darrella.

— Właśnie w tym rzecz — rzekł Darrell. — Nie wiem, jaka była temperatura. Dokładnie nie wiem. Przypuszczam jednak, że rano wszystkie drzewa w kanionie będą obumarłe.

Franklin zakrył oczy dłonią.

— Co jeszcze zginie? — zapytał ochryplym głosem. — Nie jutro, ale później. Żaden człowiek nie powinien z tym eksperymentować.

— Gdyby taka moc miała się dostać w ręce łajdaków, z pewnością nie — zgodził się Darrell. — Tyle, że wcześniej czy później, ktoś musiał do tego dojść.

Spojrzał znów na mnie, ale wyraźnie coś innego zajmowało go bardziej. Wiedziałem, że rozmyśla nad tym, czego dokonał tej nocy.

— Skoro przyjechałeś tu jako specjalista od nerwów, powiedz mi, jaką kurację proponujesz? — zwrócił się do mnie.

— Pigułki.

— Jakiego rodzaju pigułki?

— Takie o szybkim działaniu, ołowiane.

Zmarszczył brwi, posyłając mi nieprzyjazne spojrzenie.

Ja zaś wyjąłem swojego starego kolta, mówiąc:

— Pigułki, które dokładnie pasują do tego gardła.

— Odlóż to — zezłościł się. — Polujesz na kogoś, czy co? O co ci chodzi, Dymek?

— U mnie wszystko w porządku, ale ty wkrótce możesz mieć kłopoty — powiedziałem.

Spojrzał na Franklina ponownie marszcząc brwi:

— Wiem, że to twoja robota. Żałuję teraz, że kiedykolwiek powiedziałem ci o tamtym

podłym łajdaku. Bill, wynoś się stąd i wracaj do domu.

— Idź do diabła — podziękowałem mu. — Już się dzisiaj dość wytrząsałem w siodle i muszę odpocząć. Zostanę tu do jutra.

— W porządku, ale tylko do jutra — zgodził się. — Poza tym obiecaj mi, że wrócisz do siebie, by nie zaniedbywać gospodarstwa.

— U mnie wszystko idzie w porządku — stwierdziłem.

— Nie powinieneś być go fatygować, Franklin. — Darrell wzruszył ramionami. — Skoro jednak już tu jest, bardzo się z tego cieszę.

— Masz lekkiego pietra, co, Cleve? — spytałem.

Pokiwał głową.

— Dobrze więc — zdecydowałem. — Będę warował u twoich drzwi jak wierny pies. Gdzie dziś nocujemy?

— W laboratorium — odpowiedział.

— Poczekaj — nie zgodziłem się z nim. — Na dzisiaj ci starczy. Przestraszyłeś mnie na śmierć, rozwaliłeś skały na amen i zniszczyłeś wszystkie drzewa w kanionie. Czy to nie dość? Przynajmniej jak na jedną noc.

Zadrzał. Na ten widok i mnie przeszedł dreszcz, ponieważ Cleve'a trudno było nastraszyć. Odkąd go znałem, zawsze miał żelazne nerwy — przynajmniej kiedyś.

— Słuchajcie, jeżeli się nie mylę, to wszystko, co zrobiłem dotąd, dzisiejszego wieczora, jest tylko pierwszym krokiem. Następne są dużo, dużo ważniejsze. Do tego stopnia, że aż trudno mi o tym mówić!

— Cóż to takiego może być? — zapytał Franklin, a ja poczułem ulgę, widząc, że nawet ten matematyczny umysł nie jest w stanie wykombinować, o co Cleve'owi chodzi.

— Sam jeszcze nie potrafię nic wytłumaczyć — wyjaśniał Darrell. — Mam pewne powody przypuszczać, że w grę wchodzi tu coś nie z tego świata. Nie potrafię jednak nic powiedzieć. Nie znajduję słów, aby to nazwać. Zresztą, jak na razie, to tylko moja wyobraźnia. Ja sam muszę odnaleźć drogę albo zgubić się zupełnie. Nikt nie może mi towarzyszyć. Dlatego nawet się cieszę, że ktoś będzie stał na straży u moich drzwi.

Powietrze do tego stopnia wypełnione było strachami, że w każdym innych okolicznościach uznałbym to za dobry dowcip. Tyle że laboratorium naukowca nie jest odpowiednim miejscem na żarty. Powiedziałem więc po prostu:

— No dobra, pokaż mi te drzwi.

Nie zwlekając zabrał nas obu ze sobą. Drzwi, pod które nas zaprowadził, to było coś! Miały z dziesięć stóp wysokości i prawie tyle samo szerokości. Otwierał je jakiś skrzypiący mechanizm. Słyszając jego dźwięk, znowu poczułem się nieswojo, walnąłem więc w nie kilka razy dla dodania sobie odwagi. Były zrobione z porządnej stali, bardzo grube. Nie wierzyłem, aby cokolwiek mogło je wyważyć. Za nimi znajdowało się bardzo długie, wąskie pomieszczenie, oświetlone żarówkami elektrycznymi w grubych oprawkach, które zwisały z sufitu w przeciwnym końcu, dając wyjątkowo jasne światło.

Jak w każdym innym laboratorium i tu także panował charakterystyczny nieład. Szklane próbówki oraz inne takie rzeczy wały się w zlewie długim jak wanna. Na półkach stały szklane słoje i kolby z różnymi płynami i proszkami. Zawartość jednych była szara, drugich kolorowa, tak że całkiem spokojnie można by je ustawić obok pojemników z cukierkami w sklepie na rogu. Większość miejsca zajmowały duże żelazne skrzynie, najprawdopodobniej zawierające dynamo. Ich okropne, okrągłe główki wyglądały jak jakieś części ciała olbrzymów, których nawet w dzień dorosły człowiek by się przestraszył. Reszta sprzętów nie sprawiała wrażenia niebezpiecznych.

Tutaj Darrell powiedział mi coś, co chciałbym, żebyście zapamiętali, bowiem jego słowa okazały się prorocze:

— Tutaj właśnie zamierzam spędzić resztę nocy. Do rana mogę być martwy, ale może

uda mi się przeżyć.

Przerwał, a ja usłyszałem za plecami jakiś zduszony krzyk. Odwróciłem się więc, trzymając w dłoni odbezpieczony pistolet.

Jednak był to tylko doktor Franklin. Obiema dłońmi ścisnął się za gardło, jakby własnoręcznie próbował się udusić. Całkiem mu zresztą nieźle szło. Jego twarz nabrała wyglądu topielca.

— Nie mów tak, Darrell — wydusił z siebie Franklin. — Na litość boską, nie mów tak.

— Tak... — rzekł Darrell jeszcze bledszy i posępniejszy. — W imię Boga i w imię ludzkości muszę spróbować jeszcze tej nocy. Dymek, chcę, żebyś pilnował drzwi. Pokazałem ci klucz, który je otwiera. Nikomu nie wolno go przekreślić. Rozumiesz?

— Rozumiem — odrzekłem. — A co, jeśli jacyś goście przyjdą w odwiedziny drugimi drzwiami?

— Nie ma żadnych innych. Przez trzy długie lata przygotowywałem się do tej nocy. Specjalnie wybudowano to pomieszczenie, powinienem raczej powiedzieć „wysadzono” w skale za pomocą dynamitu. W litej skale.

— A okna? — znowu zapytałem.

— Sam zobacz.

Wystarczył jeden rzut oka. Gdzieś daleko w dole błyszczało lustro wody. Miałem ochotę wyrzucić coś i licząc sekundy czekać, aż wpadnie do wody.

— W porządku, wystarczy — powiedziałem odwracając się. — Nikomu nie wolno zbliżać się do tych drzwi, tak?

— Nikomu.

— A gdyby ktoś nalegał? — Chciałem się upewnić.

— Daj mi dwa, trzy surowe ostrzeżenia, a potem możesz, no, potem możesz...

— Mogę... — zaczynałem wczuwać się w powagę chwili.

— No, masz pistolet, a niewielu ludzi strzela lepiej od ciebie, Dymek.

— To znaczy, mam go zastrzelić?

— Do jasnej cholery! — wycedził przez zęby Darrell. — Czy ty nie rozumiesz po angielsku?

Jego słowa nie obraziły mnie. Nie, po prostu przestraszyłem się, widząc go, człowieka o stalowych nerwach, do tego stopnia zdenerwowanego. Z tego, co mówił, wyraźnie było widać, że chodzi mu o zabicie intruza czy intruzów. Musiał mieć po temu wystarczające powody. Nie odezwałem się. Ufałem mu całkowicie, choć przyznam, że w duszy zupełnie wyraźnie widziałem Dymka Cassidy stojącego na stołku pod szubienicą, ze sznurem założonym na szyję, i słyszałem jakiś głos pytający, czy chciałbym jeszcze coś powiedzieć, zanim opuścę ten smutny padół łez.

Darrell wyprowadził nas na zewnątrz.

— Wiesz, gdzie jest klucz — powiedział. — Jeśli byłoby ich tak wielu, że nie dałbyś sobie rady, przyciśnij ten guzik, o ten, tu. Powinno to im dać wystarczające ostrzeżenie. A gdyby nawet wtedy nie zrezygnowali z otwierania drzwi — między zaciśniętymi wargami na ułamek sekundy błysnęły jego wyszczerzone złowrogo zęby — nigdy więcej nie pojawią się już ani na ziemi, ani w niebie.

No, daję słowo, nie była to żadna czcza gadanina. On naprawdę myślał o kompletnym unicestwieniu.

Następnie wszedł do tamtego pomieszczenia, żegnając się z nami zaledwie kiwnięciem dłoni! Słyszałem, jak zazgrzytał mechanizm zamka i sześciocalowe drzwi z narzędziowej stali oddzieliły od nas Darrella.

## Rozdział IV

# KIEDY RUSZYŁA GÓRA

Przez chwilę gawędziłem z doktorem Franklinem, ale nic udało mi się nic z niego wyciągnąć. Był oszołomiony, a po jego twarzy nadal błąkał się ten sam co wcześniej, straszny, topielczy wyraz.

Zapytałem go, czy miał w ogóle zielone pojęcie, o co chodziło Darrellowi. Odpowiedział, że owszem, ale nie może o tym rozmawiać.

— Dlaczego nie? — spytałem.

Aż mi się w głowie zakręciło, kiedy usłyszałem odpowiedź. Niesamowite. Pomachał ręką nad głową i drżący palec wskazujący skierował na sufit. Wiedziałem jednak, że to nie sufit chciał mi pokazać, ale coś ponad sufitem, chciał pokazać niebo.

— Ponieważ świętokradztwem byłoby samo wymienianie nazwisk tych lekkomyślnych głupców, którzy próbują odebrać Bogu Wszechmogącemu, co do niego należy — powiedział.

Następnie obrócił się na pięcie i zostawił mnie samego.

Przez dłuższą chwilę gapiłem się na drzwi, za którymi zniknął. Potem zacząłem szukać jakiegoś sposobu na zabicie czasu.

Tak się złożyło, że pomieszczenie, w którym siedziałem, było poczekalnią. Na środku stał stół, a na nim leżały jakieś ilustrowane magazyny. Na widok głębokiego skórzanego fotela ustawionego tuż obok od razu poprawił mi się humor. Z przyjemnością rozsiadłem się wygodnie i sięgnąłem po coś do czytania. W całym tym pliku musiał się znaleźć choć jeden krótki kryminał. Kryminały to moja ulubiona lektura, trup w pierwszym rozdziale bardzo mi odpowiada. Potem wszystkich się podejrzewa, aż zjawia się sprytny detektyw, właśnie w chwili, kiedy wszystko wygląda jak najgorzej dla niewinnych.

Najpikantniejsze wydają mi się morderstwa w rodzinie. W zbrodnię wplątani są ojciec, matka, braciszek, siostrzyczka, nie mówiąc już o starej ciotce inwalidce. Takie historyjki mrożą krew w żyłach. Niekiedy po przeczytaniu czegoś podobnego musiałem zostawiać na noc zapalone światło w sypialni.

Niecierpliwie więc przerzucałem magazyny w poszukiwaniu czegoś ciekawego. Z góry jednak byłem skazany na niepowodzenie. Żaden normalny człowiek nie czytałby tych gazet. Aż się w nich roiło od sprawozdań towarzystw naukowych, a nieliczne zdjęcia czy ilustracje zamieszczone w nich przedstawiały jakieś niesamowite maszyny i przyrządy. Przejrzałem wszystko, przekonując się, że dla mnie nic tam nie ma. Znowu rozłożyłem się w wygodnym fotelu. Zacząłem drzemać, a tysiące niespokojnych myśli przebiegało przez głowę.

Podłoga drżała mi pod stopami, mózg również wydawał mi się trząść jak galareta od przejmujących, wyciszonych pomruków, które dochodziły zza grubych stalowych drzwi. Do tych wszystkich myśli dołączyła jeszcze świadomość, jaką potęgą jest elektryczność, i zacząłem zastanawiać się, czy kiedykolwiek maszyny zajmą miejsce ludzi, a ci ostatni staną się tylko maszynami gorszego rodzaju.

Z rozmyślań wyrwało mnie trzaśnięcie drzwiami. Zobaczyłem doktora Franklina, który wrócił w wielkim pośpiechu. Miał na sobie szlafrok i spadające ranne pantofle.

Pomachał ręką w moim kierunku:

— Jak ten głupiec zostawiłem w laboratorium okulary. — Podeszedł do tamtych drzwi.

— Chyba nie chce pan wejść tam do środka? — zapytałem.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli! — wykrzyknął doktor.

Zatrzymał się w pół drogi, spojrzał na mnie i roześmiał.

— Ach, rozumiem — rzekł. — Waruje pan jak dobry pies, co? W porządku, ale niech

mi pan z tego powodu nie czyni trudności. Darrell jest przyzwyczajony do tego, że mam zwyczaj składać mu wizyty o różnych porach dnia i nocy.

Dalej szedł w kierunku drzwi, a ja uspokojony powróciłem do swojej wygodnej pozycji w fotelu. Kiedy jednak zobaczyłem, jak sięga po klucz, krzyknąłem, wiedziony nagłym przeczuciem.

Doktor Franklin gwałtownie odskoczył i odwrócił się w moją stronę. Bładość jego twarzy stanowczo nabrała odcienia zieleni. Powrócił też na nią poprzedni topielczy wyraz. Wziąłem go na muszkę. Bez wstydu przyznaję, że broń drżała mi w dłoni. Wam też by się pewnie nie bardzo podobało, gdyby nagle ulubiony pies skoczył wam do gardła.

Franklin zaś rozpostarł szeroko ramiona i całym ciałem mocno przywarł do ściany. Wstałem, ruszyłem ku niemu. Nie skulił się, obserwował mnie tylko, gwałtownie mrugając oczami, oniemiały ze strachu.

Sam nie wiem skąd, ale dokładnie wiedziałem, gdzie mam szukać. Po prostu wsadziłem rękę do prawej kieszeni jego szlafroka i wyjąłem to, czego szukałem: pozornie nieszkodliwy pistolecik, naładowany nabojami kaliber 45, w rzeczywistości był bardzo groźny. Wolałbym raczej dostać normalną kulkę ze zwykłej broni. Strzał z kolta przeszywa ciało na wylot, a kulka wysłana z takiego parszywego kurdupelka potrafi przytulić się gdzieś do kości i pozostać w środku.

Schowałem broń doktora do własnej kieszeni. Nie umiałem zdobyć się na to, aby spojrzeć mu w oczy. Obserwowałem tylko jego stopy, kiedy chwiejnym krokiem wracał, skąd przyszedł. Jestem pewien, że stąpał na gumowych nogach! Nie podnosiłem wzroku, dopóki nie usłyszałem trzaśnięcia drzwi.

Wróciłem na swoje miejsce i opadłem na fotel. Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze i zimno. Gdy w czasie jazdy doktor mówił, że ludzie „z zewnątrz” prawie go przekupili, nie chciałem uwierzyć. Myślałem wtedy, zresztą nadal tak uważam, że w życiu nikt nie wyznał mi nic w równie szczerzy i odważny sposób. Teraz ten sam człowiek, który raz oparł się pokusie, który się przyznał, ten sam człowiek po raz wtóry nie potrafił przewyciężyć zła.

Niechby to był ktokolwiek inny, ale nie ten wspaniały matematyczny umysł w niepozornym ciele. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Moje palce wciąż wyczuwały w kieszeni pistolet, z którym Franklin zbliżył się do zakazanych drzwi, gotów zastrzelić Darrella!

Co miał zamiar zrobić później? Jak po wszystkim chciał wrócić do siebie? Przejść obok mnie i mojego profesjonalnego kolta z długą lufą?

Widocznie czekała go tak wysoka nagroda, że zdecydował się na popełnienie zbrodni, a zaraz potem na śmierć jako karę za swój czyn.

Cieszyłem się, że do niczego nie doszło. Biedny doktor Franklin... Nie, nie gardziłem nim, ani też na myśl o nim nie czułem specjalnego obrzydzenia. Normalnie dziękowałem Bogu, że bez względu na wysokość nagrody obiecanej Franklinowi, to jego, a nie mnie, usiłowano skusić.

Czy jakiś poważny profesor o mądrych, poczciwych oczach miał przyjść do mnie z workiem pełnym klejnotów, aby przekupić mnie, żebym odszedł od tych drzwi?

Powiedziałem sobie, że jeśli ktokolwiek wejdzie do poczekalni, dam mu pięć sekund na wycofanie się, a potem zaczynam strzelać. Wcale też nie miałem zamiaru liczyć powoli.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Może byli w stanie czytać na odległość moje gwałtowne myśli? Albo wystarczyła zielona z przerażenia twarz doktora Franklina, kiedy wyszedł po spotkaniu ze mną, aby nabrali respektu przed Dymkiem Cassidy. W każdym razie spokojnie spędziłem długie godziny, siedząc w zimnie, aż wzeszedł księżyc, a jego błękitna poświata zetknęła się ze smugami światła elektrycznego, sączącymi się przez okna.

Miałem ogromną ochotę wychylić się i kilka razy głęboko zaciągnąć się uczciwym, nienaukowym powietrzem Gór Skalistych, lecz po tych całych koszmarnych godzinach nie śmiałem oderwać oczu od drzwi wyjściowych z poczekalni.

Nic się jednak nie działo. Nie, nieszczęście czyhało z drugiej strony, za grubymi stalowymi drzwiami, które niby to miały strzec biednego Darrella.

Tysiące razy próbowałem uporządkować i utrwalić w pamięci wydarzenia tamtej chwili. Wydaje mi się, że wszystko ciągnęło się całą, długą minutę, choć wiem, że nie mogło trwać dłużej niż ułamek sekundy. Ów krótki moment rozciągnął się niesłychanie, ponieważ z czymś równie niesamowitym nie miałem nigdy w życiu do czynienia. Jeżeli chcecie odczuć coś podobnego, musicie spróbować wyobrazić sobie hałas, który jest siłą, i siłę, która jest światłem. Usłyszałem dźwięk, poczułem także siłę miażdżącą mnie, tak jak głębina miazdzy spadające ciało. Zdałem sobie też sprawę, że coś jeszcze poraziło moje oczy albo mój umysł, niczym złotopurpurowa błyskawica. To coś przeleciało nad doliną i uderzyło w przeciwległą skałę.

Potem nagle straciłem przytomność. Oślepiłem i ogłuchłem, w jednej chwili wszystkie moje zmysły stępiały.

Ocknąłem się pod strumieniem zimnej wody, którą ktoś lał na moją twarz. Gdzieś w odległości słyszałem jakieś głosy, powoli stawały się one coraz bliższe. Ktoś tam mówił, że niemożliwe, abym przeżył, że na pewno jestem martwy. Następnie inny, spokojny nieznanym głosem mówił, że znalazłem się w samym epicentrum wybuchu.

Jeżeli wiecie, co to jest epicentrum, to jesteście mądrzejsi, niż ja byłem wtedy. Później dowiedziałem się, że dźwięk przemieszcza się jako fala, a ja wylądowałem dokładnie na grzbiecie takiej grzmiącej fali. Możecie mi wierzyć albo i nie, wasza sprawa. Ja sam chciałbym wierzyć, ale nie potrafię. To znaczy, widziałem zbyt wiele wybuchów i za dużo miałem do czynienia z dynamitem, żeby w ogóle zrozumieć teorię fal!

Na jakąś teorię musieli się jednak powołać. Do takiego wniosku doszedłem, kiedy udałem się na miejsce, gdzie dawniej było laboratorium Darrella. Zobaczyłem tam tylko jedną stalową ścianę, a w samym jej środku moje stalowe drzwi, wszystko powyginane w fale i to całkiem głębokie. Wyglądało to jak kawałek gumy albo model ulepiony z kitu.

Lita skała tworząca pozostałe ściany została wymieciona. Nie można tego inaczej nazwać. Po prostu nie zostało po niej ani śladu. Zamiast ściany widziałem jak na dłoni samo surowe wnętrze góry.

Dopiero na trzeci dzień po wybuchu pozwolili mi wrócić w tamto miejsce. Jeden jedyny raz spojrziałem na całe rumowisko i zapragnąłem nie wracać tam nigdy więcej.

Zapytałem, ile ton nitrogliceryny musiano użyć, aby wysadzić w powietrze taką górę. Dotarło do mnie, że nitrogliceryna to pestka w porównaniu z tym, co wystrzeliło w pracowni Clevelanda Darrella. Żaden z mędrców nie umiał rozsądnie wytłumaczyć, co spowodowało tamten wybuch. Nie potrafili nawet zgadywać.

Zobaczyłem doktora Franklina i zadałem mu to pytanie. Byliśmy już na tyle pogodzeni, aby ze sobą rozmawiać. Kiedy go odszukałem po eksplozji, wyglądał na przestraszonego i schorowanego. Powiedziałem mu wtedy prosto z mostu:

— Franklin, bez względu na to, co chciał pan zrobić tamtego wieczora i jakie siły nieczyste panem zawładnęły, myślę, że wystarczyło spotkanie ze mną i odechciało się panu cokolwiek na resztę nocy. Nie sądzę, aby przyłożył pan rękę do tego ognia piekielnego, który później wybuchnął. Proszę mi więc powiedzieć, jak pan myśli, co to mogło być?

Drżącą ręką złapał mnie za ramię i podziękował za to, że w niego wierzę. Ledwo słyszalnym głosem powiedział, że gdyby tylko przyszło mu do głowy, kim byli tamci łajdacy i czego użyli do spowodowania wybuchu, on pierwszy by ich postawił przed sądem i oskarżył. Zdradził mi jednak złowrogim szeptem, że nie wyklucza, iż to maszyny, własnoręcznie skonstruowane przez Darrella, mogły obrócić się przeciwko niemu samemu. Z tonu jego głosu odgadłem, że wszystko przypisywał działaniu jakiejś ponadludzkiej siły.

Co się zaś tyczy Clevelanda Darrella, nikt nawet nie spytał, jaki los go spotkał. Tylko głupiec mógłby się nad tym zastanawiać. Zbudowali mu pomnik na wierzchołku tego, co pozostało z góry, i stoi on tam po dziś dzień.

## Rozdział V

### KAWAŁEK DREWNA

Kiedy cały świat już o nim zapomniał, ja jeden wciąż pamiętałem o Cleve'ie Darrellu. Nie przychodzi mi łatwo wymazywanie z pamięci starych przyjaciół. Nie potrafiłem też sobie wybaczyć, że tamtej jedynej nocy, gdy wydarzył się wypadek, to właśnie ja stałem na straży i to właśnie ja nie zdołałem wszystkiemu zapobiec.

W sumie nie sądziłem, że ktoś z zewnątrz maczał w czymkolwiek palce. Jak sobie zapewne przypominacie, sam Darrell jasno postawił sprawę, że do rana albo będzie martwy, albo nie. Chyba musiał mieć coś na myśli, skoro tak powiedział, do diabła. Nie dokończył wprawdzie, ale chodziło mu wyraźnie o śmierć albo życie. Nie miałem więc wątpliwości, że on sam dopuszczał do siebie myśl, że doświadczenie, które przeprowadza, może zakończyć się klęską i kosztować go życie. Przypuszczałem, że dokładnie tak się stało.

Jednak oprócz tego rozsądnego wytłumaczenia jakieś niejasne podejrzenie zaległo w mojej głowie. Od czasu do czasu dawało ono znać o sobie i zdarzało mi się budzić w środku nocy z przekonaniem, że Darrell został zamordowany.

Nie przejmowałem się jednak niczym i jak zwykle zajmowałem się moim ranchem, które prosperowało lepiej niż kiedykolwiek. Minęło już sześć miesięcy, kiedy w gazecie natknąłem się na sensacyjną wiadomość. Dotyczyła ona kawałka drewna znalezionego przez turystę w górach w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Żaden poszukiwacz ani stary wyjadacz nie zwróciłby nań uwagi, ale turyści zawsze mają oczy szeroko otwarte i potrafią znaleźć rzeczy, które potem zadziwiają miejscowych. Nie był to zwykły kawałek drewna.

Po pierwsze były na nim wyryte następujące słowa:

#### NA PÓŁNOC OD ALASKI, DO KRAINY DYMÓW I

Tu kończył się napis, przerwany w pół słowa, jak gdyby ten kawałek był tylko częścią większej całości, a zdanie miało gdzieś ciąg dalszy.

Jednak to nie ze względu na treść napisu znalezisko to zaciekało naukowców i trafiło do Smithsonian Institute, gdzie umieszczono je w specjalnej szklanej gablocie. Przyczyną całego zamieszania okazał się rodzaj owej substancji, z której to coś było zrobione. Nie miało to bowiem nic wspólnego z drewnem!

To znaczy wyglądało jak drewno, jego struktura przypominała drewno, a ciężar właściwy również mieścił się w odpowiednim przedziale. Było jednak twardsze od stali, niemal tak twarde jak korund. Naukowcy doszli nawet do wniosku, że ten, kto wykonał napis, musiał posługiwać się diamentowym ostrzem!

Wyglądało więc na to, że znalezisko musiało jednak być drewnem, lecz nasączonym jakąś zagadkową substancją, której nikt wcześniej na ziemi nie odkrył. Taka wiadomość zapiera dech w piersiach, co?

Nic była to ani skamieniała smoła, ani nic innego znanego badaczom. Po prostu ktoś coś wstrzyknął w kawałek drewna. Naukowcy odłupywali maleńkie okruszyny z tego jedyne kawałka niby-drewna, wsadzali cząsteczki do próbek i wysnuwali długie teorie o atomach z dodanymi lub odjętymi elektronami czy inne podobne brednie, albo też o lukach w przestrzeni wypełnionych sam już nie wiem czym. Wszystkie ich wypociny można znaleźć w gazetach i czasopiśmie z tamtego okresu. Właśnie w jednym z takich magazynów znalazłem coś, co mnie poruszyło do tego stopnia, że natychmiast porzuciłem sielskie życie na ranchu i wyruszyłem na północ.

Artykuł w magazynie zawierał bardzo dobre zdjęcie tego dziwnego kawałka drewna. Pokazane były obie strony, lecz mnie zainteresowała tylko ta z napisem. Kiedy spojrzałem na fotografię, doznałem nagłego olśnienia, jakby jakiś długo zacinający się tryb w moim mózgu niespodziewanie zaskoczył. Bez wątpienia był to charakter pisma Darrella.

Nie było to wyrobione pismo naukowca, tylko bazgroły wyrostka, które znałem z zeszytów szkolnych. W tamtych czasach często je oglądałem i zawsze cieszyłem się, bo przynajmniej pod tym względem byłem lepszy od Cleve'a.

Tak bardzo mnie to zafrapowało, że aż udałem się do grafologa. Pokazałem mu fotografię i poprosiłem, aby porównał ją z próbką pisma Darrella naukowca, pochodzącą z jednego z jego listów do mnie. Powiedziałem mu też wszystko, co pamiętałem o tym, jak Darrell pisał dawniej.

Ekspert był człowiekiem uprzejmym i tolerancyjnym. Do mojego pomysłu podszedł bardzo ostrożnie i chyba uczciwie. Powiedział mi potem, że stworzyłem sobie pewną wizję, czemu nie należało się dziwić po moich strasznych przejściach w laboratorium Darrella. Ostrzegł mnie też, że nie mogę pozwolić, aby ta wizja całkowicie mną zawładnęła, aby nie stała się ona moją obsesją. Według niego powinienem gdzieś wyjechać i odpocząć...

Wyraźnie uważał mnie za lekko zwariowanego faceta, ponieważ wierzyłem, że rozpoznałem pismo Darrella w tym, co było wyryte na kawałku drewna znalezionym w Kolumbii Brytyjskiej. Bo przecież, czy Darrell był w ogóle kiedykolwiek w Kolumbii Brytyjskiej?

Nie było to wcale głupie pytanie. Ponieważ odpowiedź na nie brzmiała negatywnie, od razu powinienem był odrzucić moją szaloną hipotezę. Upierałem się jednak przy swoim, zwłaszcza, że nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Wreszcie doszło do tego, że nie potrafiłem już myśleć o niczym innym.

W końcu postanowiłem sprawdzić moją wariacką teorię.

Już wcześniej rozpytywałem wszystkich o Krainę Dymów położoną na północ od Alaski. Nikt nigdy o niczym podobnym nie słyszał, choć rozmawiałem z wieloma starymi poszukiwaczami złota i innymi, którzy przewędrowali śniegi polarne wzdłuż i wszerz. Zdobyłem także książki i w nich szukałem, bo ktoś mi powiedział, że może znajdę to miejsce w eskimoskich bajkach i opowieściach ludowych. Wygrzebałem wiele zaklęć magicznych, ale ani jednej wzmianki o Krainie Dymów.

Kiedy już się człowiek tyle namęczy, natrudzi, niełatwo przyznać się, że to wszystko niepotrzebne, że zabrnęło się w ślepą uliczkę. Ja też nie chciałem dopuszczać do siebie podobnych myśli. Doszedłem do wniosku, że w języku eskimoskim istnieją nazwy czy zwroty, które zostały niewłaściwie przetłumaczone na angielski. Tak oto, ku mojemu własnemu zdumieniu, długie wieczory prześlęczałem nad dziwnymi książkami, brnąc przez transkrypcję fonetyczną języka Eskimosów.

Nic nie przychodziło mi łatwo, zdołałem jednak przyswoić sobie sporą liczbę słów i całych wyrażen. Później okazało się to błogosławieństwem. Ucząc się, wyculiłem swój słuch i przygotowałem umysł, dzięki czemu, kiedy nadszedł odpowiedni czas, eskimoski nie sprawiał mi już trudności.

W ten sposób doprowadziłem się do stanu, w którym myśli o Darrellu i o piekielnym kawałku drewna, nie będącym drewnem, zawładnęły mną całkowicie. Sprzedałem wtedy ranczo i wyruszyłem na północ. Powiecie pewnie, że powinienem był wiedzieć, że nie było żadnych szans, aby Darrell uszedł z życiem. Wybuch na pewno rozerwał go na strzępy. Jednak tamtej nocy ujrzałem (na własne oczy) jak niemożliwe staje się możliwe. Wystarczy tylko wspomnieć o piorunie zesłanym przez człowieka. Zresztą nigdy nie myślałem zbyt logicznie, a na dodatek wydaje mi się, że miałem już dość pracy na ranczo.

Bez względu na okoliczności udało mi się nieźle zarobić na sprzedaży ziemi. Spakowałem się jak na wojnę i wyruszyłem w drogę donikąd...

Muszę teraz nieco przyspieszyć tempo mojej opowieści. Przyjemnie byłoby porozwo-



dzić się na temat białej Północy, długo mógłbym mówić o tym, jak uczyłem się powozić psami na długich, północnych szlakach oraz o ludziach, których poznałem.

W ten sposób spędziłem ponad rok. Pod koniec znalazłem się w Point Barrow, na szlaku, który wcześniej przemierzyłem już tyle razy, że starzy wyjadacze śmiali się na mój widok i zaczęli przygadywać.

Rzuciłem się z motyką na słońce, a im dalej brnąłem, tym bardziej się pograżałem. Spotykałem facetów, którzy mówili: „No, oczywiście, słyszałem o Krainie Dymów. To było tak...” Po czym następowała długa opowieść, która kończyła się zrywaniem boków... ze mnie. Śmiali się, że moje przezwisko Dymek wzięło się od tej Krainy Dymów i mojego długiego tam pobytu. Opowiadali wiele kawałów na mój temat i na temat mojego dziwnego hobby, o ile taką zniewalającą potrzebę, taki nieodparty pęd można nazwać hobby.

Wszystko to jednak było nieważne. Pewnego dnia pracujący u mnie od trzech miesięcy młody Eskimos zaczął rozmawiać z nieznanym, który pożywiał się przy naszym ognisku. Chłopak, śmiejąc się, powiedział łamaną angielszczyzną, że w końcu spotkałem człowieka z Krainy Dymów.

## Rozdział VI

### **KREW NA ŚNIEGU**

Nie zauważyłem nic dziwnego, bo przecież już od bardzo dawna przebywałem na tym skrawku Arktyki. Tamtejszy krajobraz zapamiętałem jako szarobury bezkres. Lód na lądzie, na morzu, niebo, wszystko było jednolitego koloru kawy z mlekiem. Takie tło sprawia, że przedmioty znajdujące się w zasięgu ręki wydają się większe, niż są w rzeczywistości.

Psy były już nakarmione i przygotowaliśmy posiłek dla siebie, kiedy pojawił się nieznanomy. Przykucnął przy ognisku i gestem poprosił o jedzenie. Tacy są Eskimosi. Zawsze wyciągają rękę, jeżeli mogą cokolwiek dostać. Nieważne, co to jest, może być i byle co. Póki jego bilans jest dodatni, prawdziwy Eskimos nie narzeka. Muszę jednak przyznać, że obcych traktują tak, jak chcieliby, aby i ich traktowano. Gdyby nie wieczne zimno, wioska eskimoska stanowiłaby idealne schronienie dla każdego włóczęgi. Nigdy nie musiałyby nawet ruszyć małym palcem. Zapytałem kiedyś mojego Eskimosa, jak zachowałby się jego współziomkowie wobec takiego wiecznego obiboka. Długo zastanawiał się nad odpowiedzią, aż w końcu stwierdził, że jeżeli taki człowiek trafiłby między nich, musieliby go przyjąć i znieść jego ciężar.

W każdym razie byłem przyzwyczajony do eskimoskiego zebrania i nie zwracałem szczególnej uwagi na przybysza. Po prostu podzieliłem nasze jedzenie na trzy porcje, jemu dając najmniejszą. Szczęśliwie wystarczyło dla wszystkich. Podczas posiłku zacząłem mu się bacznie przyglądać. Mówił dialektem, którego nigdy nie słyszałem w czasie moich wędrówek wśród Eskimosów. Przez cały tamten rok starałem się jak najlepiej poznać ich język i mówiłem już całkiem biegle. Od czasu do czasu spotykałem jednak jakiegoś z odległej wioski i wtedy musiałem zgadywać, aby go zrozumieć. Ten koleś był najgorszy z nich wszystkich. Po drugie, nie wyglądał na czystego Eskimosa. Powiedziałbym, że jest w trzech czwartych biały. Miał szerokie ramiona i sylwetkę typową dla białego. Do tego trzeba jeszcze dodać jego podłużną twarz i wklęsłe policzki. O eskimoskim pochodzeniu świadczyły szerokie kości policzkowe i niskie, cofnięte czoło. Zarost też miał już biały, co bardzo rzadko spotyka się u Eskimosów czystej krwi.

Po trzecie jego futro. Wyglądało wspaniale, lecz było inaczej skrojone i uszyte niż te,

które wcześniej widziałem. Zrobiono je chyba z morskiej wydry, ale nie chciało mi się wierzyć, żeby nawet najbardziej nieuświadomiony Eskimos z odległej wioski nosił tak niesamowicie kosztowne futro, zamiast je sprzedać.

Po czwarte, i chyba najważniejsze, miał ze sobą psa, który nie przypominał żadnego zwierzęcia, jakie kiedykolwiek widziałem; coś jakby krzyżówka małego niedźwiedzia polarnego z wilkiem. Jego sierść była koloru brudnożółtawobiałego, często spotykanego w krajo-brazie tej północnej krainy. Musiał ważyć jakieś osiemdziesiąt kilogramów, albo nawet więcej. Miał wąską, niedźwiedzią głowę i szyję, a pierś i wspaniałe łapy jak u wilka.

Głównie właśnie z powodu psa rozważyłem możliwość zatrudnienia nieznanego u siebie. Kiedy dowiedział się, że ruszam na południe, gotów był przyjąć moją propozycję. Przejadły mi się już śniegi, miałem dość stawiania czoła zawiejom, a na dodatek to wszystko przez jakieś senne majaki.

„Na północ od Alaski, do Krainy Dymów”, tak długo słowa te brzmiały mi w uszach, że robiło mi się niedobrze na samą myśl o nich. Miałem nawet lekkie nudności na samo wspomnienie Cleve'a Darrella, choć przecież bardzo go lubiłem. Co gorsza, przez cały ten czas rozsądek podpowiadał mi, że Darrell zginął tam, na południu, a pokruszone zbocze było jedynym świadkiem jego ostatniej drogi i pieczęcią na jego grobie.

Tak, wracałem na południe, gdzie nietrudno znaleźć dobre miejsce na wiejską kryjó-wkę... Nie miałem ochoty gadać. Wolałem znowu być biednym, uczciwym człowiekiem i poganiać bydło. W naszych czasach drogo kosztuje, jeżeli ktoś chce być uczciwy i pracowity!

Powiedziałem więc nieznanemu Eskimosowi, drugi chłopak posłużył mi za tłumacza, że stanowczo zamierzam podążyć na południe. Obcy wydawał się być zainteresowany. Chciał zobaczyć południe, jak mówił, a pragnął tego tak bardzo, że zgodził się u mnie pracować za niezwykle marne pieniądze. Miał również psa, którego sam mogłem obejrzeć, i nie było wątpliwości, że nie dorównywał mu żaden z moich psów, w całej Alasce zresztą żaden nie mógł się z nim równać. Zapytałem, czy jego pies dobrze pracuje w zaprzęgu, co go rozbawiło. Śmiech nieznanego mniej przypominał śmiech Indianina, a raczej pogardliwy śmiech białego, który wie lepiej. W porównaniu z nie zepsutymi prymitywnymi rasami, biali mają paskudne maniery.

Kiedy już przestał się śmiać, powiedział, że mogę zaprząć moje psy z jego białą bestią jako przewodnikiem, a i tak on sam uciągnie tyle, co cała reszta razem. Jeżeli chodzi o pożywienie, to jego pies co pięć dni zjadałby jednego z tamtych, tak więc po upływie czterdziestu dni moich psów by już nie było, dla tego zaś nie trzeba by żadnej żywności, a sanki mogłyby pokonać wiele setek mil.

Właściwie myślałem, że przesadza, ale nie słyszałem zbyt wielu ludzi, którzy robiliby to równie sprytnie.

Później pokazał nam, jak jego pies potrafi pracować, i muszę przyznać, że było na co popatrzeć. Bez słowa komendy, tylko za pomocą bardzo nieznacznych ruchów głową i ręką, przeganiał wielką białą bestię przez śnieg, tu, tam, do przodu, do tyłu, zatrzymał psa, znowu kazał biec, kierował w prawo i w lewo, a wszystko przy maksymalnej szybkości. Długi, rytmiczny krok psa przypominał mi galop konia pełnej krwi. Po skończonym pokazie zwierzę i jego pan podeszli do nas. Bestia polizała trochę śniegu, po czym położyła się u stóp Eskimosa. Pies oddychał z łatwością, na wpół przymknął ślepią, jak gdyby tego rodzaju zajęcie odpowiadało mu.

Tak, takie zwierzę trafiało się raz na sto, albo raz na tysiąc, może nawet raz na dziesięć tysięcy. Obaj od razu urosli w moich oczach. Zacząłem szanować Eskimosa już za samo posiadanie takiego psa. W dłuższej podróży żaden by mu nie dorównał. A przecież mieliśmy do pokonania cały kontynent. Schyliłem się, aby obejrzeć psie łapy. Ich poduszki były dwa razy większe niż normalnie. Zwierzę uniosło lekko jedną łapę z rozsuniętymi palcami i wtedy zobaczyłem, że nie były one obciążone zwykłą różową skórą, tylko prawie do samych pazu-

rów pokrywała je obrosnięta sierścią błona pławna!

Nie mogłem wprost oderwać oczu i zapytałem nieznajomego, czy jego pies potrafi pływać.

— Pływać? — odpowiedział. — Kiedy dotrzemy do otwartej wody, sam nałapie sobie ryb!

Coraz bardziej mnie to wszystko intrygowało.

Po skończonym posiłku piliśmy herbatę. Do blaszanego kubka nieznajomego wsypałem trochę cukru, który podziałał na niego jak alkohol. Zaraz rozweselił się i nabrał animuszu. Wcale się nie dziwiłem, ponieważ kilkakrotnie już widziałem podobną reakcję u ludzi, którzy nie przywykli do żadnego innego pożywienia poza mięsem.

Kiedy miał już niezły humor, zapytałem go, skąd pochodzi.

— Tam, daleko — odpowiedział, wskazując ręką na północ.

— Ale tam, daleko, nie ma nic oprócz lodu. — Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, nieznajomy skulił się i wbił głowę w okryte futrem ramiona. Nic się nie odezwał, tylko spod przymrużonych powiek rzucił mi złe spojrzenie.

Wtedy właśnie mój drugi Eskimos, wciąż śmiejąc się, jak już mówiłem, złapał obcego i krzyknął:

— Ho, ho, więc on przybywa z Krainy Dymów! Kraina Dymów! — Ani na moment nie przestawał śmiać się do rozpuku.

Musicie wiedzieć, że na dalekiej północy wszyscy, którzy mieli ze mną do czynienia, zawsze tylko czekali, żeby jakiegokolwiek niezwykle rzeczy od razu wsadzać do mojej Krainy Dymów. Jeśli ktoś złapał niezwykłą rybę, na pewno przyplłynęła ona z Krainy Dymów. Kiedy przelatywał jakiś dziwaczny ptak, to też musiał być z Krainy Dymów. Od samej tej nazwy robiło mi się niedobrze.

Jednak na naszym nieznajomym te dwa słowa wywarły nieoczekiwane wrażenie. Nie roześmiał się jak inni, wyszczerzył tylko dwa rzędy zdrowych zębów, które dojrzałem poprzez jego zarost, i warknął:

— Łżesz! Łżesz!

Tymczasem chłopak, który ze śmiechu tarzał się już po śniegu, usiadł, ze zdziwienia rozdziawił gębę i dusząc się jak idiota, zawołał:

— On przybywa z Krainy Dymów!

Ponieważ taki śmiech jest zaraźliwy, sam też trochę się śmiałem, wcale nie z tego głupiego dowcipu. Jednak w jednej chwili przestało mi być wesoło, daję wam słowo. W odpowiedzi na żart Eskimosa nieznajomy wyciągnął bowiem metrowy nóż i próbował dźgnąć tamtego w gardło. Zrobił to umyślnie, bowiem rzucił się na chłopaka, który z przerażenia zamarł na śniegu. Na szczęście przypadkowym ruchem ręki udało mu się odparować cios. Zerwał się na nogi, drugą ręką chwycił się za ramię, dzięki któremu uniknął śmierci, i zaczął uciekać. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś biegł tak szybko po kopnym śniegu, niczym lekkoatleta w kolcach po tartanie.

Wielki nieznajomy uczynił parę kroków, jakby chciał go ścigać, kiedy widocznie pomyślał o czymś lepszym. Kiwnął głową na psa. Biała bestia prychnęła z niecierpliwością, po czym ruszyła w pogoń.

Tego było już dla mnie za wiele. Na ogół nic mieszałem się w sprzeczki i utarczki pomiędzy Eskimosami, ale nie mogłem stać z założonymi rękami i patrzeć, jak pies ludożerca rozrywa na kawałki chłopca. Na dodatek coś mi mówiło, że ten biały diabeł nie po raz pierwszy poluje na taką zdobycz. Wyjąłem więc wszechmocnego kolta, wycelowałem prosto w obcego i zawołałem:

— Zawróć psa!

Nie odezwał się do mnie ani słowem, tylko spojrzął spode łba, kiwnął głową i choć odległość była znaczna, zobaczyłem, że pies niechętnie zatrzymuje się, a potem powoli wraca

do swojego pana.

Nasza tak miła wymiana zdań jeszcze się nie skończyła. Gdy pan Eskimos przestał zajmować się chłopcem, cała jego uwaga zwróciła się na mnie. Lekko pochylił się do przodu i bez słowa natarł na mnie. Jego głupota zdziwiła mnie. Nawet jeśli pochodził z jakiejś bardzo odległej dziury na północy, musiał przecież słyszeć o broni palnej. Przez cały czas trzymałem go na muszce i choć strasznie nie chciałem strzelać, wyglądało na to, że będę musiał; bo albo on, albo ja. Posłałem kulę prosto w jego pierś!

Naprawdę strzeliłem w jego pierś. Widziałem nawet miejsce, w które kula uderzyła z ogromną siłą. Napastnik na chwilę zatrzymał się w pół kroku, lecz nie upadł. Usłyszałem też dziwny dźwięk, w niczym nie przypominający złowrogiego pluśnięcia pocisku wchodzącego w ciało. Odgłos był głuchy, twardy, jakby młotek uderzył w grubą deskę.

Od tego, co zobaczyłem, zakręciło mi się w głowie. Cały świat dokoła wirował. Mimo wszystko posłałem jeszcze jedną, identyczną kulkę dokładnie tam, gdzie trafiła pierwsza.

Wtedy usłyszałem morderczy, triumfujący śmiech rozwścieczonej ludzkiej bestii i zobaczyłem, jak mój przeciwnik skacze na mnie z ręką odchylną do góry, gotowy zadać mi śmiertelny cios.

## Rozdział VII

### **PRZESTRASZONY KLAMCA**

Zawsze wiedziałem, że niewielu rzeczom na świecie można w pełni ufać, ale wszechmocny kolt stanowił wyjątek. Nosilem go tuż pod sercem już od wielu lat i ponieważ dobrze o niego dbałem, a ponadto byłem ostrożny, nigdy mnie nie zawiódł, przenigdy!

Zdałem sobie sprawę, że chyba po raz ostatni cokolwiek na tym świecie mnie zainteresowało. Dzięki jakiemuś instynktowi, nic w tym nie było z szybkiego refleksu, rzuciłem do góry rewolwer. Chciałem odparować cios diabelskiego noża. Wtedy po raz pierwszy dopisało mi szczęście. Długa, ciężka lufa pistoletu uderzyła Eskimosa dokładnie w palce osłonięte rękawicą. Ręka uzbrojona w nóż opadła i ostrze, zamiast wbić się między moje żebra, uderzyło mnie tylko lekko w pierś. Tamten stracił czucie w palcach, a nóż wyslizgnął mu się z bezwładnej dłoni. Ostrze, wbite pionowo w zamarznęty śnieg, drżało i połykiwało.

Ja tymczasem złapałem napastnika. Chciałem zgnieść mu żebra, lecz bez skutku. To tak, jakbym ścisnął stalową beczkę. W tej samej chwili zrozumiałem, dlaczego żadna z wystrzelonych kul nic mu nie zrobiła. Miękki, ołowiany nabój ma trafić w jeszcze miększe ciało, a ten przybłąda miał na sobie coś w rodzaju zbroi.

Z równym powodzeniem mogłem mocować się z beczką, za to pierwszy uścisk przeciwnika niemal skrzył mi kark. Krew napłynęła mi do oczu, myślałem, że zaraz buchnie. Wszystko widziałem jak przez czerwoną mgiełkę. Poprzez purpurową zasłonę zobaczyłem psa ludożercę zbliżającego się do nas długimi susami. O tak, teraz tutaj miał coś do załatwienia. Uwiercie mi, z jego wilczych ślepiów, błyszczących jak koraliki, aż biła radość. Kły bestii wydawały mi się prawie tak długie jak nóż jego pana. Trzasnąłem zwierzę prosto między ślepie. Pies całym swoim ciężarem runął na nas i upadliśmy w śnieg.

Znalazłem się pod Eskimosem, który jedną ręką trzymał mnie za gardło, a drugą podniósł ze śniegu nóż z takim spokojem, jakby wyjmował szpilkę z poduszeczki. Poprzez jego zarost widziałem wyszczerzone zęby. Wtedy walnąłem go w twarz lufą mojego pistoletu.

Kolt to najporęczniejsza mała spluwa na świecie. Wyczołgałem się spod oszołomionego, zwiotczałego i trzęsącego się Eskimosa po to tylko, aby stanąć oko w oko z białym psem

krażącym blisko wokół nas. Zwierzę miało opuszczony łeb, jakby chciało zrzucić coś, co przesłaniało mu ślepią.

Wziąłem bestię na muszkę, ale nie strzeliłem. Przypomniałem sobie bowiem, że charakter psa zależy tylko od tresury i że dzikość tego tutaj nie jest właściwie jego winą. Cieszyłem się, że coś mi nie pozwoliło go zabić. Prawie w tej samej chwili zwierzę doszło do siebie. Usiadł na tylnych łapach, lekko przechylił łeb na bok, po czym spojrzał na mnie i na mój pistolet w najbardziej przebiegły sposób, jaki sobie można wyobrazić. Jak gdyby zamierzał powiedzieć mi: Tego nie było w podręczniku. Muszę się najpierw nauczyć, zanim będę mógł odpowiadać.

Kiedy odwróciłem się do niego plecami, a on ani drgnął, doszedłem do wniosku, że przynajmniej z jego strony nie grozi mi już niebezpieczeństwo. Tym samym wielki ciężar spadł mi z serca, bo wolałbym zmierzyć się z jeszcze dwoma facetami w zbrojach niż z tym sprężystym, szybkim jak błyskawica cielskiem, z jego zębami jak noże, wyszczerzonymi, gotowymi kłapać i rozerwać mnie.

Teraz mogłem już całą uwagę poświęcić nieznanemu, który nadal nie odzyskał jeszcze przytomności. Leżał, charcząc i mamrocząc do siebie, rozchyliłem więc jego futrzane okrycie. Moje palce natrafiły na drewno lub coś bardzo podobnego. W porządku, ale drewno nie jest w stanie spłaszczyć naboju wystrzelonego z kolta kaliber 45. Dlatego odsłoniłem większy kawałek jego zbroi. Czułem się tak, jakby piorun we mnie strzelił. W głowie mi się zakręciło. Spoglądałem bowiem na ten sam rodzaj drewna, na którym wyskrobano: „Na północ od Alaski, w kierunku Krainy Dymów”.

Tak, ta sama faktura, ten sam szarobrazowy kolor, ale twarde jak najtwardsza stal! Z całej siły walnąłem w zbroję kolbą pistoletu. Usłyszałem głuchy odgłos, jednak żadnego śladu. Na powierzchni nie powstało najmniejsze wgłębienie.

Materiał był tak twardy, że wydawało się niemożliwe, aby ktoś go uszkodził. A jednak zdołano wywiercić w nim niewielkie otworki. Przechodziło przez nic sznurowadło z mocnego jelita. W ten sposób zbroję można było zakładać i zdejmować.

Rozwiązałem sznurowadło, wyciągnąłem je, a następnie jednym mocnym pociągnięciem pozbawiłem pana Eskimosa jego zaczarowanej zbroi. Gdy upadł twarzą w śnieg, natychmiast przyszedł do siebie. Zaraz wstał i zaczął zakrywać futrem swoją nagą pierś, aby nie narazić się na przejmujące zimno.

Ja w tym czasie schowałem kolta i sięgnąłem po leżący w śniegu nóż, cudo z szaroniebieskiej stali, o ostrzu zwężającym się ku czubkowi jak soplek lodu. Był giętki jak brzoza witka, ale wchodził we wszystko jak w masło. Wziąłem go do ręki. Biały pies nadal wydawał się neutralny. Mając takie argumenty mogłem już podejść do człowieka z Północy. Próbując mówić dialektem jak najbardziej podobnym do jego własnego, powiedziałem mu, że gdyby usiłował uciekać, przebiję go na wylot jego własnym nożem.

Nie odpowiedział nic. Zamrugał tylko oczami, ale wiedziałem, że zrozumiał.

— A teraz — zacząłem — niech twój język nie próbuje łąć. Skąd to masz? — Wskazałem zbroję leżącą na śniegu.

— Znalazłem to nad brzegiem morza. Unosiło się wraz z drewnem na fali. Poszedłem, aby nazbierać z morza drewna na ognisko i właśnie to znalazłem.

— No i zacząłeś od łgarstw — powiedziałem. — Na ognisko nie wybiera się drewna z wody. Jeżeli drewno unosi się na falach, znacznie więcej musi leżeć suchego w bezpiecznym miejscu na plaży. Dobra, zaczynamy jeszcze raz. Powiedz mi, gdzie to znalazłeś.

— Rozumiem. Musisz być jednym z mędrców. To prawda, że nie znalazłem tego wśród kawałków drewna unoszących się na wodzie. Któregoś lata pracowałem w Point Barrow przy rozładunku statku. Wszystko znalazłem na statku i zabrałem.

W sumie całkiem nieźle kłamał. Łganie nie sprawiało mu żadnych trudności, miał wrodzony talent. Był jednym z tych, którzy patrzą ci prosto w oczy, mówią śmiało i konkretnie,

choć wiedzą, że nie ma w tym ani krzty prawdy.

Wszystko we mnie aż wrzało, wściekłem się. Zaczynałem nabierać pewności, że ten ślad może mnie dokądś zaprowadzić. Nie potrafiłem ułożyć tych wszystkich kawałków w jedną całość, ale mogłem już przysiąc, że Kraina Dymów istnieje, choć nie wiedziałem gdzie.

— Dwa razy powiedziałeś mi nieprawdę. Jeżeli zrobisz to po raz trzeci, wbiję ci w serce twój własny nóż i zostawię cię tak na pożarcie wilkom. Chyba że moje psy zajmą się tobą, zanim skonasz. Ten biały też pewnie będzie chciał skosztować. Powiedz mi prawdę. Przywiozłeś to z Krainy Dymów.

Skulił się nagle, jakby ugięły się pod nim kolana.

— Przywiozłeś to z Krainy Dymów — powtórzyłem. — Powiedz mi prawdę.

— Nic nie wiem — powiedział, jednak jego oczy biegały niespokojnie. Kiedy ktoś nie potrafi znieść czyjegoś spojrzenia, od razu staje na straconych pozycjach.

— Pochodzisz z Krainy Dymów — powiedziałem. — Dlatego chciałeś mnie zamordować. Nie chcesz, aby tajemnica się wydała.

— On się ze mnie śmiał — powiedział. — Dlatego próbowałem go zabić.

— Ja się z ciebie nie śmiałem — stwierdziłem.

— Byłem rozwścieczony, kiedy rzuciłem się na ciebie — skłamał. Tak, był wyjątkowo uzdolniony. Zawsze potrafił znaleźć odpowiedź.

Podniosłem więc nóż i czubkiem dotknąłem jego piersi. Poruszył się niespokojnie. Wtedy poczułem, że ostrze przecięło skórę, a z rany zaczęła płynąć cienka strużka krwi.

— Mniej dla mnie znaczysz niż wściekły pies — rzuciłem. — I teraz zamierzam cię zabić, tak jak to obiecałem. Dam ci jednak jeszcze jedną szansę. Przybyłeś z Krainy Dymów.

Jego oczy na przemian to błyskały, to zachodziły cieniem, raz chciał się na mnie rzucić, a zaraz potem zmieniał decyzję. Doszedł widocznie do wniosku, że nóż znajduje się zbyt blisko jego serca, aby podejmować tego rodzaju próby.

Nagle mięśnie twarzy i całe jego ciało zwiotczały i Eskimos osłabł. Zachwiał się jak dywan, którym porusza lekki wiatr, jak mokry, ciężki dywan, dopiero co powieszony na sznurze po praniu. Czekałem, widząc, że nie może wydusić z siebie ani słowa.

W końcu odezwał się:

— Tak, pochodzę z Krainy Dymów. Czarodzieje i diabły ci powiedzieli. Czarownice szepnęły ci do ucha.

Gdy skończył, serce we mnie prawie zamarło. Każde z wypowiedzianych słów sprawiało mu taki ból, że byłem pewien — tym razem nie kłamię. W myślach wróciłem do laboratorium i tej strasznej nocy, kiedy nastąpił wybuch. Miałem wrażenie, że od tamtej chwili minął nie rok, ale zaledwie dziesięć sekund.

Wstąpiły we mnie nowe siły, bo wydawało mi się, że tym razem musi się udać. Takie uczucie często towarzyszy ludziom, którzy szukając czegoś niepewnego, nagle dojrzą błysk prawdy, jaśniejącej jak lampka na końcu korytarza, będącej świadectwem, że ich pomysły nie są takie całkiem szalone.

Nie chciałem na tym skończyć mojej rozmowy z Eskimosem. Zaczynałem go dalej ciśnąć. Oczywiście spieszyło mi się bardzo do pytań o Cleve'a Darrella, przebywającego w tym tajemniczym miejscu. Trafiłem tu jednak na przeszkodę trudną do pokonania.

— Powiedziałem już i tak za dużo ze strachu przed śmiercią — rzekł Eskimos. — Już umieram. Czuję na sobie ich dłonie i ich ogień. Zabij mnie, kiedy chcesz, jestem gotowy na śmierć. Umrzeć od kuli albo od pchnięcia nożem to przyjemność w porównaniu z tym, co oni mi zrobią! Potną mnie na dziesięć tysięcy kawałków, a każdy kawałek będzie umierał oddzielnie.

## Rozdział VIII

# SZCZĘŚCIE I STRZELBA

Musiałem powstrzymać swoją ciekawość. Ten człowiek przeszedł już i tak więcej, niż mógł znieść. Padł na niego dosłownie blady strach, przestałem więc go męczyć.

Dla bezpieczeństwa związałem mu z tyłu ręce, stosując przy tym wszystkie węzły, jakie znałem.

W powietrzu czuć było zbliżającą się zamieć i musiałem zająć się przygotowaniem igloo z wejściem osłoniętym od wiatru. Uporałem się ze wszystkim, zanim zaczął wiać prawdziwie straszny wiatr, który runął na nas jak fala lodowatej wody. Północne sztormy mają taką siłę, że gdy człowiek usiłuje stać pod wiatr, to tak, jakby przedzierał się pod silnym ostrzałem. Dlatego byłem bardzo zadowolony, kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu. Nawet gdyby zamieć miała trwać przez kilka dni, nie miałem najmniejszego powodu do obaw. Żywności powinno wystarczyć i dla nas, i dla psów. Poza tym byłem na tyle blisko Point Barrow, że po wszystkim mogłem uzupełnić zapasy. Krótko mówiąc, już czułem się panem sytuacji. Mój jeniec nie narzekał. Położył się, odwrócił twarzą do ściany i wkrótce zasnął. Spał snem nieszczęśliwego psa. Jeszcze przez wiele godzin jego ciałem wstrząsały dreszcze, słyszałem też jak łkał i jęczał, wszystko przez sen. Raz nawet usiadł sztywno, spoglądając wokół przerażonymi oczami, cały zlany potem. Położył się i zasnął po raz drugi.

Rano związałem go tak mocno, jak jeszcze żaden jeniec nigdy nie był związany. Myślałem sobie, że skoro był mordercą, chciał mnie zabić i prawie mu się to udało, to wolno mi było zrobić z nim, co mi się podobało. Przecież zasłużył na śmierć. Po prostu byłem zdecydowany wydobyć z niego wyznanie bez względu na metody, których musiałbym użyć. Nawet przy pomocy stali i ognia. Wiem, niezbyt przyjemnie to brzmi. Siedziałem więc i pilnowałem, aż sen okazał się silniejszy. Wtedy w końcu położyłem pod siebie nóż, rewolwer trzymałem pod pachą, wyciągnąłem się i zasnąłem. Nie mogłem spać długo. Obudziłem się, usiadłem, ziewnąłem. Nie byłem wypoczęty, bo w takim domku z lodu jest duszno. Wkrótce musiałem wyjść na zewnątrz, aby nakarmić psy. Burza huczała głośniejsz niż kiedykolwiek. Otrząsnąłem się. Wtedy przypomniałem sobie wydarzenia poprzedniego dnia, Krainę Dymów i Cleve'a Darrella, znowu poczułem ogromne zniecierpliwienie. Bóle i dolegliwości już mi przeszły, odwróciłem się, aby spojrzeć na jeńca.

Nie było go!

Zadrzałem, ale doszedłem do wniosku, że na pewno wkrótce wróci. Nikt nie wytrzymałby takiej zawieruchy. Ani człowiek, ani zwierzę w ogóle nie miałoby odwagi wychodzić na zewnątrz w taką pogodę. On zaś tak bardzo chciał umrzeć, że pewnie spróbował, ale wystarczy kilka minut, aby przekonał się o własnej głupocie. Obmyśliłem sobie pogardliwy uśmiech, jakim go powitam, gdy przyjdzie z powrotem, wykończony i na pół zamarznięty. Myślałem też o drugim Eskimosie, co też stało się z biednym chłopcem po tym, jak umknął straszному psu, czy bardzo cierpiał, zanim zamarzył w tej strasznej zawierusze.

Siedziałem i czekałem jeszcze przez jakąś godzinę. Gdy minęła, wiedziałem, że już go nie zobaczę. Bez względu na to, gdzie się znajdował, jeżeli nie zdołał uwolnić swoich rąk, na pewno był już martwy.

Nic miałem specjalnych wyrzutów sumienia z jego powodu. Powiedziałem bowiem sobie, że czymkolwiek lub gdziekolwiek by była Kraina Dymów, ten łajdak na pewno stamtąd uciekł. Właśnie dlatego tak bardzo pragnął udać się na południe, dlatego zgodził się na taki marny zarobek i dorzucił jeszcze swojego psa zabójcę. Tak, musiał pozostawić za sobą zbrodnię. Zbrodnię tak straszną, że wygnała go ona z naszego schronienia, na pewną śmierć w

zamieci.

Oczywiście przeklinałem siebie, że nie udało mi się wydrzeć jego sekretu. Teraz już wiedziałem, że Kraina Dymów istniała i że można było tam dotrzeć. Ale nic więcej.

Wiedziałem, że na północy leżało zaledwie kilka wysp, z których żadna nie była Krainą Dymów, a dalej pusty obszar do bieguna północnego stanowiło zamrożone morze. Jaki głupiec ryzykowałby wyprawę w nieznaną, po lodzie, na niepewnym, bezlitosnym szlaku?

Zamieć trwała cały następny dzień. Gdy tylko się uspokoiło, wyszedłem na zewnątrz. Pierwsze i najważniejsze co zobaczyłem, to dwa moje psy, martwe i do połowy zjedzone. W pobliżu jednego z trupów znalazłem należącego do zaginionego Eskimosa psa ludożercę. Na jego pysku i piersi widniała czerwona plama wiadomego pochodzenia. Wyjąłem pistolet, ale na jego widok ogromny pies przebiegł kawałek i zatrzymał się.

Mimo że byłem wściekły, prawie się roześmiałem. Ten głupi pies myślał, że na odległość pistolet nie zabija. Gdy się wahałem, on powrócił, zaskowyczał, po czym odwrócił się i odbiegł w tym samym kierunku co wcześniej, wyraźnie prosił, abym udał się z nim. Założyłem więc rakiety i zacząłem przedzierać się przez śnieg. Odgąłem, dokąd mnie prowadzi. Biegł wprost i byłem pewien, że podążaliśmy śladem Eskimosa.

Przeszliśmy jakieś dwie, trzy mile, zanim pies zatrzymał się i zaczął grzebać łapą. Odwaliłem w tym miejscu około metra śniegu. Pod zamrożoną górną warstwą znalazłem człowieka z Krainy Dymów. Leżał, spał spokojnie i na zawsze. W jego zastygłej twarzy nie było bólu, a jedynie straszny, niewyraźny, zamrożony grymas.

Nie mogłem mu już pomóc w żaden sposób. Obejrzałem dokładnie jego strój, aby nie przeoczyć niczego, co mogłoby mi się później przydać. Niczego nie zauważyłem, z wyjątkiem tego wspaniałego futra, które miał na sobie. Zabrałem je więc.

Zabrzmi to może niesamowicie, ale czekała mnie wyprawa, na myśl o której włosy jeżyły mi się na głowie. Jeżeli ten człowiek przybył z Krainy Dymów, ja też pewnie będę potrzebował takiego ciepłego okrycia, aby nie zamarznąć po drodze. Dlatego zabrałem futro. Kiedy go rozbierałem, na jego piersi zobaczyłem znamię, przypominające kształtem literę „M”. Skóra w tym miejscu miała sine zabarwienie. Blizna nie była stara. Wyglądało, że powstała przed kilkoma miesiącami. Zastanawiałem się, co ta litera mogła oznaczać, M jak miesiąc, miłość lub tysiąc innych rzeczy. Jednak w języku angielskim tego typu znamię na ogół oznacza mordercę. Takie rozwiązanie zgadzało się zresztą z moimi przypuszczeniami na temat nieznanego.

Sposępniały i ponury powróciłem do swoich psów. Sprawa zaczynała komplikować się coraz bardziej. Czyżby napiętnowano tego człowieka za zbrodnię, a potem wygnano z Krainy Dymów na pewną śmierć? Czy jedynie dzięki niezwykłemu szczęściu udało mu się dotrzeć na kontynent? Jeżeli tak było, to jakie zwyczaje mieli mieszkańcy Krainy Dymów, skoro używali alfabetu łacińskiego, podobnie jak my?

Miałem już dość znaków zapytania, a ta ostatnia zagadka dręczyła mnie tak długo, że wydawała mi się najtrudniejsza i najważniejsza ze wszystkich.

Od Point Barrow dzieliły mnie jakieś trzy dni drogi. Zaprząłem psy i wyruszyłem. Zdając sobie sprawę z ryzyka, jako przodownika ustawiłem białego psa. Gdy biegł sam, był cudowny, szybki, nigdy się nie męczył, wspaniale rozpoznawał szlak na śniegu. Nie umiał jednak pracować z innymi psami. Kiedy nie spałem, śledziłem go dokładnie przez cały czas, ale i tak podczas każdego z dwóch pierwszych postojów zagryzł jednego psa. Nie robił tego z głodu, ale bez wątplenia tylko i wyłącznie dlatego, że wyszkolono go, aby walczył i zabijał. Widziałem śmierć drugiego psa. Spałem mocno, gdy jakiś straszny hałas postawił mnie na nogi. Wyszedłem z namiotu. Zbója zobaczyłem dopiero, gdy zacząłem go przyzywać. Krążył wokół całej sfory. Psy husky stanęły w ciasnym kręgu, szczerząc na niego zęby, ale Zbój nie zważając na nic skoczył, zanim zdołałem krzyknąć. Wykonał błyskawiczny, dziwny ruch głową, po czym umknął, ale wtedy już jego zęby były głęboko zanurzone w ciele innego,



wijącego się psa. Pozostałe psy podążyły za nimi, lecz gdy upuścił swoją ofiarę i ponownie wyszczerzył zęby, szybko znowu się zbiły w gromadę.

Kiedy dotarłem na miejsce, husky, mój najlepszy pies pociagowy leżał z przegryzionym gardłem i w agonii grzebał łapami w śniegu. Nadal jednak zdecydowany byłem próbować ułożyć Zbója. Gdy dotarłem do Point Barrow, moje straty wynosiły: cztery psy, plus biały Eskimos, plus mój własny tragarz. Na zdobycz składały się: dziwny pancerz zdjęty ze zmarłego oraz iskierka nadziei, która doprowadzała mnie do szaleństwa. Być może gdzieś tam, na północy, wśród lodów istniała Kraina Dymów. Ale nauczyłem się czegoś: nie mówiłem więcej o niej. Zbyt długo stanowiąc obiekt żartów. Teraz pragnąłem tylko jak najdokładniejszej informacji o tym, gdzie znajdowała się dosyć duża wyspa leżąca gdzieś na północy.

Gdy tylko przyjąłem taką taktykę, od razu zacząłem się posuwać naprzód. Byłem wściekły, że nie wpadłem wcześniej na ten pomysł. Jak zauważyłem, każdy łowca wielorybów, który polował na tych niespokojnych wodach, święcie wierzył w istnienie jakiegoś ładu gdzieś w pobliżu bieguna lodowego. Dowiedziałem się, że nawet meteorolodzy próbowali wyjaśnić pewne szczególne cechy wiatrów istnieniem jakiegoś ładu, jednej lub kilku wysp leżących w tej właśnie okolicy. Dlaczego nie wiedziałem o tym wiele, wiele miesięcy wcześniej? Po prostu dlatego, że wciąż miałem na ustach piekielne zaklęcie: Kraina Dymów.

Odkąd spotkałem białego Eskimosa, nie miałem wątpliwości, że kraina ta istnieje. Teraz tylko chciałem wiedzieć, gdzie ona leży i jak tam się dostać.

Muszę pewnie wyjaśnić niektórym z was, co to takiego „biegun lodowy”. Prawdziwy biegun północny, biegun północny Amundsena i Peary'ego leży około tysiąca mil na północ od Point Barrow. Nie jest to jednak miejsce, do którego najtrudniej dotrzeć badaczowi. Dla podróżnika takim najtrudniejszym punktem jest biegun lodowy. Znajduje się on bardziej na zachód, jakieś osiemset mil od Point. Jest on otoczony polami lodowymi nie do przebycia. Prawdziwy biegun leży bliżej, bliżej o dwieście mil, na zewnątrz od środka tych pól.

W końcu dowiedziałem się tego wszystkiego i to z bardzo wiarygodnego źródła, jakim był Scanderov, wielki norweski polarnik, który w tym czasie przebywał w Point Barrow. Otworzyłem przed nim moje serce i powiedziałem mu, dlaczego byłem gotów narażać własne życie, próbując pokonać lód i odnaleźć tę odległą krainę, najbardziej niedostępną na świecie, jeżeli ona w ogóle istniała.

Pod pewnym względem Scanderov był paskudnym typem. Miał szerokie usta o cienkich wargach, małe, ponure oczka, a kiedy zdradziłem mu swoje pragnienia, prosząc o radę i opinię, powiedział po prostu:

— Jeżeli wyruszysz, zginiesz. Nigdy nie dotrzesz do bieguna lodowego.

Nie brzmiało to zachęcająco. W tym czasie już od ponad półtora roku ludzie próbowali mnie zniechęcić, ale nie udało im się wybić mi z głowy natrętnej myśli o Darrellu. Z rozpaczą można oswoić się do tego stopnia, że po pewnym czasie zacznie się nią pogardzać. Wtedy tak właśnie było ze mną. Człowiekowi, który przeżył wiele rozczarowań, nawet najmniejsza iskierka nadziei może starczyć na długi czas. Mnie zachęcił człowiek, który już nie żył.

Nigdy niczego bym nie wydusił ze Scanderova, gdyby nie Zbój. Ze względu na niego Scanderov zgodził się zmarnować dla mnie trochę czasu, a człowiek ten nigdy nie tracił czasu z nieznanymi. Zainteresował się wyglądem białego psa i chciał wiedzieć, skąd go miałem. O tym z kolei ja nie miałem chęci opowiadać. Oczywiście nie chciałem mówić o śmierci człowieka, któremu związałem z tyłu ręce. Wspomniałem więc tylko o całej sprawie i powiedziałem, że dałem za niego dwa inne psy.

Jak mówię, najpierw dzięki Zbójowi skłoniło się ku mnie ucho mądrego Scanderova. W końcu, również dzięki Zbójowi, Scanderov otworzył przede mną swoją duszę, a było to tak.

W czasie naszego pobytu w Point Zbój chodził w kagańcu. Coś w nim takiego było, w jego wyglądzie, albo w jego wielkości, czy może w jego zapachu, że jego pobratymcy trzymali się od niego z dala. Scanderov przypuszczał nawet, że być może Zbój nie jest w ogóle

psem, ale należy do nowego gatunku wilkowatych i tylko bardzo przypomina psa. Rozgadał się na temat jego zębów, zaczął jednak tak naukowo rozprawiać o trzonowych, siekaczach i kłach, że nie mogłem się w tym połapać.

Któregoś dnia, kiedy wyszedłem ze Zbójem u nogi, przerwał się pasek przy kagańcu. Zanim zobaczyłem, o co mu chodzi, był już jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie i prawie zagryzł małego pieska należącego do jednego Metysa.

Metys kilkakrotnie strzelił do Zbója i już prawie miałem nadzieję, że go zabił, lecz ustrzelić Zbója w ruchu było równie trudno jak bekasa lecącego z wiatrem. Nie trafił ani razu. Rzucił okiem na swojego pogryzionego psa, po czym postanowił wyładować się na mnie.

Skoczył na mnie jak żbik. W ręce trzymał nóż, a ja ledwo miałem czas, aby przygotować pięści do walki. Złapałem mój nóż, zanim go jednak wyciągnąłem, ostrze Metysa przecięło jednym ruchem moją pierś. Gdyby nie jedna rzecz, o której zapomniałem, byłbym już martwy. Mówię wam, kiedy patrzyłem na błysk stali w okolicach mojego serca, to tak jakbym zobaczył kostuchę. Jednak ostrze rozprysnęło się na drobne kawałki, wydając przy tym przejmujący dźwięk tłuczonego szkła. I oto Metys stał przede mną dzierżąc bezużyteczną rękojeść swojego noża. Ostrze połamało się w zetknięciu z pancerzem, który wciąż miałem na sobie. Nie zakładałem go, aby się chronić, ale by nie dostał się w niepowołane ręce i aby uniknąć plotek. Bójka z Metysem zakończyła się dla mnie bardzo szczęśliwie. Przyłożyłem czubek mojego noża do gardła bezbronnego przeciwnika i powiedziałem, żeby się uspokoił i był grzeczny.

Scanderov przypadkowo stał obok i w całej tej awanturze zainteresowały go dwie rzeczy. Umierał z ciekawości, co też takiego miałem na sobie, że ostrze noża Metysa połamało się, mimo iż było z hartowanej stali. Chciał też wiedzieć, skąd pochodziła moja broń — nóż, który zabrałem białemu Eskimosowi.

Gdy zaczął mnie o to wszystko pytać, powiedziałem:

— Proszę, oto nóż. Niech pan sam go obejrzy.

— Skąd go masz? — zapytał, pożerając nóż wzrokiem.

— Dobra, Scanderov. Chcesz wiedzieć, dlaczego noszę dla bezpieczeństwa zaczarowaną zbroję i...

— Wisi mi twoje bezpieczeństwo.

— Chcesz wiedzieć — ciągnąłem — co noszę pod futrem, skąd mam psa i nóż. No, Scanderov, ja chcę się dowiedzieć wszystkiego, co wiesz na temat bieguna lodowego i jak tam się można dostać.

Rzucił mi wściekłe, pogardliwe spojrzenie. Prosić go o to, to tak jak prosić poetę, aby nauczył pisać najpiękniejsze na świecie wiersze albo najwspanialsze powieści. W końcu odezwał się:

— W porządku, mogę z tobą wymienić informacje. — Będziesz mi więc winien flaszkę. Postawisz mi obiad i butelkę whisky, a ja zajmę się gadaniem.

Nasza rozmowa skończyła się dużo po północy. Opowiedziałem mu całą tę niewiarygodną historię, począwszy od Cleve'a Darrella i wybuchu...

Między naukowcami istnieje coś, jakby więzy krwi. Nie potrafię opowiedzieć, jak poruszył się, kiedy usłyszał nazwisko Darrella.

Mówiłem, co wydarzyło się tamtej nocy w laboratorium, a na koniec o pół-Eskimosie, jeżeli był to pół-Eskimos, który leżał zamrożony, z twarzą w śniegu i znamieniem na piersi.

Scanderov nie uronił ani jednego mojego słowa. Po raz setny sięgnął po nóż, a potem po leżący przed nim na stole rozsznurowany pancerz. Następnie odezwał się, napinając kciukiem i środkowym palcem cienkie, zwężające się ostrze noża, które, gwałtownie puszczone, zadrzało z brzękiem:

— Nie ma drugiego takiego kawałka drewna oprócz tego w instytucie Smithsona. Nie ma też nigdzie drugiego takiego kawałka stali. Znam się trochę na metalurgii. To znaczy

nigdzie, poza tylko może twoją Krainą Dymów.

— Nie wierzysz, że to miejsce istnieje? — spytałem.

— Wiare i niewiare próbuję wykluczyć z mojego rozumowania — odpowiedział.

— Teraz jednak — rzekłem — zgodnie z umową, chciałbym posłuchać twojej opowieści. Jak mam się dostać na biegun lodowy. Jaki byłby najlepszy sposób?

— Weź psy i jedź — powiedział Scanderov.

— Chcę szczegółowych informacji na temat podróży. — Próbowałem się opanować. — Spróbuję się tam dostać, ale jak?

— Z odrobiną szczęścia.

Słyszac taką odpowiedź, wściekłem się na dobre, ale jednak okazał się dżentelmenem i dotrzymał warunków naszej umowy. W ten sposób chciał po prostu dać mi do zrozumienia, że uważa taką wyprawę za niemożliwą, nawet dla niebie. Jak więc taki żółtodziób jak ja miałby cokolwiek osiągnąć? Z jego punktu widzenia było to logiczne. Odsunął jednak logikę na bok i zaczął opowiadać mi wszystko o czym wiedział, z najdrobniejszymi szczegółami.

Najpierw ostudził mój zapał, mówiac, że będę musiał podróżować sam z tej prostej przyczyny, że nie znajdę nikogo, kto wyruszyłby ze mną w taką wyprawę. Następnie powiedział mi, z czego powinien składać się mój strój i wyposażenie, a wszystko zgodnie z twierdzeniem Stefanssona, który jakiś czas temu zadziwił świat, utrzymując, że posiadając dobrą strzelbę i niewielkie umiejętności, człowiek wcale nie musi głodować wśród lodów Arktyki. Woda bowiem pełna jest pożywienia dla całych ławic ryb, rybami zaś żywią się rozproszone stada fok, a jeżeli foka poluje, to musi wypływać na powierzchnię przy szczelinach lodowych, aby nabrać powietrza. Można ją wtedy upolować, albo też gdy wyleguje się w słońcu na lodzie.

Tak w skrócie przedstawiał się plan, który Scanderov dla mnie opracował: strzelba, lekkie łódka-sanki, amunicja i dużo szczęścia! Wtedy, jakimś cudem może udałoby mi się przeżyć i dotarłbym do bieguna lodowego.

## Rozdział IX

### MORSKA PODRÓŻ

Od samego początku Scanderov mówił mi, że jestem po prostu głupcem. Powiedział, że starannie dobrany zespół, około pięciu ludzi i ze trzydzieści najlepszych psów, doskonałe wyposażenie i tak dalej, miałby jedną szansę na dwadzieścia, że dotrze do celu, albo że bezpiecznie powróci. Jeden człowiek sam nigdy nie dałby rady tego dokonać.

— Z tego co wiem — powiedziałem — jednemu człowiekowi udało się przebyć drogę z Krainy Dymów na Alaskę, więc jeden człowiek powinien także dać radę odbyć drogę w przeciwnym kierunku.

Spojrzał na mnie bez słowa, jakby próbował ocenić, ile byłem wart, po czym zauważył:

— Nie szkoda mi facetów takich jak ty. Im bardziej szalona przygoda, tym większą macie frajdę, nawet jeżeli grozi wam śmierć. Co więc masz do stracenia? Kiedy mówię, że jeden człowiek sam nie ma szans, mam po prostu na myśli, że, no, przez jedną skręconą kostkę, może kuleć cała wyprawa złożona z siedmiu czy ośmiu ludzi. Ale dla samotnego podróżnika skręcona kostka oznacza śmierć.

— Nie skręcę więc kostki.

Uśmiechnął się do mnie prawdziwie po przyjacielsku. Więcej już nie kłócił się ze mną, za to pomagał mi, jak tylko potrafił.

Ja sam wymyśliłem jeszcze jedną rzecz. Ponieważ miałem powozić jedną ręką, równie dobrze mogłem używać jednego psa, który ciągnąłby moje łódko-sanki! W ten sposób odpada całe zajmowanie się psami i oszczędza się amunicję, ponieważ nie trzeba jej zużywać, aby upolować pożywienie dla psów. A ja miałem przecież Zbója, który był silny za trzy psy, posiadał też instynkt wyczuwania przeszkód na północnym szlaku.

Scanderov uważał, że trudno będzie zbudować łódko-sanki na tyle lekkie, aby można sobie z nimi łatwo poradzić, a jednocześnie wystarczająco duże, aby pomieściły człowieka i psa. Jednak udowodniliśmy, że jest to możliwe.

Przygotowania zajęły mi miesiąc z okładem. Wszystko robiliśmy sami. Nie sądzę, abym z wyjątkiem broni i amunicji zabrał ze sobą cokolwiek kupionego. Na jednej tylko rzeczy nie wolno mi było oszczędzać. Jak twierdził Scanderov, bez naboju byłbym skazany na śmierć głodową, gdyby zaś okazało się, że jest to zbyt ciężki ładunek, zawsze mogłem część po prostu wyrzucić. Jeżeli wystrzelałbym się do ostatniego naboju, wtedy sposobem eskimoskim mógłbym przerzucić się na harpun.

Eskimosi śmiali się z moich małych sanek. Śmiem twierdzić, że pod każdym względem były to najdziwniejsze sanki, jakie kiedykolwiek zrobiono, ponieważ prawie całe zbudowane były z kości wieloryba. Łączyliśmy ze sobą kość wielorybią i najmocniejsze ścięgna na wszelkie możliwe sposoby, aż otrzymaliśmy najmocniejszą i najlżejszą kombinację. Kiedy sanki były gotowe, mogłem się nimi posługiwać jedną ręką. Mogłem nimi rzucać i bez względu na to, jak upadły, nie było na nich ani jednego pęknięcia ani wgłębienia!

Najcięższym bagażem okazało się płótno, które miało służyć mi za namiot, moje przykrycie oraz skóra, która po naciągnięciu na sanki zmieniała je w kajak, narty wsadzone na krzyż w środku sanek mogłem wysuwać na boki, otrzymując w ten sposób pojazd zdatny do transportu dość dużych ciężarów, na przykład żywności czy też innych niezbędnych rzeczy.

Jak się okazało, potrzebowałem niewielu rzeczy: nóż, strzelba, amunicja, sanki, nasączony olejem płótno, pies. To było w sumie wszystko.

Wtedy nadszedł czas, aby wyruszyć w ten lodowy ocean.

Wynająłem dwóch tragarzy, aby przenieśli moje rzeczy przez lodowe wzgórza, powstałe zimą w wyniku napierania pól lodowych. Szliśmy prawie cały dzień, aż dotarliśmy do równiejszego lodu na otwartym morzu. Tu pożegnałem Eskimosów i Scanderova. Nie traciliśmy słów na przemówienia, ale pewna dziwna rzecz sprawiła, że nogi ugięły się przede mną ze strachu. Jeden z tubylców zaczął się śmiać. Nie wiem, co go tak rozśmieszyło. Eskimosi potrafią śmiać się ze wszystkiego, co się dzieje, o ile działa to na nich w odpowiedni sposób. W każdym razie, przez długi czas potem słyszałem za sobą śmiech tego głupca. Byłem już daleko, kiedy wciąż jeszcze prześladowało mnie jego niesamowite zawrośnięcie, które mroziło mi krew w żyłach.

Jednak wyruszyłem. W ostatniej chwili kuśnięcie mnie, aby zawrócić. Nogi miałem dosłownie jak z gumy, tak że musiałem posuwać się drobnymi kroczkami. Powstrzymał mnie wstyd. Wstyd to dziwna bestia. Morderca, który urąga wstydomu samym bezwstydem swojej zbrodni, może jednak wstydzić się tchórzostwa czyniącego go bohaterem, gdy stoi na szafocie. Tam, na otwartym lodzie ja sam grałem bohatera albo głupca, zdając sobie sprawę z tego, że mówić o czymś, jest czymś innym, niż to robić.

Nie chcę jednak mówić o lodzie. Mogłbym o nim napisać dziesiątki tysięcy stron, jako że tak głęboko wrył się w moją pamięć, że nic nie zdoła go wymazać! Muszę mimo wszystko przejść do tego, co leżało po drugiej stronie lodu. Muszę pisać o Krainie Dymów, bo właśnie do tego brzegu dotarłem. Tak, równie dobrze mogłbym od razu oszczędzić wam niepewności i przeskoczyć na tamten brzeg.

Jednak nie potrafię oprzeć się pokusie, aby wtrącić co nieco o tym, co działo się ze mną w czasie ośmiomiesięcznej podróży po lodzie.

Dlaczego w ogóle nazywam to podróżą? Dlaczego nie miałbym mówić „moja wypra-

wa”? Dlatego, że przez prawie calutki dzień znosił mnie ten czy inny prąd i dryfowałem spokojnie z dość stałą prędkością.

Mógłbym na przykład długo pisać o tym, jak płynąłem na powierzchni góry lodowej. Miała ona około dwudziestu hektarów i spędziłem na niej jakiś miesiąc. Czasem w zasięgu wzroku mogłem dojrzeć inne lodowe wyspy przypominające moją, błękitne i błyszczące, a czasem znowu samotnie unosiliśmy się na pustym morzu! Moja wyspa była dla mnie dobra. Do jej brzegów przyplływały foki, aby wygrzewać się w słońcu. Dzięki nim obaj, Zbój i ja, przytyliśmy. Ale przede wszystkim, póki byłem na jej powierzchni, prądy pchały górę prawie przez cały czas na północ.

Pamiętam swoje podniecenie, ogromną radość, serce podeszło mi do gardła, gdy obserwowałem wiejący przez cztery dni straszny wichur. Uderzał on w wyspę, wprawiał w drżenie i gnał na nią wielkie fale, ale tak długo, jak długo ten wichur wiał z południa, wspaniale posuwałem się w kierunku, który obrałem.

Moja biała wyspa pękła na dwie części, potem znowu i znowu, aż któregoś dnia zobaczyłem, że stąkam po powierzchni, która kiedyś była pozioma, a która teraz gwałtownie przechylała się na jedną stronę. Zdziwiłem się, ponieważ wcale nie wiał wiatr, który mógłby to sprawić. Jak gdyby jakiś potwór napierał od spodu na moją wyspę. Zdałem sobie sprawę, że w końcu góra lodowa, na której się znajdowałem, odwracała się! Takie już są te łajdaki, sam nic wiem dlaczego!

Miałem dosłownie pół godziny, aby pozbierać cały swój dobytek, naciągnąć płótno na sanki, wsiąść ze Zbojem do łódki, zanim wyspa zaczęła się coraz gwałtowniej przechylać.

Odepchnąłem się, a wtedy nagle cała masa, jakby czekając na ten sygnał, odwróciła się do góry dnem.

Usłyszałem jak wierzchnia część góry lodowej ze strasznym pluskiem uderza z drugiej strony o wodę. W tym samym czasie, niecały metr od mojej łódki, wyłoniła się spodnia część góry, nieskończenie gładka, błękitna, jakby nasmarowana olejem, świecąca jak brzuch wielkiej ryby.

Natychmiast powstały ogromne fale, podobne do tych, które rozchodzą się wokół płynącego wielkiego liniowca.

Fale odepchnęły mnie na bezpieczną odległość. Siedziałem w łódce-sankach i ponuro spoglądałem na mój do niedawna szczęśliwy domek, odwrócony do góry dnem.

Teraz brzmi to śmiesznie, ale w tamtej chwili wcale nie było mi do śmiechu. Sprawy wyglądały jak najgorzej. Dzień także był szary i ponury, a w zasięgu wzroku nigdzie nie mogłem dojrzeć ani jednej błękitnej iskierki zwiastującej lód. Morze nieźle kołysało, rzucało na wszystkie strony moją lekką jak piórko łódkę, a od czasu do czasu do wnętrza wlewał się kubełek czy dwa wody.

A Zbój? Siedział na środku i głową wskazywał kierunek tak dokładnie, jak igła kompasu wskazuje północ z lekkim odchyleniem na zachód! Tak, wtedy potwierdziły się moje wcześniejsze podejrzenia. Zbój miał instynkt tak nieomylny, jak ptaki wracające do domu z ciepłych krajów! Co za wspaniały pies!

Po jakimś czasie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Chociaż moja wyspa odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, nadal pozostała wyspą, tylko trochę mniejszą. Odpychając się, podpłynąłem do zawietrznej, znalazłem miejsce, w którym dałem radę odłupać trochę lodowego klifu i przybiłem.

Nie było mi tak wygodnie jak wcześniej, ponieważ na powierzchni znajdował się gładki lód, podczas gdy wcześniej lód przykrywała twarda warstwa śniegu. Jednak góra płynęła nadal, aż w końcu zaniósła mnie w białe piekło, gdzie wyły diabły i jeden drugiemu nad uchem rozpryskiwały kryształowy świat, to znaczy dopłynąłem do wielkiego pola lodowego.

W ciągu dziesięciu dni pokonałem około dziesięciu mil przedzierając się przez to grzmiące piekło, które potem otworzyło się pode mną. Przez wiele dni dryfowaliśmy w

okropnym wicherze. Cały czas byłem przemoczony od pyłu wodnego, unoszącego się w powietrzu, w uszach zaś słyszałem dźwięk znacznie gorszy od skrzeczącego śmiechu tamtego półgłupka Eskimosa.

Był to już ósmy miesiąc mojej podróży.

Myślę, że już jakieś trzy lub cztery miesiące wcześniej straciłem wszelką nadzieję. Jedynie ślepa zaciętość, zrodzona przez lata, które już poświęciłem poszukiwaniom, podtrzymała mnie. Wiosłowałem na północ przez stalowoszarą, lodowatą wodę lub też zaprzęgałem Zbója i on ciągnął mnie całą swoją mocą. Jeżeli wkłada się w coś dużo czasu, jest on jakby kapitałem, który po pewnym czasie procentuje i nie pozwala porzucić rozpoczętego dzieła.

Jednak tego dnia upewniłem się, że zbliżam się nie tylko do końca świata, ale również do końca mojego życia.

Wicher zdmuchnął mnie w kierunku nisko wiszącej chmury. Była ona na dole ciemniejsza, a na górze jaśniejsza. Ni stąd ni zowąd wydawało mi się, że nawet Zbója zawiodły nerwy. Skulił się i zawył jak prawdziwy diabeł.

Może to właśnie sprawiło, że przetałem zmęczone oczy i spojrzałem jeszcze raz? W każdym razie wtedy dotarło do mnie, że zwiewa mnie ku bezpiecznemu brzegowi.

## Rozdział X

### **BIEGNĄCY PIES**

Tak, w głębi serca zawsze wierzyłem, że tak się stanie. Jak bym to już kiedyś gdzieś widział i pamiętał z dzieciństwa. Wizja, która nie zniknęła przy zetknięciu się z rzeczywistością. Raczej rosła i rosła, rozszerzając się, wznosząc, aż wystrzeliła poza moje pole widzenia na prawo i lewo, wzniosła się na stalowe szczyty. Ze ściętego, najwyższego wierzchołka spływał, unosząc się na wietrze na wpół widoczny ciemny dym.

To była Kraina Dymów!

Na ogół nic wzruszam się łatwo. Nawet dzisiaj z trudem mogę sobie wyobrazić siebie i to, co wtedy robiłem. Upadłem na kolana, złożyłem ręce do modlitwy jak dziecko i zacząłem dziękować Bogu. Oto bowiem była bardziej wyraźna niż w moim śnie. I tu, powiedziałem sobie, znajdował się Cleveland Darrell — „na północ od Alaski ku Krainie Dymów i...”

I co?

No, tego też się pewnie dowiem oraz tego, jaka siła czy siły porwały go na ten koniec świata.

W tej samej chwili, kiedy zrozumiałem, że to koniec mojej harówki, i na własne oczy zobaczyłem swój cel, w tym właśnie momencie w mgnieniu oka opadły ze mnie radość i wdzięczność. Jak już wspomniałem, wiatr niósł mnie z prądem na nagim, poszarpanym kawałku lodu prosto ku litym skałom.

Z prawa i lewa wyłoniły się klify, gładkie i wielkie, w mrocznym świetle, pokryte lodem zdawały się migotać. Ja w tym czasie mknąłem na mojej chwiejnej krze prosto w paszczę zatoki.

Lepiej byłoby, gdybym płynął na ścianę skalną, ponieważ cała zatoka jeżyła się wręcz od wystających kłów skalnych.

Fale z całą siłą uderzały o podłamywane sterczące głazy, odbijały się od nich, a piana i kropelki wody tryskały w górę na wysokość dając słowo kilkudziesięciu metrów, a potem spadały rzęsiwym deszczem na ziemię, której nie mogłem dojrzeć.

Otwarte morze kołysało mnie łagodnie, teraz od nieregularnych wstrząsów robiło mi się niedobrze. Czułem się tak, jakbym siedział na narowistym koniu. Wznosiłem się i opadałem, wznosiłem i opadałem.

Szkwał był tak mocny, że wszystko złało mi się przed oczami. Kiedy znowu rozróżniałem kształty, klify wyglądały już inaczej i były znacznie bliżej, jeszcze straszniejsze za sprawą okrywającego je śniegu.

Już wcześniej serce podeszło mi do gardła. Teraz niemalże ze mnie wyskoczyło, byłem zbyt przerażony, aby odczuwać strach. Ponury krajobraz i potężne grzmoty przytłaczały mnie, chociaż zdawałem sobie sprawę, że za chwilę czeka mnie pewna śmierć, gdyż roztrzaskam się o skały. Wydawało mi się, że to one się poruszają, a fale stoją w bezruchu. Granitowe szczęki, wprost nie do opisanie, zamykały się na skraju morza, rozdmuchując je przed sobą co chwilę jak biały dym.

Z ogromną szybkością spadaliśmy na wystającą krawędź, po czym niespodziewanie prąd zepchnął mnie lekko w bok. Skały rozstępowały się, odsłoniła się niewielka zatoczka, która zdała mi się bezpiecznym schronieniem.

Mówię, że nie byłem pewien, bo gwałtownie rzucony wśród grzmotów, widziałem ją zaledwie przez ułamek sekundy. Następnie wielka fala, największa z nich wszystkich, zabrała nas: mnie, mojego psa Zbója oraz niewielką krę, na której byliśmy, zakreśliła nami w powietrzu, jak dziecko kręci bakiem, i rzuciła nami do przodu jak kamieniem.

Myślę, że sam lot w powietrzu cofnął mnie... w czasie! Pamiętam bowiem niesamowite wrażenie, jakbym znowu był nastolatkiem stojącym w ogromnym sklepie, pełno było wkoła fajansowych i glinianych naczyń oraz delikatnych, pięknych szklanych wazonów. Wszystko to tłuło się naraz, tworząc niesamowitą muzykę, która grała mi w uszach.

Potem się obudziłem. Byłem zmarznięty i coś mnie dusiło.

To Zbój trzymał mnie za kark i z całej siły szarpał do tyłu, aby wyciągnąć mnie z lodowato zimnej wody.

Wstałem najszybciej, jak mogłem. Byłem przekonany, że moje prawe biodro było złamane w miejscu, gdzie trzasnął w nie rewolwer. Okazało się jednak, że mogę iść.

Nadal nie czułem się bezpiecznie. Nie czułem się bardziej bezpiecznie niż człowiek, który wyszedł na brzeg w krainie śmierci. Panowały egipskie ciemności i wkoła waliły pioruny.

Wkrótce potem zobaczyłem leżące obok moje sanki. Wcale nie były uszkodzone, ani z boku, ani z tyłu, stały tak jak trzeba, jakby gotowe do jazdy. Dostyc niespodziewanie ich widok od razu wrócił mi rozum i odwagę.

Zawartość sanek też dotarła całkiem bezpiecznie, ponieważ wszystko było na krzyż przywiązane rzemieniem. Wyjąłem uprząż i choć miałem zgrabiące ręce, udało mi się porządnie zaprząć Zbója. Potem kluczyłem wśród skał, a następnie zacząłem wspinać się na strzeliste łańcuch klifów, o które uderzał południowy wiatr.

Po drugiej stronie wzgórza odgłosy sztormu nie były tak głośne, co przyniosło ulgę moim uszom. Natarczywy hałas jest tym dla umysłu, czym knebel dla ust. Nie do wiary, jak mi ulżyło, kiedy przestałem być narażony na wiatr i huk. Później trafiłem na niewielki strumyk wypływający z wejścia do jaskini i dalej ciekący w dół zbocza.

Najpierw nie zauważyłem nic dziwnego w płynącej wodzie, po chwili jednak zdałem sobie sprawę z tego, że taka mała struga powinna zupełnie zamarznąć. Podeszedłem do strumyka oniemiały ze zdumienia.

Gdy byłem już blisko, zobaczyłem, że nie tylko ciemności wnętrza jaskini nie pozwalały strumykowi iskrzyć się. Nad lustrem wody unosiła się gęsta para. Woda była tak gorąca, że nie mogłem zanurzyć w niej palca!

Przez osiem miesięcy nie znałem nic cieplejszego niż krew świeżo zabitej foki czy strasznie dymiący płomyk prymusa, na którym gotowałem. Teraz zaś ciepło dosłownie płynęło

po zamrożonej ziemi Arktyki.

Czułem, jak mocno marszczy się moje czoło. Bardzo się zmartwiłem. Chciałem coś na to poradzić. Chciałem jakoś powstrzymać takie marnotrawstwo. Taka ilość wody wystarczyłaby z powodzeniem aby zapewnić całkiem ciepłą wodę dla całego miasteczka. Nie potrafiłem obliczyć, ile ton węgla należało każdego dnia spalić, aby podgrzać tyle wody do takiej temperatury.

Problem rozwiązał się sam, a ja śmiałem się ze swojej własnej głupoty. Dotarło do mnie, że znajdowałem się w Krainie Dymów, jakieś osiemset mil w linii prostej od najbliższego cywilizowanego miejsca, to jest około ośmiu miesięcy podróży.

Tak, teraz dopiero zdałem sobie dokładnie sprawę, co Scanderov miał na myśli, kiedy powiedział, że będzie mi towarzyszyło niezawodne szczęście w dzień i w nocy. Faktycznie, to właśnie szczęście i Zbój wyciągnęły mnie za kark z tarapatów!

Kiedys tam będę musiał zmierzyć się ze strasznym, wręcz niemożliwym powrotem, choć nie miałem specjalnej nadziei, że takie szczęście może trafić się jednemu człowiekowi dwa razy. Wtedy jednak mogłem odsunąć na bok podobne myśli. To, co się działo, było i tak za dużo jak dla moich szarych komórek!

Byłem głodny, a warstewka lodu pokrywała moje futro i twarz. Czułem się słabo, kolana miałem jak z gumy. Doznałem tak ogromnego szoku, że jeszcze nie zdążyłem otrząsnąć się, cal po calu topniał lód, który ściał moje serce, lecz i tak wciąż było go aż nadto.

Stałem więc tam, przy wejściu do jaskini, z której wypływał gorący strumyk. Z sanek wyjąłem zapasy, nałożyłem foczego sadła do prymusa, zapaliłem kuchenkę jedną z zapalek z mojej torebki z nasączonego olejem jedwabiu i zacząłem gotować. Osiadła na mnie kolejna warstwa sadzy, której gruby pokład zgromadziłem przez te wszystkie miesiące. Dawno temu przestałem wyglądać jak biały. W każdym załamku mojego ciała zebrało się tyle czystego węgla, że wystarczyłoby na grafity do dwunastu tuzinów ołówków. Mogłem przepisać encyklopedię, służąc sam sobie za kałamarz.

Siedziałem, drząc troszkę. Czułem się tak nieprzyjemnie, jak dajmy na to kot w czasie gradobicia. Mojemu żołądkowi było dobrze. Objadłem się mięsem, a teraz spływała doń strużka ciepłej, aromatycznej, dobrze zaparzonej herbaty. Zbója także nakarmiłem i obaj odpoczywaliśmy.

## Rozdział XI

### POJAWIAJĄ SIĘ LUDZIE

Dosyć dużo czasu spędziłem odpoczywając u wejścia do jaskini. Później zaprząłem Zbója do sanek i skierowałem się w głąb lądu w kierunku odległej, ogromnie dymiącej góry. Z dala wydawała się niczego sobie, gdy jednak kawałek podjechałem, zobaczyłem, że musiała mieć przynajmniej trzy i pół tysiąca metrów wysokości albo nawet więcej.

Jadąc, powoli zaznajamiałem się z geografią tego końca świata. Wydawało mi się, że od strony morza wyspa otoczona była łańcuchami wzgórz i niskich gór. Za nimi, w środku wyspy, znajdowały się łagodne równiny, gdzieniegdzie poprzedzielane niewielkimi pagórkami.

Jechałem w głąb wyspy. Nie słyszałem już ryku fal uderzających o skały. Pozostawiłem je już za sobą. Teraz z całą pewnością rozciągały się przede mną łąki Krainy Dymów. Miejscami przykrywała je gruba warstwa śniegu lub twardego lodu, lecz na tysiącach akrów wszędzie rosły brunatne mchy i porosty. Na jednym z takich ogromnych pól po raz pierwszy zobaczyłem woły pizmowe, choć ich ślady zauważyłem już wcześniej. Wydało mi się, że sta-



do liczyło około pięciuset sztuk. Sądziłem, że od razu uformują półkole, opuszczą nisko łby i będą czekać na mój atak. Taki właśnie mają zwyczaj. Gdy się znajdują w niebezpieczeństwie, ustawiają się tak, że powstaje mur rogów, który potrafi powstrzymać najsilniejszego niedźwiedzia polarnego na świecie. Instykt mówi im, że jedyną bronią ich wrogów są kły i pazury.

Woły piżmowe to ogromne zwierzęta i jest z nich wiele pożytku. Ich mięso dorównuje smakiem najlepszej wołowinie, a nawet ją przewyższa. Grubość i jakość ich runa sprawia, że nawet owce z zachodnich Szetlandów wyglądają przy nich goło i nędznie. Na dodatek słyszałem, że można je wykorzystywać jako zwierzęta pociągowe.

W sumie więc pokrzepił mnie widok liczego stada tych wspaniałych zwierząt. Pięćset, żeby tylko tyle. Było ich więcej, dużo więcej. Kiedy bowiem podszedłem bliżej i stanąłem na lekkim wzniesieniu, po drugiej stronie niewielkiego pagórka zobaczyłem następną płytą dolinkę, w której aż roiło się od wołów piżmowych. Co najmniej drugie tyle.

Co za wspaniały widok. Odbezpieczyłem pistolet. Nie chciałem jednak przypadkowego lekkomyślnego zabijania, miałem tylko ochotę na uczciwy kawałek wołowiny. Przez osiem miesięcy foki były moim dobrodziejstwem. Dla głodnego człowieka mięso i tłuszcz foki są wspaniałym pożywieniem, niemniej jednak ciekła mi ślinka, na myśl, że znowu skosztuję wołowiny.

Wszystko było oczywiście proste. Zbliżyłem się, a kiedy ku mojemu ogromnemu zdziwieniu woły nie ustawiły się w swój zakłęty krąg, podszedłem na niewielką odległość do pięknego, tłustego cielaka i posłałem mu kulę pod łopatkę.

Na odgłos wystrzału stado się rozproszyło. Mój cielak zakasłał krwią, osunął się na kolana i martwy przewrócił się na grzbiet.

Dużo czasu zajęło mi zdjęcie z niego skóry, ale takiej ilości dobra nie wolno zmarnować nawet na końcu świata. Pomyślałem sobie, że może mógłbym ją wysuszyć przy ogniu. Następnie zabrałem się do ćwiartowania mięsa. Wykonałem mniej więcej połowę roboty, kiedy coś zaniepokoiło Zbója. Pies, który wciąż był zaprzęgnięty do sanek, zaczął do mnie mówić.

Miał on swój własny sposób porozumiewania się. Składały się nań ciągi łkań, skowytów i mruków, wysokich i niskich dźwięków z bogatej skali. Rozumiałem wiele takich „słów”, a nawet całe zwroty, jakby wypowiadał je w ludzkim języku. Potrafił między innymi ostrzegać: „Uważaj! Nadchodzi niebezpieczeństwo!”

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że teraz właśnie powiedział: „Tarapaty. Uciekajmy”.

Podniosłem głowę i zrozumiałem, dlaczego mnie ostrzegał.

Po moim wystrzale woły piżmowe zaczęły niezgrabnie uciekać, aby zbić się w stado za następnym wzgórzem. Teraz z tej samej strony wysypał się tuzin psów, a każdy z nich taki sam jak Zbój.

Wyglądały dokładnie tak samo, jakby przyszły na świat w jednym miocie. Bez trudu rozumiałem jednak, że z ich strony Zbója czekało wszystko co najgorsze!

Ze sposobu w jaki biegły, odgadłem, że podobnie jak Zbój mogły być wyćwiczone do polowania na ludzi, aby ich zabijać dla przyjemności własnej lub swoich panów. Nie umiałem naturalnie biegać dość szybko, aby im umknąć. W ułamku sekundy wyprzągłem więc Zbója i przygotowałem strzelbę do strzału.

Staruszek Zbój dał dowód swojej wierności. Najpierw zaczął mnie obskakiwać, szcękając wyraźnie: „No, szybko! Chodźmy!” Kiedy jednak zobaczył, że nawet się nie ruszam, wycofał się ostrożnie i stanął przede mną, opuszczając swój wąski pysk.

Nie powstrzymało to zupełnie białych diabłów, które nas atakowały. Wydawało mi się, że biegają coraz szybciej i z coraz większą zajadłością, aż wzięłem jednego z nich na muszkę i strzeliłem w sam środek czaszki.

Podskoczył wysoko w górę, spadł bezwładnie na ziemię i leżał w bezruchu, podczas gdy reszta psów się rozdzieliła. Część pobiegła na prawo, część na lewo, uciekając przed nami.

Ten łajdak Zbój odwrócił się w moim kierunku, uniósł łeb i posłał mi największy, najszerszy, najszczęśliwszy uśmiech, jaki w życiu widziałem.

Trzymając się w bezpiecznej odległości białe psy usiadły na tylnych łapach, wywaliły długie, czerwone jęczory i na pewno myślały sobie, że chociaż teraz to ja byłem górą, wkrótce sytuacja zmieni się na ich korzyść. Zastanawiałem się, czy nie powinienem kropnąć jeszcze kilku, ale ponieważ amunicja była na wagę życia, nie chciałem strzelać bezużytecznie. W końcu postanowiłem zabrać najlepsze kawałki wołu, a resztki zostawić, aby odciągnąć psy.

Kiedy jednak z powrotem zabierałem się do ćwiartowania, zobaczyłem coś, co natychmiast mnie powstrzymało. Zauważyłem błysk światła ponad wzgórzem. Błysk wydłużał się, aż stał się długą włócznią, zaś obok włóczni stał ogromny człowiek odziany w porządne futra. Z jego prawej i lewej strony, w identycznej pozycji stało jeszcze dwóch mężczyzn. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem pozostałych. Kubek w kubek takich samych, jak ziarna grochu z jednego strąka. Otoczyli mnie wielkim kołem i stali nieruchomo.

Wyglądali, jakby czegoś ode mnie chcieli. Stanowczo zanosilo się na poważne kłopoty. Zbój położył się i próbował skulić, jak tylko mógł, u moich stóp. Ja zaś próbowałem podnieść siebie samego na duchu, powtarzając sobie, że przecież trzymam w ręku automatyczną strzelbę.

## Rozdział XII

### TRZODA BOGINI

Nie pomogła i automatyczna strzelba, dziewięćdziesiąt procent mojej pewności siebie uleciało gdzieś w dal. Jakby na sygnał wszyscy, którzy mnie otaczali, wbili włócznie rękojeściami w śnieg. Krąg ostrzy błyszczał wokół. Następnie każdy z nich zdjął z pleców solidny kościany łuk, równy długością trzymającemu go człowiekowi. Także strzały były bardzo długie.

Postępowali w moim kierunku, równomiernie zacieśniając krąg, aż dzieliło ich ode mnie niewiele ponad dwadzieścia metrów. Wtedy zatrzymali się. Było ich dwunastu, potężnych, każdy z nich trzymał łuk, i to jak trzymał. Dwanaście wymierzonych we mnie strzał! Zastanawiałem się, czy także i tym razem mój pancerz okaże się nie do przebicia.

Próbowałem porozumieć się z nimi w języku migowym. Nie byłem w nim szczególnie biegły, ale w czasie pobytu na Północy poznałem go całkiem niezłe. Próbowałem więc jak najszybciej i jak najdalej porozumieć się z nimi przy pomocy gestów. Mówiłem, że jestem przyjacielem, że przyjechałem w pokoju, że nie wstąpiłem na ścieżkę wojenną, że podróżowałem tylko, aby zwiedzać, że jestem rozbitkiem, nie wiedziałem, jak pokazać górę lodową, i to że mój pies był łagodny, tak samo jak ja.

Jak już wcześniej powiedziałem, gdy ja się męczyłem z językiem migowym, oni szli i jedyne gesty jakie uczynili, to napinanie łuków.

Ciągle klnąc klęknąłem na śniegu. Wycelowałem strzelbę w największego z całej zgrai. Czekałem. Zaparło mi dech, kiedy on nagle podniósł prawą rękę.

Pozostali łucznicy opuścili łuki i stojąc na swoich miejscach, czekali.

Byłem zadowolony. Byłem więcej niż zadowolony. Miałem jednak na tyle rozsądku, aby pozostając z uniesioną głową nawet nie drgnąć.

Miałem nadzieję, że był on przywódcą tej niewielkiej grupy. Nie tylko ze względu na wzrost. Jego futro było bardziej puszyste, nosił się też z godnością. To fakt, że postawa człowieka — wciągnięty lub wypięty brzuch — pozwala obserwatorowi odgadnąć, czy ma do czynienia z królem czy z pomywaczem.

Opuścił swą łaskawą prawicę i podszedł do mnie. Na dźwięk jego języka ciarki przeszły mi po plecach, ponieważ w tym samym dialekcie mówił zmarły właściciel Zbója, zrozumiałem, że mój widok dziwił go, że zastanawiał się, z której części świata przybyłem i po co, a przede wszystkim dlaczego zabiłem jedno ze świętych bydła. A jeszcze bardziej niż to, interesowało go, skąd wzięłem dziwny strój, który na sobie miałem.

Podniosłem się na jedno kolano, ze strzelbą gotową do strzału, wciąż wycelowaną w jego pierś. Wstając udało mi się obrzucić wzrokiem cały krąg. Wszyscy stali w tych samych miejscach, gdzie zatrzymali się na znak człowieka, którego trzymałem na muszce.

On wciąż zbliżał się do mnie. Powiedziałem, najlepiej jak umiałem, że choć szanuję go jak ojca, więcej, nawet jak wuja, niemniej jednak, z ogromnym żalem będę musiał zrobić mu dziurę w czaszce, jeśli nie zatrzyma się.

Musiałem całkiem niezłe mówić po eskimosku, bo zrozumiał i stanął jakieś dziesięć kroków ode mnie.

— Jak się nazywasz, z jakiego kraju przybyłeś i który szczep Eskimosów jest ci matką?

— Nazywam się Cassidy — odpowiedziałem. — Jestem synem Mike'a, który był synem Billa, a szczep, który jest mi matką, to szczep amerykański. Jest nas, Amerykanów, tak wielu, że kiedy mówimy wszyscy razem, ocean dostaje zimnych dreszczy i cofa się na dziesięć kroków od brzegu.

W Krainie Dymów nie brzmiało to wcale jak żart. Mój przyjaciel w ogromnym futrze ponuro pokiwał głową i powiedział, że nazywa się coś tam coś tam (zupełnie nie do wymówienia), że pochodzi ze szczepu, którego mądrzy zakłęciami potrafili ściemnić słońce, a dmuchając na morze doprowadzali je do wrzenia.

Musiałem przyznać, że lepiej umiał się chwalić, ale na głos stwierdziłem tylko, że pewnie mieli do czynienia z mniejszym oceanem.

Oparł się teraz o swój łuk i zmierzył mnie wzrokiem.

Mówię, że oparł się, bo łuk był tak sztywny i mocny, że nawet nie przechylił się pod ciężarem człowieka. Był tak olbrzymi, jak olbrzymem był mężczyzna, który się nim posługiwał. Rzuciłem ukradkowe spojrzenie przez ramię i zobaczyłem, że reszta nawet nie drgnęła.

— Całe to stado — odezwał się — jest poświęcone bogini i jej kapłance. Dlaczego zabiłeś zwierzę?

— Ponieważ byłem głodny — odrzekłem.

Wreszcie okazało się, że ma poczucie humoru. Tymi słowami rozbawiłem go i naprawdę się uśmiechnął. Po raz dziesiąty, odkąd stanął na tyle blisko, że mogłem mu się dobrze przyjrzeć, zastanawiałem się, czy jego ciemna karnacja to prawdziwy kolor skóry, czy był to brud od lampy. Kolor jego oczu, a także jego wzrost i budowa kości, wskazywały na nordyka.

— Chcesz powiedzieć, że we śnie wyjawiono ci, iż możesz spożywać święte mięso? — spytał.

Dał mi wskazówkę, której postanowiłem się rozpaczliwie trzymać.

— Oczywiście, przyszło to do mnie we śnie. Inaczej wolałbym żuć trawę jak woły pizmowe. Kimże jestem, abym śmiał tknąć święte stworzenie bogini?

Zapytał mnie, jaki znak otrzymałem.

Odpowiedziałem mu, że znak, który otrzymałem, był tajemnicą moją i bogini, ponieważ ona nie rozgłasza całemu światu o swoich planach. Dlatego nie mogłem rozmawiać o znakach z człowiekiem, którego nie znałem.

Powiedział, że jego ojciec był kuzynem ojca człowieka, którego syn zna kobietę, która jest ciotką kapłanki, czy coś w tym stylu, ale pozostałem niewzruszony. Powiedziałem mu, że

może być czym chce, ale ja i tak będę trzymał głę na kłódkę.

Po tym jak skończyłem swoje krótkie przemówienie, podkreślając ostatnie słowa, kiwał głową przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał. Mnie zastanowiły jego sumiaste wąsy. Musiał mieć w sobie dużą domieszkę białej krwi, bo tutejsi ludzie nie są tak bardzo owłosieni.

Para wystających zębów również wskazywała na białą krew, pomyślałem sobie. Co za zęby! Podczas gdy rozważałem moje argumenty, zaczął skubać wąsy dokładnie tak samo jak angielski rycerz.

Potem zapytał mnie, jak długo byłem w podróży. Odpowiedziałem, że osiem miesięcy. Chciał wiedzieć, czy to ptak przeniósł mnie przez ocean, na co odpowiedziałem, że przebyłem ocean po lodzie, w tych sankach.

Spojrzał na nie. Otworzył szeroko oczy, aż wybałuszył całe białka. Ponieważ nie wiedział, że płótno zmienia sanki w prawdziwą łódź, chciał wiedzieć, czy ślizgają się po powierzchni wody na wąskich płozach.

Zaproponowałem, by sam się przekonał, że mówię prawdę. Oto tu jestem, nie mam nic poza sankami, ich zawartością i psem, a przecież dotarłem tak daleko.

Całkiem sprytnie skłamałem i byłem z tego dumny. Poczuję się jeszcze bardziej dumny, kiedy zobaczę, jak kiwa głową z miną mędrca, który wierzy w dziwne rzeczy nie do zrozumienia przez zwykłych ludzi.

Chciał wiedzieć, do czego służy wydrażony pręt, który trzymam.

Ucieszyłem się, słysząc jak mówi o żelazie, które nie jest słowem eskimoskim. Miałem dowód, że ludzie ci utrzymują kontakt z jakąś kulturą, która wyszła już przynajmniej z epoki brązu. Powiedziałem więc, że rurka jest czarodziejska, że ziejie ogniem i śmiercią, i że jeśli dotknie tego cyngla, on i wszyscy jego ludzie padną trupem.

Zamrugnął oczami, ale nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia.

— Chcesz powiedzieć, że to jest arkebus? — zapytał. — Słyszałem o czymś takim, widziałem to i wiem, że niesie śmierć na dużym obszarze, ale arkebus ma szeroki koniec rurki, a to ma wąski, prawie tak wąski jak drzewce włóczni.

Kiedy usłyszałem, jak wymawia słowo „arkebus” po angielsku, z doskonałym akcentem, prawie padłem trupem na miejscu.

Tego już było dla mnie za dużo. Co on mógł wiedzieć na temat arkebuza i kto, na miłość boską, posługiwał się arkebuzem w naszych czasach?

Czyżbym więc nie był pierwszym białym, który dotarł do Krainy Dymów? Jeżeli zaś jakiś przezorny naukowiec przybył tutaj wcześniej, aby zbudować laboratorium badawcze, po co, u diabła, byłby mu arkebus? Nie, zabrałby pistolety automatyczne i maszynowe. Jednak bez wątpienia Eskimos wypowiedział słowo „arkebus”.

W końcu powiedziałem, że nie jest to arkebus, że dla nas arkebus to dobry żart, a moja broń zabija tak szybko, jak leci myśl i prawie równie bezboleśnie.

Po tych słowach przyglądał mi się przez chwilę. Widziałem w jego oczach chłodne spojrzenie człowieka, który ma pewność, że to, co słyszy, jest wierutnym kłamstwem.

W tej samej chwili lub ułamek sekundy później kątem oka dostrzegłem jakiś cień. Próbowałem się odwrócić, było jednak za późno, ponieważ para zwinnych rąk pochwyciła mnie i uściskiem zmusiła do posłuszeństwa.

Próbowałem wałnąć go w nos niespodziewanym hakiem. Następnie próbowałem wałnąć go łokciem między zębra. Uderzenie łokciem jest jakieś dziesięć razy silniejsze niż pięścią. Okazało się jednak, że w ten sposób sprowadziłem tylko na siebie masę kłopotów.

Ktoś mnie przydusił, ktoś inny złapał mnie za stopy, ktoś jeszcze chwycił mnie nelsonem, wykręcono mi ręce, przewrócono mnie, a wszystko jednocześnie.

Leżałem spokojnie. Gdybym się poruszył, nie byłoby co zbierać. Przez około dziesięć sekund musiałem wytrzymać straszliwe ciężary i naciski, które spadały na mnie jeden po drugim.

Giganci, którzy mnie dopadli, przestali się kotłować i wstali na znak swojego pana, który mruknął parę razy. Każda część mojego ciała dawała o sobie znać.

Nie stawiałem oporu. Nikt by nie stawiał oporu po dopiero co odbytej ręcznej wymianie zdań z wszystkimi mistrzami świata wagi ciężkiej wziętymi razem. Stanęli wokół mnie w oczekiwaniu na nowe rozkazy, podczas gdy pozostali zbliżyli się, nie zwlekając, aby mnie obejrzeć.

Przywódca stanął tuż przede mną. Miał około pięćdziesiątki, niewielki brzusek i zarost. Przypominał nieco szwedzkiego bankiera, który spędza swoje letnie wakacje na nartach. Jego skóra nie była ciemniejsza od mojej, gdybym pozbył się ośmiomiesięcznej warstwy brudu narosłej od dymu z prymusa. Miał potężną szczękę i szerokie kości policzkowe, a jego małe, szaroniebieskie oczy taksowały mnie uważnie.

— Skąd przybywasz nieznajomy? Jak dotarłeś na tę ziemię? — zapytał.

Powiedziałem, że próbowałem mu wyjaśnić, że mój kraj leży daleko na południu, gdzie słońce świeci przez cały rok, że nieszczęście przytrafiło mi się, zagnało mnie na północ, a burze i kry lodowe przyniosły mnie w końcu do miejsca, w którym mogłem po raz pierwszy od ośmiu miesięcy spożyć prawdziwą wołowinę.

Gdy już skończyłem, przyglądał mi się przez następne kilka minut, po czym odezwał się z mocnym akcentem. Jego mowa brzmiała jak mieszanina szkockiej i irlandzkiej gwary.

— Azali po cóż łiesz, przyjacielu, skoro baczysz, że kłamstwo wychodzi na złe temu, co kłamie?

Oniemiałem, gdy usłyszałem, że mówi po angielsku. Ale jaką angielszczyzną. Powiedział „azali po cóż”, jakby tak powinno brzmieć normalne pytanie. Odetchnąłem ciężko.

— To, co powiedziałem, nie jest kłamstwem. Powiedziałem ci prawdę. W rzeczy samej, zanim tu dotarłem, przeszedłem przez białe piekło. Naprawdę spędziłem osiem miesięcy na łodzi i nie ma tu ani słowa kłamstwa.

— Jakaż jest twoja nacja? — zapytał olbrzym.

— Amerykanin — odpowiedziałem.

— Amerykanin? — zdziwił się. — Amerykanin? Nigdy o takim kraju nie słyszał.

— Nie żartuj sobie — zaśmiałem się niepewnie. — Czy chcesz powiedzieć, że nigdy nie słyszałeś o Stanach Zjednoczonych Ameryki?

— Stany Zjednoczone Ameryki? Dziwna nazwa. Czy wszyscy mieszkańcy tego kraju są czarni?

— Potrzymaj moją twarz garścią śniegu, a zobaczysz, że jestem biały.

Wyobraźcie sobie, trudno w to uwierzyć, ale zrobił to. Wziął garść śniegu i zaczął pocierać moje policzki tak mocno, że ciało niemal przymarzło mi do kości policzkowych. Potem rzucił zezowate spojrzenie. Na ten widok pokiwał głową.

— Po gorącej wodzie kolor skóry będzie może jeszcze jaśniejszy — stwierdził.

— Słuchaj — odezwałem się — przecież wiesz, jak człowiek wygląda po ośmiu miesiącach pochylania się nad prymusem.

— Po prawdzie, przyjacielu — rzekł — jest coś takiego w twojej mowie, że moje uszy nie pojmują większości słów.

Wzruszył ramionami, jakby wyczerpała się już jego cierpliwość. Powoli odsunął się ode mnie.

— Przeszukać tego człowieka, do samej skóry!

Rozkaz spełniono. W mgnieniu oka rozebrali mnie, a potem, zanim nawet poczułem chłód, z powrotem pomogli mi się ubrać. Odebrali mi rewolwer, nóż, jeszcze kilka drobiazgów oraz pancerz. Zdziwiła ich moja biała skóra, a przecież mydło i woda uczyniłyby ją jeszcze bielszą.

Kiedy już znowu byłem ubrany, nadal stali rozgorączkowani nad rewolwerem. Chcieli wszystko o nim wiedzieć. Gdy zacząłem wyjaśniać, ich zachwyty nie miał granic. Krzyczeli,

klaskali w ręce i niemalże tańczyli wokół mnie. Nazwali rewolwer kolistym pistoletem. Poza tym nie potrafili nic zrozumieć, ale i tak byłem dość zdziwiony. Wyobraźcie sobie białych, którzy mówili po angielsku, a nie znali słowa „rewolwer”.

Nóż ściągnął na siebie jeszcze większą uwagę niż rewolwer. Podczas gdy rewolwerem polechtałem ich ciekawość, widok noża rozgniewał ich.

Przywódca wyjął nóż, wyglądający jota w jotę jak mój pożyczony supersztylet. Spojrzałem nań ponuro. Przecież człowiek, który powinien się na tym znać, zapewnił mnie, że nie ma na całym świecie drugiego kawałka stali takiego jak moje ostrze.

W końcu wódz zwrócił się do mnie:

— Skądże masz ten nóż?

— Od pewnego podłego łajdaka, który próbował wsadzić mi go między żebra — odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie niewidzącymi oczami i rzekł:

— Dokonano morderstwa. Morderca zbiegł z tą bronią. Pochwycono go i rzucono na lód, na wielkie szare morze. Jakimiż więc czarami ściągnąłeś tę broń ku sobie i jakież nań teraz nałożyłeś zaklęcie?

Na te słowa olbrzym trzymający nóż upuścił go, jakby stał była rozpalona do czerwoności. Nóż drżąc wbił się w lód.

— Mówię ci prawdę. — Miałem już tego dosyć. — Jeżeli chcesz, to weź go z powrotem. I tak wolałbym porządny łuczek. Co się zaś tyczy czarów i zaklęć, to jaki dorosły człowiek opowiada w naszych czasach takie głupoty?

— Powiadacie — przerwał mi — że nie znacie się na zaklęciach i czarach?

— Ani trochę! — odpowiedziałem.

— Powiedzcie mi, nieznajomy, z nieznanego kraju i nieznanego narodu, mamże wierzyć, że ta broń — podniósł do góry mój rewolwer — nie jest dziełem czarów?

— Może dla ciebie — stwierdziłem. — Wyprodukowano go w zakładach Colta.

Spojrzał na mnie tępym wzrokiem.

— Nie wspominając już o nożu i o psie, które są w tym kraju znane — powiedział. — Cóż rzekniesz, przybyszu, tej, która zarzyna i obdziera ze skóry świętą trzodę bogini?

— Już ci mówiłem, zabiłem cielaka, ponieważ byłem głodny. Taka jest naga prawda, jeżeli chcesz ją poznać.

Wyciągnął rękę i pomacał moje żebra.

— Wszak śmierć głodowa ci nie zagraża — rzekł. — A i tak śmiałeś targnąć się, choć nie uczyniłeś tego w obawie przed śmiercią! Cóż, zatem dosięgnie cię gniew bogini.

— Bogini? — Zdziwiłem się, ale nie chciałem zaczynać wszystkiego od początku.

— Czyż jej nie znacie? — zapytał. — Wszak rzekliście, że otrzymaliście od niej znak. Przybyliście tu zapewne pod jej opieką, bo po cóż niosłaby was na lodzie przez osiem miesięcy? Dlaczegoż jednak ja miałbym was osądzać, kiedy sąd należy do kapłanki?

## Rozdział XIII

### BEZIMIENNA ŁASKA

Poprosiłem go grzecznie, aby zapomniał o całej tej sprawie z boginią, ale mówiłem jak do skały. Ustawili wokół mnie straż i poprowadzili naprzód, a biedny Zbój ciągnął sanki przy mojej nodze. Od czasu do czasu trącał mnie przyjaźnie łbem o łydkę, aby dać mi znak, że wciąż tu jest.

Przez całą drogę nikt nie odezwał się do mnie ani słowem.

Byłem cholernie zdumiony. Najpierw próbowałem sobie wmówić, że oto biorę udział w wielkiej maskaradzie, że oni czekają tylko, aby wystawić mnie do wiatru, że zaraz zdejmą przebrania i przedstawią się jako Smith, Jones, Brown, członkowie takiej to a takiej ekspedycji, którzy przerzucili się na miejscową broń, ponieważ zabrakło im amunicji do strzelb.

Coś jednak mówiło mi, że wszystko dzieje się na poważnie. Na przykład sposób, w jaki maszerowali obok mnie strażnicy, jednym okiem obserwując mnie, a drugim własne kroki, sprawność, z jaką dotykali moich żeber ostrzami swoich włóczni. Doszedłem do wniosku: ci faceci nie żartowali, na pewno nie ze mną.

Wkrótce przybyliśmy do wioski. Nie przypominała ona ani wioski białych, ani Eskimosów, ani Indian. Domy były dość duże, zbudowane z kamienia, niskie i masywne. Wszędzie dokoła przebiegały kręte wybrukowane uliczki! Wybrukowane kocimi łbami! W końcu znaleźliśmy się na wielkim głównym placu.

Po drodze przyłączali się do nas ludzie, tak że zrobił się tłum. Starzy i młodzi, kobiety, dzieci oraz mężczyźni opuszczali domostwa i ruszali z nami. Pokazywali mi palcami, paplając jeden do drugiego, wszystko po angielsku!

Tłum zrobił się tak duży, że z trudem posuwaliśmy się naprzód. Wtedy wódz wygłosił krótkie przemówienie, proste, naiwne kłamstwo. Powiedział im tylko, że są bardziej śmiali i odważni, niż się spodziewał, ponieważ z własnej woli stanęli oko w oko z wielkim czarownikiem, który może zakląć ich dusze i ciała.

Ci dziwni ludzie potraktowali jego żart, jakby wcale nie był żartem. Kobiety pozakrywały twarze i uciekły, a mężczyźni oddalali się z opuszczonymi głowami tak aby popatrzeć raczej na ziemię niż na mnie. Niektórzy podnosili do góry jakieś tam błyskotki. Słyszałem, jak modlili się do bogini, aby odwróciła od nich złe oko! Bali się.

Tego było już za wiele. Cały żart przestawał mnie śmieszyć.

W głowie miałem pustkę i czekałem, że może przyjdzie mi na myśl jakieś rozwiązanie. Przemaszerowaliśmy przez całą wioskę. Ucieszyłem się, kiedy mijaliśmy ostatnie domy. Szliśmy prosto w kierunku dymiącej góry i wysokich wzgórz u jej stóp.

Po niezbyt długim marszu doszliśmy do często używanej drogi. Miejscami śnieg był świeży, a miejscami zbity. Nie uszliśmy daleko, gdy natknęliśmy się na najdziwniejszego woźnicę i najdziwniejszy pojazd, jakie kiedykolwiek ujrzało moje oko. Sam święty Mikołaj z reniferami, brodą itd. Brakowało mu tylko worka z zabawkami na plecach. Sanki ciągnęło sześć pięknych okazałych reniferów. W sankach siedział potężny staruszek, cały owinięty w futra, na które spływała długa, gęsta, biała broda. Jego twarz zaczerwieniła się od szybkiej jazdy, zaś oczy zaczęły łzawić.

Zjechał na bok drogi, patrzył, jak go mijamy, i zawołał:

— Cóż czynisz, Jenkinie, synu Smitha?

— Ojciec Lo — wódz przemówił z ogromną powagą. — Oto prowadzę przed sąd kapłanki wielkiego czarownika lub kłamcę. Sam nie wiem, kim jest. Przechwala się, że przybył z południowych stron, których mieszkańców nigdy nie widziałem. Jego twarz jest usmolona, lecz ciało jego jest białe. Podobnie jego dusza jest nieczysta, jako że śmiał podnieść rękę na świętą trzodę bogini.

— Aha! — krzyknął starzec. — Udam się z wami, aby usłyszeć werdykt. Czekaj go pewnie spalenie, Jenkinie.

— Nie wątpię — odrzekł Jenkin. — Ten czarodziej szedł po południowym lodzie, tak mówi.

— Tak mówi — powtórzył białobrody. — Tak samo ja mógłbym powiedzieć, że przez osiem lat szedłem po południowym wietrze, lecz czy uwierzyłbyś mi, Jenkinie, gdybym tak powiedział? Idź z nim albo siadaj i jedź ze mną, co jest znacznie lepsze od chodzenia piechotą.

Jenkin jednak wołał iść. Ruszyliśmy, a starszy pan jechał za nami. Nie był sam. Dołączyli inni, piesi, a potem kilku na wozach o wielkich kołach, ciągniętych przez trójkę a czasem piątkę wołów pizmowych.

Nie zwracałem na nich specjalnej uwagi. Co innego zaprzętało moje myśli, białobrody powiedział coś o paleniu.

— Przyjacielu — zwróciłem się do jednego z moich strażników. — Co ten stary dziadek miał na myśli, kiedy mówił o paleniu?

Mężczyzna odwrócił w moją stronę rumianą twarz i powiedział:

— A cóż innego miałyby czekać, przybyszu, tego, kto bezcześci święte stado? Azaliż jesteście takim sławnym czarownikiem, przebyliście tyle tysięcy wiorst po zamrzniętym morzu, po falach, a nie znacie bogini?

Spojrzałem mu uczciwie prosto w oczy. Jego twarz, myślałem, była okrągła jak pączek i czerwona jak jabłko. Nie mogłem się w niej dopatrzeć ani śladów myśliciela, ani oszusta. O to założyłbym się z każdym. Gdyby było inaczej, gotów byłbym zjeść własną czapkę, nawet futrzaną. I on myślał, że nic innego z wyjątkiem spalania nie może mnie czekać! Mój los wydawał się być dla niego oczywisty! Serce we mnie zamarło. Zimne dreszcze przebiegały co chwila całe moje ciało.

Dotarliśmy do stopni wzniesienia, które wieńczyła jakby brama. Otworzyła się ona do środka wzgórza. Znowu się zmartwiłem. Miałem już dość wewnątrz wzgórz. W tamtym konkretnym momencie mojego życia wołałem otwartą przestrzeń. Weszliśmy jednak, a brama stawiała się coraz wyższa. Wkrótce zobaczyłem, że miała ponad trzydzieści metrów wysokości. Z każdej jej strony leżał wyrzeźbiony pies czy też lew, a przynajmniej coś w tym stylu. Przeszliśmy między nimi, aż zatrzymała nas opuszczana krata. Rysowała się przed nami bardzo wyraźnie: wielkie stalowe pręty z błyszczącego żelaza broniły wejścia do jaskini. Jakiś głos wrzasnął ze środka:

— Kto idzie?

— Tylko przyjaciel, Jenkin, syn Smitha — zawołał wódz.

— Podejdz, Jenkinie, synu Smitha, i wypowiedz słowa, które wypowiedzieć należy — odpowiedział strażnik świątyni.

Jenkin, syn Smitha, podszedł do samej kraty:

— Chwała bogini złotej, której oko widzi wszystko, i jej uchu, które wszystko słyszy, i jej oddechowi, który jest wiatrem na szczęście, dobro i zło.

— Słowo wypowiedziane — rzekł strażnik. — Czegóż pragniesz Jenkinie, synu Smitha?

Jenkin powiedział. To, co mówił, dotyczyło mnie i muszę przyznać, że nie wystawił mi dobrej opinii. Żaden sierżant z policji, który wie, że podejrzanego należałoby uwolnić, nigdy tak bardzo nie próbował nastawić sędziego nieprzychylnie za pomocą równie gorącego przemówienia jak to, które na mój temat wygłosił Jenkin. Byłem czarownikiem z piekła. Nie było co do tego wątpliwości, jak powiedział. Mimo iż, jak przyznałem się, pochodzę z południa, przy pomocy swoich sztuk i umiejętności nauczyłem się ich własnego języka. Prawie mogłem ujść za Anglika — tak samo jak oni!

Ujść za Anglika — tak samo jak oni!

Anglicy? Co, u diabła, robili tu Anglicy? Czyżby mieszkali tak blisko bieguna lodowego?

Już samo słowo „Anglik” stanowiło dla mnie pocieszenie. Każda jego litera oznaczała dżentelmena, pewien system praw, przyzwoite, nieprzekupne sądy, honor i prawdę oraz wiele innych rzeczy, których nie sposób nie docenić, gdy się jest aresztowanym, możecie mi wierzyć!

Wielgachna krata uniosła się, wydając przy tym słaby, jękliwy dźwięk, który wyraźnie świadczył o zastosowaniu prądu elektrycznego. Jeżeli się myliłem, gotów byłbym zjeść drugą



futrzaną czapkę. Następnie wprowadzono mnie do wnętrza góry.

Weszliśmy do ogromnego holu przystrojonego chorągwiami i różnymi innymi drobiazgami. Zauważyłem też oddział złożony z około pięćdziesięciu żołnierzy. Wszyscy mieli na sobie stalowe zbroje, które błyszczały niebieskawo. U boku każdego z nich wisiał miecz z plecioną rękojeścią, a przy drugim boku, zapewne dla utrzymania równowagi, długi sztylet. W rękach trzymali coś, co w ilustrowanych słownikach figuruje pod nazwą pika lub halabarda — włócznie, na ciężkich drzewcach z siekierami przyczepionymi do jednej ze stron ostrza!

Ubrani byli w kamizelki i żakiety z bufiastymi rękawami, zaś spod pancerzy wystawały wokół szyi krochmalone kryzy. Kryza kapitana straży zrobiona była z prawdziwej, ręcznie robionej koronki.

Podszedł do mnie i pewny siebie zmierzył mnie chłodnym, bezczelnym spojrzeniem. Miał czarne włosy, spływające lokami na ramiona okryte stałą. Jego broda była ufarbowana na purpurowy kolor. Obcasy jego wysokich butów też były purpurowe. Spod obfitych, koronkowych mankietów wystawały delikatne dłonie o długich palcach.

Nosił malutki hiszpański wąsik, który podkreślał, stojąc przede mną i mierząc mnie z góry na dół lodowatym spojrzeniem.

— Cóż też wy tu macie, mój dobry Jenkinie? — zapytał.

— Mam tu pana czarownika, najbardziej obrzydliwego, strasznego, który posiada wielką moc i czarną duszę — odpowiedział Jenkin.

— Tak, w rzeczy samej, bardzo nieczysta dusza — dandys zaśmiał się. — Czarniejsza nawet niż jego twarz.

Ręką wykonał w powietrzu jakiś gest.

Laluś jeszcze raz otaksował mnie wzrokiem, uśmiechnął się z pogardą i spytał:

— Czyż jesteś magikiem, biedny nieszczęśniku?

— Takim samym jak twoja stopa — odpowiedziałem.

Spojrzał w dół i zaczął na wszystkie strony kręcić pięknym, wąskim noskiem swojego buta.

— Takim samym jak moja stopa? — powtórzył. — No, no, znowu mu się udało! Moja stopa nie jest magikiem, to prawda i pod tym względem czarownik mówi rozsądnie. Czy to prawda, mój Jenkinie, że swą złą ręką skrzywdził zwierzę złotej bogini?

— Taka sama, jak prawdą jest, że moje oczy widziały wypatroszone zwierzę i uciekające stado. Uczynił to przy pomocy arkebuza, który sam w sobie jest dziełem czarów; taki mały i delikatny, że zmieściłby się nawet w waszych wykwintnych dłoniach, panie.

— Tak? — zdziwił się kapitan straży.

Uniósł swą rękę, przyjrzał się jej i, na Boga, zobaczyłem, że koniuszki jego palców miały taki sam purpurowy odcień jak jego broda i obcasy!

Zrozumiałem, że słowa Jenkina miały być pochlebstwem, jednak kapitan tego nie zauważył. Za dużo w nim było samouwielbienia. Następnie kapitan powiedział, że ten przypadek bez wątpienia wymaga rozpatrzenia przez samą kapłankę. Zauważył też:

— Nie wolno mu stanąć przed kapłanką w takim stanie. Oczyszczyć go, odziać i z powrotem przyprowadzić do mnie.

Nigdy więcej w życiu nie chciałem przejść ponownie przez podobne zabiegi toaletowe. Zabrali mnie na dół długim, wąskim korytarzem, który, jak mi się wydawało, kończył się ciągiem łazienek. W tej, do której mnie wprowadzono, gorąca, parująca woda płynęła korytem długości ponad sześciu metrów oraz szerokości metra. Kazano mi się rozebrać do naga, po czym obok stanęło kilku strażników z wielkimi, twardymi, włosianymi szczotkami. Zamoczyli je w mydlinach, ja wszedłem do koryta, a oni szorowali. Zaczęli od czubka głowy aż do stóp i wykonywali swoje zajęcie z sercem. Zdarli ze mnie metry skóry w czasie tych zabiegów. Zanim ukończyli, cały byłem pokłuty.

Następnie przyszedł człowiek z miską, wielkimi nożycami i nożem. Do miski ściał moje

długie, rozczochrane włosy. Obcinał je tuż nad uszami. Przy pomocy noża ogolił mnie. Naprawdę, nabrałem bardziej cywilizowanego wyglądu.

Dali mi koszulę z szorstkiej wełny, na ramiona zarzucili mi płaszcz, czy też suknię z tego samego, nie bielonego i nie farbowanego materiału, a na nogi założyłem niezgrabne chodaki.

Gdy skończyli, zaprowadzili mnie z powrotem do kapitana, który na mój widok zmarszczył nos, zaśmiał się, mówiąc, że teraz wyglądam mniej jak czarownik a bardziej jak człowiek i to wcale nie taki przystojny.

Przeszliśmy przez jeszcze jeden wielki hol, jeszcze jeden i potem następne, aż do najbardziej niesamowitego, największego pomieszczenia, jakie kiedykolwiek widziałem. Było słabiej oświetlone niż poprzednie, które mijalem. Oto, że tak powiem, stanęliśmy przed świętym blaskiem.

W środku tej ogromnej komnaty, na czymś w rodzaju paleniska na podwyższeniu, palił się ogień. Teraz dopiero zobaczyłem, że był to podołek największej rzeźby, jaką ktokolwiek stworzył. Przedstawiała ona kobietę odzianą we wspaniałą suknię. Jej ciało wyrzeźbiono chyba w jakimś białym kamieniu, zaś suknię w czarnym. Miała twarz dobrze odżywionego, uśmiechającego się diabła.

Wzdłuż bocznych ścian pomieszczenia stały wielkie kolumny, z których wychodziły monumentalne gotyckie łuki, tworzące sklepienie. Wystrój przypominał wnętrze katedry, nie takie zimne, szare, jakie się dzisiaj widuje, a takie, jakich wiele można było zobaczyć przed wiekami — całe w purpurze, złocie, błękicie, błyszczącej zieleni, choć mroczne.

Minęliśmy główne palenisko, z ogniem na kolanach bogini. Kiedy przechodziliśmy, spojrzalem w ogień i zobaczyłem coś, czego żaden człowiek nie powinien oglądać.

Wśród popiołu, ułożone w upiorne, malutkie kupki, leżały resztki kości, na pół zwęglone, na pół osmalone. Nie były to kości bydłce, ptasie ani kozie, ich długość w sam raz pasowała do ludzkich. Wciągając powietrze, poczułem woń stokrotnie gorszą od zapachu rzeźni.

Przechodząc przed ogniem i boginią moi strażnicy oddawali honory halabardami. Poprowadzili mnie do zapadniętej wnęki czy niszy, gdzie palił się mniejszy ogień. Za paleniskiem siedziała żywa kobieta odziana w biały strój pod czarną togą. Przypominała boginię, chociaż z trudem dostrzegłem, w co była ubrana, gdyż ogień, iskrząc się, strzelił w górę, prosto w jej twarz i gęste złote włosy, które spływały jej na ramiona. Próbowałem ją sobie wyobrazić w innym stroju.

Dziewczyna siedząca za ogniem lekko podniosła opuszczoną głowę i rzekła:

— Z czym przybywacie, żołnierze bogini, i cóż za złoczyńcę przywieśliście ku mnie? Jakie zło przywiódł on ze sobą na nasze ziemie?

Dwóch halabardników nabiło mnie, że tak powiem, na swoje groty i popchnęli naprzód. Podskoczyłem, co wyglądało tak, jakby to oni mnie podnieśli. Następnie usłyszałem głos kapitana, do tego stopnia zmieniony, że aż musiałem odwrócić głowę, aby na niego spojrzeć. Oniemiałem, kiedy zobaczyłem, że klęczy. Nie umiałem nawet wyobrazić go sobie klęczącego przed czymkolwiek innym niż jego miłość własna.

Jedną ręką opierał się o podłogę. Pozostali także klęczeli w takiej samej pozycji, z wyjątkiem dwóch halabardników w czarnych maskach, którzy stali obok, gotowi porąbać mnie swoimi siekierami lub nabić na groty włóczni. Kapitan straży przemawiał bardzo cichym, spokojnym głosem:

— O wybrana, surowa i czysta dziewico, której serce przepełnia mądrość bogini, której oczami bogini na nas spogląda. Przywiódłem tu oto tego, który zbezpieścił stado samej bogini i który zniszczył jednego ze świętych psów, strzegących świętego stada. Jest on czarownikiem, przybył z południa, szedł po lodzie i falach zamrożonego morza, a jego czary są tak wielkie, że nauczył się po trosze naszego języka, choć nie całkiem doskonale, co ty sama, pani, straszna kapłanko, usłyszysz wkrótce, jeżeli zezwolisz mu przemówić.

A ona odpowiedziała głosem, który zadźwięczał w moim sercu jak muzyka złotych strun:

— Przemówi oto i spełni mu się sprawiedliwość, sprawiedliwość samejże bogini. Ty, który stoisz tu, otwórz swe usta i przemów w swojej obronie, chyba że oniemiałeś z nikczemnej winy twojej i oddajesz się pod sąd i na łaskę bezimiennego imienia. Z pewnością jednak musisz mieć coś do powiedzenia.

## Rozdział XIV

### SPRAWIEDLIWOŚĆ BOGINI

Jak widzicie, nie tylko sam głos zrobił na mnie wrażenie. Także słowa.

Wystąpiłem pół kroku do przodu i dwie halabardy pojawiły się przede mną, gotowe odepchnąć, gdybym próbował rzucić się na boginię.

— Wszystko jest dla mnie takie dziwne, że nie potrafię rozpocząć inaczej, jak mówić prawdę — powiedziałem. — Jeżeli zaś powiem prawdę, zabrzmiała ona tak dziwnie, że nie sądzę, abyś mi, pani, uwierzyła. Wygląda jednak na to, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Czy się mylę?

— Dziwna jest jego mowa, lecz wypowiada ją obcy — odezwała się kapłanka. — Jego wargi nazywają mnie ty, i to jest dziwne. Jednakowoż prawdą jest, że wasze życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Jakże mogłoby być inaczej, skoro zbeczciliście święte stado bogini, bezimiennego imienia?

— Zrozumiałem to już wcześniej, z przemówienia sługi — rzekłem. — Dobrze słyszeć to od pani. Co więcej, rozumiem, że jeśli umrę, to mam być spalony.

— Tak to się odbywa — powiedziała dziewczyna, a po chwili dodała: — Podejdźcie bliżej, niech ogień oświetli waszą twarz.

Podszedłem do ognia tak blisko, by mogła mnie wyraźnie zobaczyć. Przez chwilę patrzyła, a potem powiedziała:

— Czy mieszkańcy waszego kraju przypominają was, nieznajomy?

— Gubię się w tłumie — odpowiedziałem. — Niektórzy wyglądają tak jak ja.

— To także dziwne, równie dziwne jak wasza mowa, która co niebądź odbiega od poprawnej angielszczyzny. Zostawmy to jednak. Kontynuujcie swą jakże dziwną obronę, nieznajomy.

Była taka śliczna jak rzeźbiony kryształ, taką samą czystą, świetlistą i chłodną pięknoscią. Wziąłem wtedy głęboki oddech, a wszelka nadzieja opuściła mnie, uchodząc przez podeszwy moich butów.

Rozpocząłem od samego początku. Opowieść zajęła mi dwie godziny. Przez dwie godziny umierałem i mówiłem, mówiłem, mówiłem. Zacząłem, że tak powiem, od punktu wyjścia. Opowiedziałem o mojej przyjaźni z Darrellem, o czasach, kiedy poganiałem bydło, o czasach, kiedy jak głupiec całe dnie z młotkiem poszukiwacza rąbałem skały w pogoni za bogactwem, o tym, jak kupiłem ranczo i obijałem się całymi dniami. I tak doszedłem do tamtej nocy w laboratorium, a później zupełnie nieźle rozwinąłem wątek północy, szczególnie dużo czasu poświęcając moim wyprawom po tamtejszych szlakach. Nie pominąłem żadnego ważnego szczegółu oraz kilku mało ważnych, aż w końcu zacząłem opowiadać o Scanderowie i o tym, jak wyruszyłem na biegun lodowy, następnie o tym, jak dotarłem do brzegu wyspy, o mojej podróży w głąb łądu, w której towarzyszył mi Zbój, jak dotarliśmy do wołów, o naboju posłanym jednemu z nich, o tym, że nigdy nawet nie słyszałem o bogini, którą gotów byłam

szanować z głębi duszy. Postanowiłem pominąć mój głupi wymysł, jak to otrzymałem znak od samej bogini.

Kiedy skończyłem, patrzyła na mnie przez chwilę, a następnie poprosiła, aby przyniesiono jej rzeczy, które przywiozłem ze sobą.

Przyniesli moje ubranie, rewolwer, strzelbę, pancierz oraz nóż. Po kolei wszystko dokładnie obejrzała. Chciała zobaczyć, do czego służył rewolwer.

Podano mi kolta. Nie potrafię opisać, ile znaczyło dla mnie odzyskanie z powrotem mojego przyjaciela. Znowu trzymałem go w dłoni.

Rozejrzałem się dokoła. Nadal byłem ponury, choć czułem pewną ulgę. Zastanawiałem się, dlaczego nie miałbym zastrzelić tych dwóch halabardników, a potem spróbować szczęścia z resztą. Pozostali bowiem nadal klęczeli, klęczeli przez całe dwie godziny. Bujali się tylko do przodu i do tyłu. Co najmniej przez następny miesiąc na pewno będą ich bolały kości. Nie daliby rady ścigać mnie lepiej niż jakiś kuternoga.

Zdałem sobie sprawę, że zanim wydostałbym się z jaskini, czekałaby mnie długa droga, kręta jak labirynt. Ponadto ufałem dziewczynie, kapłance, mimo jej chłodnej postawy. Słuchała mnie przecież, choć nieruchoma jak skała.

Wtedy poprosiłem o kapelusz kapitana.

Przyniesiono mi go, piękny czarny kapelusz, miękki jak jedwab, do którego z boku przyczepione było długie, białe, wijące się pióro, a właściwie nie jedno pióro, tylko chyba wiele największych piórek z piersi ptaka, posklejanych razem.

Poprosiłem tylko, aby jeden z halabardników stanął dwadzieścia kroków ode mnie i rzucił kapelusz w powietrze. Spełnił moją prośbę, a ja strzeliłem do kapelusza. Powtórzyłem to jeszcze dwukrotnie zanim kapelusz upadł na podłogę. Nigdy nie byłem wyborowym strzelcem, ale ta sztuczka nie jest znowu aż tak trudna. Wystarczyły moje przeciętne umiejętności. Przy tak dużym celu nie miałem żadnych kłopotów. Liczyła się wyłącznie szybkość.

Kazałem halabardnikowi zanieść kapelusz kapłance. Uklęknął na jedno kolano i podał jej nakrycie głowy.

Ona zaś obracała je na wszystkie strony, aż zauważyła trzy dziury w tkaninie, spojrzała z drugiej strony, a jej twarz pozostała ponura i nieruchoma jak skała.

Potem pokręciła głową i zobaczyłem pierwsze oznaki jej gniewu.

— Trzech ludzi mogło stracić życie, a pistoletu nie trzeba było ponownie ładować — powiedziała.

— Ten mały rewolwer może odebrać jeszcze trzy życia ludzkie — rzekłem nie bez dumy.

Pokiwała głową.

— To wystarczy — zdecydowała. — Zabrać go i niech ogień bogini go pochłonie.

Prawie upadłem na podłogę. Zaraz potem krzyknąłem:

— Sprawiedliwości! Chcę sprawiedliwości! Powiedziałem prawdę, a teraz mam być zamordowany? Czy to ma być sprawiedliwość?

Jej głos nawet nie zadrżał, kiedy mówiła:

— To, co tu widzieliśmy, to czary, którymi władacie. Czarownik trzymający w swoim ręku ludzkie życia potrafi podporządkować sobie duchy, które mogłyby mu opowiedzieć o bogini bezimiennego imienia. Dlatego też wiedzieliście, że zwierzęta należą do świętego stada i z własnej woli je zbeczęściliście. Skazują was wasze własne słowa i czyny. A teraz pośpieszcie się. Zabrać go stąd prędko i niech się stanie, co się ma stać.

— Niech cię piekło pochłonie — przekląłem. — Ciebie i całe wasze plemię. Już wiem, kim jesteś. Masz serce z kamienia. Byłem głupcem, bo wierzyłem, że jest w tobie przyzwoitość, prawda, honor lub dobroć!

Dwie halabardy siekierami odepchnęły mnie, raniąc mi przy tym pierś. Czułem, jak krew zaczyna płynąć z miejsc, gdzie ostrza przecięły skórę.

Związali mnie, jak wiąże się kozy w Meksyku. Skrępowali mi kostki i nadgarstki, po czym jeden z halabardników przerzucił mnie przez ramię i zaniósł na środek sali, gdzie ogień palił się na kolanach wielkiej rzeźby.

Łatwo odgadłem, że przedstawiała boginię. W chwilę później jeszcze się upewniłem, kiedy postawiono mnie na nogi i zobaczyłem, jak kapłanka bije czołem przed wielkim ogniskiem.

Klęcząc, mówiła:

— O wielka bogini, opiekunko i zbawicielko, cała jesteś mądrością i łaską, wejrzyj w me serce, które sądzi, niech wyrok mój będzie twoim wyrokiem, potwierdź go i przyjmij ofiarę. Niech zło opuści tego człowieka wraz z ogniem, a jego oczyszczona dusza niech padnie do twych stóp i na zawsze pozostanie twoim niewolnikiem!

Po tych słowach odwróciła się, stanęła twarzą do mnie i podniosła rękę.

Jednocześnie, nie wiadomo skąd, pojawiło się dwóch ludzi w czarnych togach. Pochwycili mnie i zaczęli ciągnąć w kierunku ognia.

Jest w tym coś dziwnego, że nie próbowałem się wyrwać i walczyć o życie. Bez względu na to, jak głupie byłoby takie posunięcie z mojej strony. Nawet nie krzyczałem. Patrzyłem tylko uparcie w twarz dziewczyny.

Stała teraz bardzo blisko mnie i jej uroda jawiła się jeszcze wyraźniej niż wcześniej. Nie było w niej żadnej skazy. Jeszcze bardziej przypominała błyszczący kryształ, tak odległa ode mnie i ludzkich spraw.

Kiedy na nią patrzyłem, nie wierzyłem, że takie okrucieństwo mogło iść w parze z taką twarzą, z takim wykwintnym, delikatnym pięknem. Ona także popatrzyła mi prosto w oczy, prosto w moje serce i duszę, i nawet najmniejszy mięsień nie drgnął w jej twarzy.

Usłyszałem tupot i szuranie, najpierw gdzieś daleko, później szybko przybliżające się. W chwili kiedy dwaj halabardnicy pochwycili mnie, by wrzucić do ognia, na jednego z nich spadła biała błyskawica. Zachwiał się, upadł, a następnie spadł z podwyższenia. Spadając uderzał o stopnie schodów — klap, klap, klap. Przy każdym uderzeniu krzyczał, aż w końcu walnął o podłogę.

Drugi z katów odskoczył ode mnie i wyjął nóż. Biała błyskawica natomiast okazała się być niczym innym jak Zbójem, który podskoczył, oparł swoje wielkie przednie łapy na mojej piersi i polizał mnie po twarzy.

Wtedy przemówiła kapłanka:

— Lo, bezimienne imię może przemówić nawet głosem niemego, czy napisać swój wyrok łapą zwierza. Ten człowiek jest wolny, a my, którzyśmy go chcieli sądzić, jesteśmy głupcami.

Zebrany tłum pomrukiem wyraził aprobatę dla jej wyroku.

Na jej rozkaz zaprowadzono mnie do innego pomieszczenia, przylegającego do wielkiej sali.

Wydawało mi się, że kapitan straży nie uważa już mnie za podłego kundla. Zdawał się rozważać możliwość, że przynajmniej w połowie mogę być człowiekiem. W pokoju, do którego weszliśmy, stało kilka wielkich szaf, a w nich wisało dość ubrań, aby odziać wojsko. Wszystko tam było piękne. Tysiące metrów koronki, bele futer, jakich nawet wielki książę Rosji mógłby pozazdrościć.

Jednak w całych tych stertach nie mogłem znaleźć niczego odpowiedniego. Kazano mi wybrać coś, ja zaś powiedziałem, że jest mi wszystko jedno.

Młody kapitan, który sam był strojnisiem, zaczął więc wybierać to, co się jemu podobało, mnie zaś niekoniecznie.

Sam zatem wyszukałem dla siebie kapelusz z jakiegoś czarnego materiału przypominającego aksamit, z szerokim, opadającym rondem, z jednej strony podwiniętym do góry i przyczepionym dużą, rudawą zapinką. Spod zawiniętego ronda wystawało pióro. To dopiero

było pióro — długie na metr, śnieżnobiałe, błyszczące, które podobnie jak u kapitana, składało się z tysięcy puszystych, małych piórek. Ktoś, kto je połączył w jedno wielkie, musiał mieć niebywałą cierpliwość.

Wziąłem sobie parę butów z kwadratowymi noskami. Były w sam raz, proste i niezbyt wyszukane. Przypiąłem do nich wielkie ozdobne sprzączki, które mi się podobały.

Miałem też długie niebieskie pończochy, miększe i cieńsze niż jedwab. Rozsądek odsunąłem na bok. Aby pończochy trzymały się pod kolanem, potrzebowałem podwiązek i Dymek Cassidy wybrał dla siebie parę ozdobioną szafirami. Dziękuję.

Następnie wziąłem parę spodni w kolorze śliwkowym, z tego samego co kapelusz materiału przypominającego aksamit.

Potem musiałem mieć jakąś koszulę. Ta, którą wybrałem, miała tyle haftów i koronek, że z powodzeniem mogła służyć jako kapa na ołtarz do wielkiej katedry, gdzie świece palą się w pozłacanych lichtarzach, a wszędzie wokół pachnie kadzidło.

Zresztą wydawało mi się, że sama koszula także pachniała jakimś kadzidełkiem. Kiedy ją założyłem, zobaczyłem ogromną kryzę sterczącą naokoło mojej szyi oraz chłodne i obfite wodospady koronek spływające wokół moich nadgarstków. Zastanawiałem się, czy jakakolwiek praczka śmiała je tknąć inaczej niż z modlitwą na ustach.

Jednak koszula nie była ostatnim z cudów. Nigdy w życiu. Ukoronowaniem dzieła okazał się płaszcz. Nie widzieliście podobnego poza sceną, zaś na scenie można zobaczyć tylko imitacje. Ten zrobiony był również z aksamitnego materiału z połyskiem, miał szerokie, kwadratowe mankiety, usztywnione złotym szamerowaniem, a zapinał się na guziki ze szmaragdów.

Cudo to było koloru żółtego. Nie, żółty nie jest właściwym określeniem. Czy przypominacie sobie, jakiego koloru jest miąższ przejrzałej moreli, kiedy jej skórka staje się brunatnoczerwona?

Takiego właśnie koloru był mój płaszcz. Kiedy go włożyłem, pomyślałem, że to już wystarczy, lecz kapitan straży powiedział, żebym się nie wygłupiał, a co z mieczem?

Powiedziałem, że miecz to dobry pomysł. Wyniósł więc około dwóch setek mieczy, abym je obejrzał. Niektóre miały plecione rękojeści, inne zwykłe żelazne w kształcie krzyża, były też takie z dzwonekowanymi stalowymi gardami, aby ochronić kostki przed przecięciem albo przebiciem. Niektóre ostrza były wąskie i ostro zakończone jak soople lodu, choć wszystkie miały po dwie krawędzie. Widziałem wystarczająco ciężkie i szerokie, aby mogły rozłupać kowadło. Poza prostymi znalazły się tam również te o zakrzywionych ostrzach, szerokie i ciężkie, którymi można było wykonywać piękne pchnięcia.

Wystarczająco dużo czasu spędziłem w Ameryce Południowej, żeby nie chwalać się, nauczyć się posługiwać maczetą. Setki godzin przećwiczyłem z ciężkimi, tępych nożami, których tam używają do szermierki. Maczeta potrafi ciąć trzcinę cukrową z taką łatwością, z jaką sierp zgarnia wiązkę delikatnej trawy. Tubylcy opracowali regulamin walk na maczety prawie tak dokładny i naukowy jak zasady walki na krótkie miecze. Mnie tej sztuki uczyli sami mistrzowie, a jako nauczyciele byli chętni i pełni zapału. Wystarczającą zapłatą były odniesione nade mną zwycięstwa i nauczka, jaką od nich dostawałem. Nawet jeżeli maczeta, której się używa, ma tępe ostrze i tak walnięcie w głowę, trzepnięcie w ramię, w żołądek, pchnięcie czy plaśnięcie po nogach to nie błahostka. Kiedy raz cię trafi, trudno zapomnieć i przez całą noc człowiek planuje, jak tu odparować cios, wychodząc na swoje.

Po trzech latach harówki, tam, w Ameryce Południowej, doszedłem do takiej wprawy, że moi nauczyciele dostali ode mnie więcej niż ja od nich, mimo iż te paskudne łajdaki miały w zwyczaju sprowadzać, nawet z daleka, sławnych mistrzów, aby spróbowali się ze mną. Sami zaś stali wkoło i trzymali się za chude brzuchy, skrzęcając się ze śmiechu. Jednak wyszkoliłem się do tego stopnia, że dawałem radę nawet tym najślawniejszym. Mniej więcej w tym właśnie czasie opuściłem krainę malarii i żółtej febry, powracając do mniej niebezpie-

cznych, mocniejszych i czystszych komarów z moich rodzinnych stron.

Zrobiłem tę dygresję, abyście zrozumieli o czym pomyślałem na widok wielkiego jatanu z ostrzem jak kawałek wyciętego nieba, którego rękojeść była wzmocniona i chropowata od ozdabiających ją małych rubinków. Chwyciłem go, sprawdziłem doskonałe wyważenie, parę razy przeciąłem powietrze i powiedziałem, że ten będzie w sam raz.

Kapitan zgodził się ze mną. Ze swej strony, jak stwierdził, wolał proste miecze, choć zakrzywionym ostrzem łatwiej przebić zbroję. Któregoś dnia byłby zaszczycony, mogąc skrzyżować ze mną miecze, aby w przyjacielskim pojedynku przekonać się o wyższości jednego lub drugiego rodzaju broni. Na co ja odrzekłem, że z przyjemnością się z nim zmierzę. I naprawdę tego pragnąłem.

Kiedy skończyłem ze strojem i bronią, myślałem, że to już wystarczy. Jednak w czasie gdy ja podziwiałem własne odbicie w długim zwierciadle, obracając się na wszystkie strony, wypinając pierś, wciągając brzuch, opierając się na rękojeści mego nowego miecza, znowu nadszedł kapitan straży i podał mi wielką czarną perukę, którą trzymał w ręce.

— Czuliś się niezręcznie z tak odkrytą głową! — powiedział.

Zaśmiałem się zmieszany. Chciałem, żeby mój śmiech tak właśnie zabrzmiał, i szybko włożyłem perukę na głowę.

Nasunąłem ją tył na przód, lecz gdy w końcu nałożono mi ją prawidłowo, wygładzono i wyczesano, zobaczyłem, że była to najpiękniejsza peruka, jaką widzieliście. Wyglądała w niej zupełnie inaczej. Błyszczące, czarne loki spływały mi na ramiona, fruując i szeleszcząc dokoła za każdym razem, kiedy kręciłem głowę.

Tak, pomyślałem, peruka wieńczy wszystko wspaniale. Prawdę mówiąc, muszę przyznać, sam byłem z siebie dumny. Podobnie chyba myślał kapitan. Odszedł na kilka kroków, przyjrzał mi się spod przymrużonych powiek, a następnie wyrzucił z siebie:

— Po prawdzie, panie, nie suknie zdobiją człowieka, jakoż nadają one szlachetny wygląd, dzięki któremu nie sposób pomylić się co do dobrego urodzenia!

Im dłużej mi się przyglądał, tym bardziej mu się podobałem. Z każdym mrugnięciem znajdował nowe powody do zachwyty.

— Nie potrafię, panie, oprzeć się uczuciu, że wcześniej źle was oceniłem — przyznał w końcu.

Po raz pierwszy w zupełności zgodziłem się z kapitanem. Dojrzałem w nim głębszą duszę, niż mu wpięrow przypisywałem. Właściwie zacząłem nawet darzyć go pewną sympatią. Pomyślałem, że moglibyśmy dogadać się ze sobą bez względu na jego czerwoną brodę i jeszcze bardziej czerwone obcasy.

Kiedy już byłem gotowy, zaprowadził mnie z powrotem do kapłanki. Idąc z nim słuchałem, jak szeleszczą moje ubrania, jak dzwięczy miecz w pochwie i jak dzwoni złoty łańcuch, na którym pochwa miecza przyczepiona była do pasa. Przede wszystkim jednak słuchałem szeptu jedwabiu tuż nad moim uchem:

— Dymku Cassidy, pasuje ci to, wyglądasz wspaniale!

Potem kapitan wprowadził mnie do pokoju, który na pierwszy rzut oka wcale nie był pokojem... W nim właśnie znowu ujrzałem kapłankę.

## Rozdział XV

### LUZDZIE Z WNEŁTRZA GÓRY

Pomieszczenie było okrągłe. Miało jakieś pięćdziesiąt metrów po przekątnej. Wcale nie wyglądało jak pokój, ponieważ przykrywała je szklana kopuła, tak że wyglądało jak maleńki kawałek ziemi z rozpiętym nad nim niewielkim niebem.

Kawałek ziemi? Powinienem był powiedzieć kawałek rajy, jako że nigdy nie widziałem takiego ogrodu. Panowała majowa temperatura, dokoła zaś tu i tam, w rzędach, grządkach i klombach kwitły kwiaty, których nie znałem. Nie były to róże ani fiołki, ani margerytki, choć wyglądały jak ich bliscy krewni. W samym środku tryskała fontanna, śmiało wypełniając całe miejsce muzyką. Zrozumiałem, że znajduję się w zwykłej cieplarni, gdzie najlepiej, jak tylko można, wykorzystywano słabe słońce Arktyki.

W takim przyćmionym świetle kwiaty zdawały się jeszcze piękniejsze.

Jednak to nie kwiaty, ani nie fontanna przyciągały mój wzrok. Przynajmniej nie na długo. Za bardzo interesowali mnie inni ludzie, których widziałem i słyszałem. Słyszałem także mile łechcący ucho dźwięk instrumentu przypominającego gitarę, choć o znacznie czystszej, srebrzystym brzmieniu. Przy akompaniamencie tego właśnie instrumentu dziewczęcy głos śpiewał wiersz Szekspira do melodii, której na pewno nigdy nie słyszeliście:

*Kimże jest Sylwia  
czymże ona jest  
że wszyscy jej kawalerowie  
sławią jej cnoty?*

Stałem jak zaczarowany, dopóki tamta nie skończyła. Nie śmiałem nawet szepnąć słowa. Wzrokiem pożerałem złotą dziewczynę, kapłankę bezimiennego imienia, jak oni ją nazywali.

To nie ona śpiewała. Nie, ta, której głos słyszałem, była przeciwieństwem mojej kapłanki. Włosy miała tak ciemne, jak tamta jasne, nie nosiła prostej sukni, ale jej strój składał się z ogromnej ilości koronek, falbanek i innych takich tam. Jej włosy były spięte w kok, wysoki na jakieś trzydzieści centymetrów, upudrowane, aż iskrzyły się od poppinanych klejnotów lub też kamieni przypominających klejnoty.

Jeśli ktoś gustuje w brunetkach, to ta była ładna, bardzo ładna. Jednak mnie w tej chwili wydawała się tylko gwiazdą, która swym nikłym światłem próbowała zaćmić księżyc.

— Czy podoba wam się pieśń? — spytała brunetka, kiedy już skończyła śpiewać.

— Wspaniała — odrzekła kapłanka. — Poczekaj jednak chwilę, Alicjo, zanim znowu zaśpiewasz. Wchodzi nieznajomy.

W tej właśnie chwili kapitan straży dał mi kuksańca w bok, tak że wysunąłem się naprzód, zdejmując kapelusz, aby wykonać najwspanialszy ukłon, jaki sobie mogłem wyobrazić. Niestety, cholerna peruka zaplątała się w kapelusz i kiedy próbowałem go z gracją zdjąć, zdjąłem także i to diabelstwo. Wszyscy dokoła wybuchnęli gromkim śmiechem, a ja stałem na środku mrugając oczami.

Najgłośniej brzmiał głos brunetki, Alicji. Z gardła kapitana straży dochodziły odgłosy tłumionego chichotu, za to śmiech Alicji rozlegał się z całą mocą.

Jedynie oczy kapłanki nie drgnęły nawet i nadal patrzyły na mnie ponuro, a na jej ustach błąkał się niewyraźny uśmiech, który zresztą zaraz znikł. Pozostała chłodna, blada, spokojna i jaśniejąca wewnętrznym światłem jak zwykle.



— Spokój, Alicjo, spokój — powiedziała delikatnie. — Zaiste, niegrzeczna i nieuprzejma jesteś dla naszego gościa.

— Jestem człowiekiem, Sylwio, i muszę się śmiać — odpowiedziała dziewczyna. — Nie jestem takim cierpliwym, ponurym potworem jak wy, pani.

— Cicho, Alicjo — nakazała kapłanka.

Przez cały czas powtarzałem jej imię, aż doszedłem do wniosku, że Sylwia pasowało do niej wspaniale. Gdybym to ja miał wybrać dla niej imię, sam bym ją tak właśnie nazwał.

Kapitan podniósł z podłogi moją perukę i podał mi ją. Ni stąd ni zowąd poczułem, że mam już dość tego całego przepychu, tak jak ma się dość pięknego konia, z którego się spadnie. Przeklinając pod nosem wepchnąłem perukę do kieszeni, wysunąłem do przodu szczękę, zgrzytnąłem zębami i oczekiwałem kłopotów.

Sylwia zwróciła się do mnie:

— Czy jesteście zadowoleni, mój przyjacielu, ze sprawiedliwości, którą bogini wam okazała?

Powiedziałem, że jestem zadowolony. Byłem bardziej niż zadowolony. Chciałem osobiście podziękować jej za to, co dla mnie zrobiła. Na te słowa jej brwi uniosły się nieco, otworzyła szeroko oczy, popatrzyła na mnie i powiedziała:

— Ale cóż ja takiego uczyniłam? Wszak nie mam mej własnej woli, oprócz tej bezimiennego imienia. Nie mam też nic do darowania poza jej darami. We wszystkim, co dotyczy jej świętej woli, jej głos przemawia przez me usta. Nie mnie dziękuj, lecz jej, bezimiennej!

Wyobraźcie sobie, że mówiła całkiem poważnie. Szczęka mi opadła, pięści się rozwarły i patrzyłem na nią. Zdałem sobie sprawę, że nieważne z jakich zabobonów składała się ta jej religia, ale dla niej była świętością.

Bez względu na wszystko ta bezimienna bogini była dla Sylwii faktyczną i prawdziwą panią życia i śmierci, jej rozkazy stanowiły jedyną sprawiedliwość, a mądrość jej była nieskończona.

Wyczytałem to w oczach Sylwii, jasnych, ślicznych, błyszczących. Krótka chwila milczenia, jaka nastąpiła po jej słowach, wyjaśniała wszystko.

Potem znowu zaczęła mówić, że skoro, jak sądziła, ocalałem, bo ujęły się za mną niebiosy, nie miała już wątpliwości, że wcześniej opowiedziałem jej o sobie prawdę. Mimo iż cała historia była tak dziwna, że, używając jej własnych słów: „przechodziła wszelkie cuda i dziwy”, i aż ją zdumiewała.

Jeżeli zaś chodzi o Darrella, to nic o nim nie wiedziała, lecz jeżeli przebywał tu, ludzie z góry będą coś wiedzieli.

Zapytałem, kim są ludzie z góry, a ona powiedziała:

— Nie, przybyszu. Nie było mi to objawione, ani też, jak się nie mylę, nikomu innemu oprócz samych tych mędrców. Oni jednak są przyjaciółmi bogini. Mieszkają oddzielnie, w samym środku góry, na jej strzelistych ramionach. Posłałam do nich, aby dowiedzieć się o waszego przyjaciela. Po prawdzie, na imię samej bogini, posłałam do nich i na pewno nie będzie nam kazane czekać zbyt długo na odpowiedź. Czy zechcecie usiąść i poczekać? A wy, kapitanie straży?

Kapitan skłonił się, wzbudzając swym ruchem moją zazdrość. Podziękował jej jednak, bo, jak powiedział, nie przystoi mu siedzieć w jej obecności.

Sylwia uśmiechnęła się do mnie, dodając mi w ten sposób otuchy.

Dziewczyna o imieniu Alicja podeszła do mnie jednak i powiedziała:

— Po prawdzie, przyjacielu, ciekawość pożera mnie jak wilk, kiedy słyszę waszą mowę przez nos. Oddałabym pierścienie z mych palców, ażeby dowiedzieć się więcej o południowej krainie, z której pochodzicie.

Miała miły, wesoły głos, w którym słyszałem lekką kpinę skierowaną przeciwko mnie.

Radość aż tryskała z całej jej postaci.

— Jeśli poświęcis mi troszkę czasu i uwagi — powiedziałem — możesz zatrzymać swoje pierścionki i dowiedzieć się wszystkiego, czego chcesz.

Zmierzyła mnie z góry do dołu, po czym roześmiała się ni to przyjaźnie, ni to kpiąco.

— Sylwio, jest tak, jak rzekliście — powiedziała. — W jego mowie, na swój sposób, słysząc tętniące życie. Pochodzicie z wielkiego kraju i wielkiego narodu, czyż nie?

— Ponad wszystkie największego na świecie — odpowiedziałem.

— Tak? Największego? — Zdziwiła się, unosząc brwi.

— Z pewnością, Alicjo! W oczach każdego człowieka jego kraj jest największy i jego naród najwspanialszy.

— Powiedzcież mi jednak — rzekła Alicja — czy wasza kraina jest tak wielka jak nasza i czy są tam góry tak wielkie jak dymiące góry?

— Mój kraj mógłby nakryć czapką ze trzy albo cztery tuziny takich małych wysep jak ta — odpowiedziałem.

— Ach! — Ze zdziwienia aż zamrugła oczami. — A czy jest równie piękny?

Spojrzałem dokoła siebie.

— Czy podoba ci się ten ogród? — spytałem.

— Jest to cud piękności, jako że stworzyli go ludzie z góry — odpowiedziała. — Azaliż w waszym królestwie jest taki, który by mu mógł dorównać?

— Raz albo dwa razy do roku cały mój kraj wygląda jak ten ogród. Nie za sprawą człowieka, tylko słońca i deszczu kwiaty wyskakują pod stopami, a wiatr niesie ich słodycz. Mówię ci! Rozciągnij ten ogród w dolinę, szeroką na sto mil, wyłożoną wielobarwnym, kwiecistym kobiercem, w dali ustaw porządne, błękitne góry, a wszystko otocz błękitnym niebem z kilkoma białymi barankami chmur tu i ówdzie, a wtedy będziesz miała pojęcie o widoku, na który spoglądałem nie jeden, lecz wiele razy!

Spojrzała mi prosto w oczy, bez słowa, ale ja wiedziałem, że w duchu powtarza sobie, iż jestem jednym z największych i najbardziej niezręcznych kłamców na świecie.

Sylwia sprawiała wrażenie niespokojnej. Wszystko w niej było najwspanialsze, także głos, kiedy powiedziała:

— Podróżnemu wszystko, co pozostawił za sobą, wydaje się piękne. Oczy duszy są bardzo łaskawe, Alicjo, kiedy spoglądają na ojczyznę.

— Przyszłam tu dla igraszki i istotnie, znalazłam ją — powiedziała Alicja.

— Uważasz, że kłamię prędzej niż tyka zegar — zwróciłem się do niej. — Gdybym chciał kłamać na temat mojego kraju, mówiłbym o nim gorzej, a nie lepiej. Wiem, że prawda jest zbyt wspaniała, abyś ją mogła przełknąć.

— Jak poeta, Sylwio — stwierdziła tamta — mówi o prawdzie jako o czymś do połykania. Możecie, panie, zadławić się albo też dostać niestrawności.

Roześmiała mi się w twarz. Była beczelna, ale wesoła, co mi się podobało. Rozmowa z nią przypominała wolną amerykankę i to także mi się podobało. Znacznie lepiej, kiedy przeciwnik bije otwarcie, niż kiedy zadaje ciosy za plecami. Nie miałem wątpliwości, że wkrótce powie mi prosto z mostu, co o mnie myśli.

Chciałem nieco zmienić temat konwersacji, tak aby włączyła się śliczna, delikatna, cierpliwa Sylwia, lecz przybiegł goniec. Szczupły, ładniutki chłopak w obcisłych pończochach i bufiastych spodniach do połowy uda. Na głowie nosił beret z piórkiem na boku, spod którego sterczały rude loki. Uklęknął na jedno kolano i podał Sylwii zwój, sztywny i przezroczysty, który wyglądał mi na stary pergamin.

Była na nim wielka pieczęć. Dziewczyna wstała i trzymając pergamin w obu rękach uniosła go do góry mówiąc:

— W imię bogini bezimiennej!

Następnie usiadła, złamała pieczęć, przeczytała zawartość zwoju i pokręciła głową.

Potem spojrzała na mnie i westchnęła:

— Przybyliście z daleka.

Pokiwałem głową, z trudem powstrzymując ciekawość.

— Przybyliście tu dla przyjaciela?

— Tak — odpowiedziałem. — Co z Darrellem?

Przez chwilę nic mi nie odpowiadała. Na jej twarzy malował się smutek, jakby nie mogła znaleźć właściwych słów. Patrząc na nią czekałem, a strach ścisnął mi serce.

Zaczęła czytać na głos:

— „Powiedz obcemu, że to, czego szuka, może znaleźć, lecz że droga do celu prowadzi obok Fontanny Życia”.

Pergamin upadł jej na kolana. Patrzyła na mnie, a jej łagodne oczy przepełnione były współczuciem.

## Rozdział XVI

### FONTANNA ŻYCIA

— Fontanna Życia! — wymamrotał przestraszonym głosem dowódca straży.

— Fontanna Życia! — ciężko westchnęła Alicja, po raz pierwszy zbita z tropu.

— Okazuje się, że mam rację i że jest tu Darrell — powiedziałem. — Mało mnie obchodzi, którą drogą prowadzi ścieżka, bo i tak będę nią szedł. Jeżeli powiecie mi, gdzie się rozpoczyna, spróbuję dojść nią do końca.

— Czyż odważycie się? — zapytała Sylwia.

— On nigdy nie widział Fontanny ani drogi, która tamtędy prowadzi — odezwała się Alicja. — Inaczej z pewnością serce by w nim zamarło na samą myśl.

— Nie, Alicjo — odpowiedziała kapłanka. — Przyjaźń jest wielką rzeczą. Z jednej strony wznosi się do gwiazd, a z drugiej sięga środka ziemi. Zobaczycie drogę, ja sama ją wam pokażę. Alicjo, pójdziesz z nami?

Bezczelna Alicja kręciła głową, aż jej wyszukany stroik na głowie zaczął dzwonić jak małe dzwoneczki.

— Widziałam drogę raz, bo każdy z nas musi ją zobaczyć, i ten jeden raz zupełnie mi wystarczy — powiedziała. — W nocy miewam o niej okropne sny. Widziałam Fontannę Życia i jeden raz mi wystarczy. Czy pójdziecie tam z własnej woli, Sylwio, aż do wejścia do potwornego miejsca?

— Oczywiście, moja wola jest wolą samej bogini i czuję, że ona mnie teraz prowadzi — odrzekła Sylwia.

Wstaliśmy więc, a Alicja pozostała w ogrodzie wciąż wołając za Sylwią, błagając, aby nic nie robiła pochopnie. Kapłanka jednak była spokojna i niewzruszona jak głaz.

Na początku tej dziwnej podróży, z pewnością najdziwniejszej z dziwnych, eskortowały nas dwie pary halabardników, których prowadził rycerski kapitan. Przechodziliśmy przez długie, coraz niżej położone komnaty, sale i wąskie korytarze, czasem schodziliśmy po pochyłościach, czasem po nieskończonych schodach, o stopniach wyżłobionych w litej skale, wreszcie zeszliśmy na taką głębokość, że dał się odczuć wzrost temperatury. Poczulem też nieprzyjemny zapach wilgoci. Ciepłe krople rosy wisiały na skałach, a światło latarni mrugało dziwnie wzdłuż korytarzy.

W końcu dotarliśmy do wielkiego, sklepionego pomieszczenia, w którym znajdowało się około dwunastu żołnierzy, skapo odzianych ze względu na panujące gorąco.

Gdy weszła kapłanka, próbowali pośpiesznie się okryć, lecz jej poczciwe oczy nawet ich nie zauważyły. Zwróciła się do siwego mężczyzny. Rękojeść jego miecza błyszczała, jakby dając świadectwo o szlachectwie swojego właściciela.

— Ten oto przybysz ma spojrzeć na Fontannę Życia i drogę, która obok niej prowadzi. Dlatego niech otworzą się drzwi.

Siwobrody posłał mi długie, zdumione spojrzenie. Następnie pokłonił się Sylwii i powiedział, że stanie się zadość jej woli. Stwierdził jednak, że czas nie jest po temu odpowiedni.

Ledwo skończył, gdy usłyszeliśmy wybuch, od którego podłoga pod naszymi stopami zadrzęła. Potężne, stłumione grzmienie dochodziło do grubych, kamiennych ścian.

Siwobrody, który odszedł, powrócił i zapytał Sylwię, czy nadal chce, aby spełniła się jej wola, a ona uśmiechnęła się do niego łagodnie:

— Wiecie dobrze w czyim imieniu przybywam.

— Wiem dobrze — odpowiedział poważnie. Kiedy wracał w kierunku rogu pomieszczenia pociągnął za ramię dźwigni sterczące z podłogi. Usłyszałem trzaśnięcie i zgrzytanie, jakby odmykały się wielkie zasuw. Pociągnął jeszcze kilka dźwigni. Dopiero teraz ujrzałem, jak ogromna część ściany obraca się na zewnątrz na ruchomej platformie.

Uderzyła w nas fala gorącego powietrza, które wtargnęło przez szczelinę szeroką na jakieś trzy metry. Zajrzałem w ogromny otwór, gdzie igrały czerwone języki płomieni, strzelając co chwila do góry. Miałem wrażenie, że zaglądam do wnętrza rozpalonego pieca.

— Oto Fontanna Życia — wskazała Sylwia.

Kiedy mówiła patrząc daleko, w dół, do wnętrza otchłani, zobaczyłem jak wznosi się biała fontanna ognia. Chwilę stoi drżąc i wyrzucając dokoła niesłychane strumienie światła, aż wreszcie rozpada się w górze i spada deszczem błyszczących kropel.

Z gardeł strażników dobiegł cichy jęk. Ja sam także chciałem jęknąć, lecz głos uwiązał mi gdzieś w głębi gardła, a włosy zaczęły stawać na głowie.

— Oto droga — Sylwia pozostała nieporuszona. — Oto droga, biegnie na prawo, wzdłuż zbocza. Z tego miejsca sam możesz dojrzeć, jak wije się wśród skał. Kiedy dojdiesz do tego ostrego zakrętu, zobaczysz jej dalszą część, aż do innego portalu. Jest to wejście do siedziby ludzi z góry, jasnowidzów i mędrców. Zgodnie z wolą bogini oni rządzą naszym krajem. Obok wejścia, wbita w skałę znajduje się metalowa tarcza. Uderz w nią, a drzwi wkrótce się otworzą i będziesz mógł wejść. Idź wtedy, zanim drzwi się nie zamkną.

Ruszyłem w kierunku drzwi i wszedłem na ścieżkę, którą mi wskazała. Uczyniłem zaledwie jeden krok, spojrzałem w dół i zamarłem. Stopy wrosły mi w ziemię. Na widok tego, co zobaczyłem, zakręciło mi się w głowie.

Wyobraźcie sobie kocioł głęboki na trzysta metrów. Piana w nim była z ołowiu, podbijana od dołu, kręcąca się i wirująca, kiedy płyn wrzał. Od czasu do czasu wśród piany widać było czerwień stopionego metalu lub biel szalejącego płomienia.

Właśnie taki widok ujrzałem, kiedy popatrzyłem w dół. Coś mnie ścisnęło za gardło i poczułem straszne, prawie nieodparte pragnienie, aby skoczyć ze zbocza i rzucić się w tę straszłą kipieli.

Wiedziałem jednak dobrze, co to jest. Przybyłem do Krainy Dymów i oto znalazłem się u źródła dymu! Patrzyłem dosłownie na jądro wulkanu. W powietrzu unosiły się opary fosforu i siarki. Nie dusiły mnie jednak, ponieważ miały w górze wolne ujście, ku któremu unosiły się z silnym prądem ciepłego powietrza. Gdzieś wysoko nad sobą widziałem otwór krateru. Czasem przesłaniał go dym, u czasem odsłaniał, kiedy buchał ogień.

Nie miałem dość odwagi, aby podążać tą straszną ścieżką. W każdej chwili mógł nastąpić kolejny wybuch i wypełnić krater piorunami i strumieniami ognia.

Zacząłem wątpić w mądrość „mędrców”, którzy żyli tuż obok wulkanu!

Potem przez potężny ryk tej kipieli usłyszałem jakiś głos tuż nad uchem:

— Bracie, wszystko co nieznanne wydaje się straszne. Pójdźcie za mną, a zobaczycie, że

droga ta wcale nie jest trudna!

Mówiąc te słowa Sylwia mijając mnie, poszła prosto przed siebie, w kierunku mrocznego piekła, rozświetlanego żywym ogniem!

Wstyd, żal i uwielbienie — wszystkie te uczucia razem rozwiały na chwilę moje obawy i pobiegłem za nią. Dobiegłem i dotknąłem jej ramienia.

— Wracaj! Wracaj, Sylwio! — krzyknąłem jej do ucha.

— Wszystko dzieje się tak, jak tego pragnie bogini — powiedziała spokojnie. — To ona chce, abym udała się z tobą aż do kresu mego panowania.

Wtedy odwróciła się i znowu ruszyła wprost przed siebie, a ja szedłem za nią wcale nie dlatego, że chciałem, ale dlatego, że nie mogłem pozwolić, aby taka dziewczyna była odważniejsza niż ja! Ona zaś nieprzerwanie szła.

Wokół nas robiło się coraz goręcej. Nigdy wcześniej upał nie dawał mi się tak we znaki. Wszystko mnie piekło. Sylwia zarzuciła sobie na głowę połę płaszcza, ja zdjąłem swoje okrycie i również założyłem je sobie na głowę, aby ochronić się przed gorącem. Nie było jednak skutecznego środka na taki żar.

Co gorsza, raz brnęliśmy przez hałdy popiołu, a po chwili wąska krawędź prawie zaniżała i szliśmy po występie skalnym szerokim na niecałe pół metra.

Musiałem patrzeć pod nogi, a kiedy patrzyłem w dół, widziałem straszliwe wnętrza góry, bulgoczące i wyciągające w moim kierunku swoje purpurowe ramiona.

Nie znoszę wspominać tamtych chwil. Zwłaszcza tego momentu, gdy ścieżka stała się szersza, a ja potknąłem się na niewielkim kamieniu, który spadł mi pod nogi, upadłem jak długi i zacząłem się toczyć aż do krawędzi otchłani.

Byłem nad krawędzią, spadałem, aż poczułem, jak dziewczyna chwytła mnie. Rzuciła się na kolana. Wisiałem nad brzegiem przepaści, pod sobą miałem tysiąc stóp niewypowiedzianego piekła. Zobaczyłem, że Sylwia mocno trzyma mnie za rękę, mimo iż siła mojego upadku ją także pociąga w dół.

W rzeczy samej, poświęciła się całkowicie woli swej bogini, co do tego nie miałem wątpliwości. Jeszcze sekunda, a oboje spadlibyśmy w to czerwone piekło.

Udało się jednak i byliśmy uratowani. Poczułem ulgę, kiedy na kolanach z powrotem wczółgałem się na występ, chwyciłem skałę, niebezpieczeństwo minęło.

Ciężko mi również wspominać to, co nastąpiło potem. Spuszczam głowę i trzęsę się ze wstydu, ale powiem prawdę. Na czworakach wydostałem się z tarapatów, chwyciłem kapłankę i w fałdach jej płaszcza ukryłem swą wystraszoną twarz. Jak spanikowane dziecko!

Wtedy ona położyła mi rękę na głowie, pochyliła się i zaczęła mnie uspokajać. Podążyła mi swą silną, smukłą dłoń i pomogła mi, tchórzowi, stanąć na nogi.

Tak więc prawie nie wiem, co robiłem, ani dokąd szedłem, ponieważ ze strachu ugięły mi się kolana i plątały myśli. Drżącą dłońią chwyciłem ją pod ramię. W ten sposób pokonaliśmy owo straszne zbocze. Minęliśmy zakręt nad przepaścią i jakieś sto metrów przed sobą zobaczyłem wielki portal z kolumnami, dokładnie jak to opisała kapłanka.

Miałem wrażenie, że zbliżam się do wrót piekieł!

## Rozdział XVII

# BIAŁY OGIEN

W końcu, dzięki dłoni i słowom dziewczyny oraz własnemu poczuciu wstydu znowu stałem mocno na nogach. Wydało mi się, że nie dbam o to, co się stanie. Gotów byłem sko-

czyć prosto w ramiona śmierci, jeśli zaszłaby taka potrzeba, byle tylko nie okazać ponownie braku zimnej krwi.

Kiedy zatrzymałem się zobaczyłem, że sprawy wyglądają jeszcze gorzej niż przedtem. Z głębi usłyszałem kilka tłumionych wybuchów. Po każdym z nich wznosiło się dziwne, zielonkawe światło, po którym następował dźwięk przypominający spływające krople, wpadające do wody. Tyle tylko, że wiedziałem — tym razem to nie woda, to stopione skały i metale.

W tej samej chwili zrobiło się o niebo goręcej, a powietrze stało się aż gęste od smrodu siarki.

Obejrzałem się w kierunku drzwi, którymi weszliśmy. Były zamknięte. Miałem straszne, przerażające uczucie, jakby wrzucono mnie do pieca i pozostawiono, abym się upiekł. I na pewno byśmy się upiekli, gdybyśmy się zaczęli guzdrać. Upał stał się tak okropny, że здаwał się wkradać pod powieki i drażnić nerwy gałek ocznych.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że dymiąca góra potrafiła coś więcej, niż tylko dymić. Dziewczyna i ja zaczęliśmy biec, aż znaleźliśmy się o niecałe dwanaście kroków od drugich wrót.

Wtedy dotknęła mojego ramienia i wyciągniętą ręką wskazała:

— Widzicie tarczę, uderzcie w nią, a drzwi się natychmiast otworzą, nawet gdyby na zewnątrz szalał płynny ogień. Co do mnie, muszę wracać. Tych drzwi nie wolno mi przestać!

Poprzez fałdy tkaniny osłaniające moje usta przed oparami krzyknąłem do niej:

— Nie możesz wracać! Musisz pójść ze mną, albo ja wrócę z tobą. Nie zostawię cię samej!

Zauważyłem, że łagodnie się uśmiecha.

— Och, przyjacielu, nie będę sama. Bogini będzie ze mną do końca. Żegnaj!

Kiedy skończyła, powiedziałem sobie w duchu, że jest najodważniejszą istotą na świecie. W tej samej chwili fontanna świecącej bieli, którą zobaczyłem, kiedy po raz pierwszy zajrzałem do krateru, znowu wzbijała się w górę, dokładnie z tego samego miejsca. Wszystko dokoła zajaśniało na zielono, błyski strzeliły wysoko, sięgając samego ujścia krateru, po czym spadł deszcz kropeł bardziej błyszczących niż diamenty. Krople miały gdzieniegdzie obwódki z niebieskawego dymu.

Poczułem, jak taka kropla spada mi na czoło. Poparzyła mnie aż do kości. Miałem wrażenie, że poraził mnie prąd. Zobaczyłem, jak ognisty deszcz spada na ubranie Sylwii i zaczynają po nim pełzać płomienie. Upał stał się jeszcze gorszy, nie do zniesienia.

Jednak w tej chwili, kiedy powiedziała mi do widzenia, odwróciła się i zaczęła iść z powrotem po krawędzi, mimo iż ścieżką spływał straszliwy deszcz białego ognia, który z każdą chwilą gęstniał, tak że całe wnętrze wulkanu stało się ryczącą, tężejącą masą białych płomieni. Coś takiego mogło się tylko przyśnić człowiekowi, ale żaden sen nie mógł być równie okropny. Wydawało się, że jakieś ogromne kształty wirują i podskakują w ogniu, a jakieś głosy grzmiąły i krzyczały.

Możliwe, że kapłanka Sylwia naprawdę chciała zaufać bogini i wrócić tą samą drogą, skąd przysła, lecz ja nie mogłem jej na to pozwolić! Jednym skokiem znalazłem się przy niej i wziąłem ją na ręce. Jej ubranie już się paliło.

Stawiała opór. Oparła dłonie o moją twarz i próbowała mnie odepchnąć. Wyraźnie usłyszałem jej cienki, wysoki głosik:

— Puść mnie! Jeżeli przejdę przez te drzwi, czeka mnie śmierć! Pozwól mi odejść!

Słyszałem, co mówi, ale nie rozumiałem jej słów. To znaczy, zbyt wiele działało się dokoła i próbowałem tylko wydostać nas oboje poza zasięg tego płonącego oceanu ognia, a cała reszta nie miała dla mnie znaczenia.

Dotarłem do tarczy i zacząłem walić w nią jak szalony. Kiedy odwracałem się w kierunku spiętrzonej Fontanny Życia, miałem wrażenie, że staje się ona coraz większa i wyciąga

po mnie miliony macek.

Na całe szczęście Sylwia nie usiłowała już się wyrwać. Leżała na moich rękach bezwładnie, z głową zwisającą na bok — zemdląca.

Nie było w tym oczywiście nic dziwnego, że straciła przytomność, lecz przeraziło mnie to znacznie bardziej niż ryczący dokoła ogień.

Fala ciepła uderzyła mnie w kark i w tył głowy. Pełzające czerwone płomyki stanęły mi przed oczami. W tej samej chwili w skale przede mną otworzyły się drzwi. Jakieś ręce pochwyciły mnie i wciągnęły nas do środka. Skalna płyta głośno się zatrzasnęła. Moja biedna głowa. Wokół mnie nadal wszystko wirowało, a straszliwe gorąco wcale nie od razu opadło, tylko stopniowo spływało ze mnie falami.

Tymczasem znalazłem się w ogromnej sali, bardzo podobnej do tej, którą widziałem u wejścia do krateru, z tamtej strony. Miałem przed sobą jakichś dwudziestu, bardzo czymś zaniepokojonych mężczyzn. Wskazywali na mnie i mamrotali coś na temat kapłanki.

Po chwili, gdy Sylwia przyszła do siebie i wstała z krzesła, na które opadła, pochwyciło ją dwóch ogromnych strażników w stalowych pancerzach, po jednym z każdej strony i pchali ją w kierunku drzwi. Wyrzucali ją. Musiała wrócić tam, skąd przyszła, i to natychmiast!

Kiedy pomyślałem o piekle szalejącym po drugiej stronie skały, o deszczu ognia spadającym na występ, po którym szliśmy, zrobiło mi się niedobrze. Biegiem wyprzedziłem mężczyzn i dziewczynę.

Szła zupełnie spokojnie, z wysoko uniesioną głową i niewzruszonym spojrzeniem. Nie widziałem nawet, żeby choć trochę zbladła ze strachu.

Podniosłem rękę i zatrzymałem ich.

— Czy zdajecie sobie sprawę, co by to było? — krzychałem na nich. — Morderstwo! Mówię wam, byłoby to morderstwo! Tam, na zewnątrz, żadna bogini ani nic innego, w co wierzycie, nawet na minutę nie uchroniłoby jej od śmierci!

— Odpowiedz mi, pani — powiedział jeden ze strażników.

Wtedy ona przemówiła do mnie w te słowa:

— Wątpisz w jej moc, mimo że odkąd palec jej spoczął na twym czole, sam stałeś się jej wybrańcem? Jakże inaczej, niż za jej pozwoleniem zdołałbyś przejść przez ogień? Jeżeli jestem tego warta, wrócę bezpiecznie. Nawet włos mi z głowy nie spadnie, choćbym miała iść przez najgorszy ogień!

Kiedy już skończyła swoje bezsensowne przemówienie, dwaj strażnicy pokiwali z powagą.

— Niech otworzą się drzwi! — zawołał jeden z nich.

— Pociągnij za dźwignię, Ralfie!

— Wy piekielni mordercy! — krzyknąłem i wyjąłem z pochwy szablę.

Chciałem odrąbać im łby, jednak zbyt kręciło mi się w głowie i nie zdałem sobie sprawy z przewagi liczebnej przeciwnika. Dwóch lub trzech złapało mnie od tyłu. Przyparli mnie do ściany z taką siłą, że niemal zmiażdżyli mi żebra. W tej samej chwili drzwi do krateru się rozsunęły.

Wyglądało to tak jakby ktoś otworzył drzwiczki martenowskiego pieca. Fala ciepła wdarła się do pomieszczenia. Nawet mimo ubrania piekła mnie skóra. Można było pomyśleć, że ktoś uszył je z cieniutkiej bibułki, z taką łatwością przeszło przez nie gorąco.

Ledwo widziałem łagodną twarz wychodzącej dziewczyny. Jakby była senną zjawą.

Straszny wybuch dosłownie zwałił z nóg jej eskortę, ale Sylwia szła wprost przed siebie. Wstępowała do krematorium uśmiechnięta i z dumnie podniesioną głową. Jeszcze moment, a nic by z niej nie pozostało, tylko garstka popiołu unoszącego się w powietrzu, zanim pochłonie go Fontanna Życia, jak oni ją nazywali.

Wtedy jednak ktoś zawołał i na jego rozkaz drzwi zasunęły się natychmiast, zasłaniając biały ogień, od którego bolały oczy.

Usiłowałem krzyżeć, lecz z mojego gardła wydostał się jedynie jakiś nieartykułowany jęk. Wszystkie moje mięśnie zwiotczały, poczułem, że się osuwam całym ciężarem i że dwaj strażnicy podtrzymują mnie.

A potem, zupełnie jak baba, zemdlałem.

Kiedy przyszedłem do siebie i otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą łukowane sklepienie, ze wspianiałymi kasetonami i najbardziej wyszukanymi płaskorzeźbami. Komnata była mała i miała dziwny trójkątny kształt. Z trzech rogów wychodziły gotyckie łuki, które na środku sufitu łączyły się w rozetę.

Wtedy zdałem sobie sprawę z bandaża ciasno owiniętego wokół mego ciała, ze szczypiącej rany pod bandażem oraz dwudziestu innych piekących miejsc, w których ogień przepalił mi skórę do żywego mięsa. Gorączkowałem i jednocześnie było mi zimno. Strasznie się też trząsałem.

— Żyje! — wykrzyknął kobiecy głos.

— Bogini zdecydowała, że ma żyć — odezwała się inna.

Odwrociłem głowę i zobaczyłem blisko przy łóżku dwie stare kobiety. Siedziały skulone jedna przy drugiej jak kwoki. Na ramiona zarzucone miały białe chusty i małe, białe, trójkątne czepki na głowach. Wyglądały zupełnie jak szesnasto- czy siedemnastowieczne wieśniaczki, które widziałem na obrazkach. Podobały mi się ich twarze, pełne mądrości i spokoju. Takie twarze mogą mieć tylko stare kobiety. Żaden mężczyzna nigdy nie posiada takiego skarbu doświadczenia, jakie zdobywają kobiety. Mężczyźni nie potrafią szukać z równym mozołem.

Kiedy zobaczyły, że odwracam głowę, jedna z nich zbliżyła się i zapytała jak się czuję. Powiedziałem, że dość dobrze. Chciałem wiedzieć, gdzie mogła podziać się dziewczyna. W odpowiedzi obie zasepiły się i pokręciły głowami.

Moje słowa przywołały na ich twarze tak niesamowitą ponurość, że natychmiast usiadłem i powtórzyłem swoje pytanie. Znowu nic, pokręciły tylko głowami.

— Wiecie, że wola bogini musi być spełniona — odezwała się starsza z kobiet. — Bogini przeprowadziła swą kapłankę przez zakazane wrota. Niechybnie musi spotkać ją śmierć.

Kiedy to usłyszałem, dostałem gęsiej skórki od stóp do głowy.

— Zaraz, chyba nie chcecie powiedzieć, że wrzucą ją do krateru wulkanu? — spytałem. — Tego by nie zrobili!

Moja prostota wywołała leciutki uśmiech u jednej z bab:

— Po prawdzie, jeśli by bogini wzięła ją poprzez ogień swą straszną ręką, uczyniłaby ją swą własnością. Zamiast tego oddała ją w ręce ludzi, wysłała ją poza zakazane drzwi, pozbawiła ją rozumu.

— Tak — powiedziała druga kobieta. — Bogini swoim palcem naznaczyła twe czoło, aby wszyscy ludzie wiedzieli, że jesteś jej posłańcem. Nigdy dotąd nic okazała swojej woli tak wyraźnie.

Zdumiony gapilem się na nie obie.

— Co więc dokładnie stanie się z Sylwią? — spytałem.

— A cóż miałoby ją spotkać poza siekierą wodza? — odrzekła starsza z kobiet. — Teraz, skoro czujesz się lepiej, pociągnij z tego kubka. Poczujesz nagłą siłę i lekkość na sercu.

Z tymi słowami wyciągnęła w moim kierunku kielich z najpiękniejszego kryształu górskiego. Kryształ, sądząc po wadze, nie miałem raczej wątpliwości. Zajrzałem do kielicha. W ciemnoczerwonym, gęstym płynie migotały słabiutkie światełka.

Zapach płynu wypełnił całe pomieszczenie. Nastrój mój nie sprzyjał jednak smakowaniu trunków, kiedy w powietrzu wisiało morderstwo — planowano morderstwo, a Sylwia miała być ofiarą.

Wstałem o własnych siłach, zapominając o wszystkich poparzeniach, bolących miejscach i innych dolegliwościach.



W pokoju tym nie było okna, lecz i tak czułem lekki powiew chłodnego, słodkiego powietrza dmuchający mi w twarz. Leżałem na długim tapczanie czy kanapie, zaś naprzeciwko stało monumentalne łoże z baldachimem. Błękitne i czerwone zasłony łoża zrobiono z materii połyskliwej jak aksamit i ozdobiono je frędzlami. Całość przedstawiała się tak wspaniale, że nawet król by się nie obraził.

Podłogę pokrywał tak gruby dywan, że zupełnie wygłuszał kroki. Na środku pokoju stał stół, a na nim ułożono cały mój dobytek, wszystko, co mi odebrano zaraz, gdy tylko przybyłem do środka góry. Był tam mój dobry, stary kolt, długi, przypominający sztylet nóż, a nawet usmolone, zniszczone podróżą futra oraz niewielka kupka amunicji. Niezbyt dużo było tych nabożów, ale chyba dość, aby obdzielić nimi garstkę facetów. Gapiłem się na nie zdziwiony, próbując wyjaśnić sobie, skąd się tutaj wzięły. Czyżby na rozkaz ludzi z góry? Prawdopodobnie. Widocznie na wyspie nie działo się nic, o czym oni nie wiedzieliby.

Rozejrzałem się po tej kwaterze i doszedłem do wniosku, że przeznaczono ją do mojej dyspozycji. Traktowano mnie bardzo przyzwoicie. Nie mogłem jednak pozbyć się myśli o morderstwie, które miało być popełnione w majestacie prawa. Widziałem, jak prowadzą Sylwię na podest, z rękami związanymi na plecach, a czarna przepaska przesłania jej odważną, cierpliwą twarz. Wciąż widziałem, że się uśmiecha, tak jak uśmiechała się, kiedy szła wprost do wejścia krateru. Było to zbyt straszne, musiałem coś zrobić.

— Ktoś musi to powstrzymać, muszę dostać się do kogoś, kto sprawuje władzę! — krzyknąłem. — Muszę mu powiedzieć, co się naprawdę stało. Słyszycie mnie? Nie stójcie tu jak para kompletnych idiotek. Powiedzcie mi, co mam zrobić! Nie mogę tu siedzieć, kiedy Sylwię zarzynają jak wołu. Zawdzięczam jej życie!

Na to jedna z tych beznadziejnych, głupich bab zwróciła się do mnie z najłagodniejszym uśmiechem:

— To bogini cię ocaliła, mój synu, bo jakąż inną moc posiada jej kapłanka poza wolą bezimiennego imienia?

Ta odpowiedź rozwścieczyła mnie bardziej niż cokolwiek innego. Powiedziałem im, że zwariuję, o ile nie dostanę się do kogoś, kto jest w stanie powstrzymać egzekucję.

— Ach, nie ma co się śpieszyć, albowiem taka rzecz, jak egzekucja kapłanki, nie odbywa się szybko. Musi się powiadomić ludzi, przygotować wielkie święto. Któż by nie oddał się śpiewom i szczęśliwości w taki właśnie dzień?

Jej słowa zupełnie zbiły mnie z tropu.

— Kobieto, czy chcesz przez to powiedzieć, że ludzie będą śpiewać i tańczyć w chwili, kiedy będą mordować tę czarującą, tę śliczną...?

Szeroko otwarte, stare oczy patrzyły na mnie niewinnie.

— Ach, synu — odezwała się. — Cóż innego mogłoby skłonić nas do śpiewu i śmiechu poza pewnością, że bogini...

— Och, przeklęta bogini! — Nie wytrzymałem.

Przestraszone pośpiesznie odsunęły się ode mnie w kierunku drzwi.

— Och, człowiecze, którego serce przepełnione jest pychą, jakimże słowem nazywasz bezimienne imię?

Słuchając ich miałem mieszane uczucia: ni to rozbawienia, ni to obrzydzenia. Gdybym miał trochę czasu, może mógłbym coś zrobić. Wyglądało na to, że ponieważ kropla fontanny stopionych skał poparzyła mnie do kości dokładnie na środku czoła, w ich oczach stałem się ni mniej, ni więcej tylko... wybitnym facetem.

Tymczasem uporządkowałem sobie pewne fakty. Były to chyba najdziwniejsze wydarzenia, o jakich kiedykolwiek słyszałem, wymienię je jednak po kolei.

Po pierwsze: żadnemu spośród kapłanów tej ziemi nie wolno nigdy wchodzić do domostwa mędrców. Po drugie: jeżeli wyświęcona osoba przekroczy tę granicę, natychmiast musi być zeń wyrzucona i zepchnięta w ogień, albo czeka ją kat i egzekucja na oczach wszystkich

mieszkańców. Po trzecie: w przypadku takiej egzekucji ofiara brała na siebie całą winę i grzechy wszystkich mieszkańców, a jeśli to kapłankę mordowano w taki sposób, wtedy jej krew wymazywała każdą zbrodnię. Wypuszczano nawet z więzień przestępców, zaś skazanym na karę przebaczano. I po czwarte: takie egzekucje kapłanek nie zdarzały się zbyt często.

Jeżeli chodzi o branie winy za grzechy innych ludzi, tak że jeden człowiek stawał się kozłem ofiarnym, już dużo wcześniej słyszałem o czymś takim, lecz fakt, że w dwudziestym wieku ludzie mówiący po angielsku, nieważne czy na biegunie, czy na równiku, wierzą w takie rzeczy, był dla mnie szokiem.

Jednak tak właśnie wyglądała rzeczywistość i Sylwia będzie musiała umrzeć za to, że spełniła dobry uczynek i nie mogła bezpiecznie powrócić.

Teraz zrozumiałem, dlaczego zemdląca, kiedy zobaczyła, że jestem zdecydowany zanieść ją do zakazanych wrót.

Ktoś myślałby, że pewnie wolałaby umrzeć później od topora niż natychmiast w straszliwym ogniu, lecz dopóki pozostawała przy życiu, nie mogła uwierzyć, że ogień bogini mógłby ją choćby leciutko poparzyć. Gdyby zaś płomienie pochłonęły ją, oznaczałoby to, że bogini przyjęła ją, przygarniając do swej świętej piersi.

Do takich wniosków doszedłem na podstawie słów starej kobiety i od razu wiele rzeczy się wyjaśniło. Teraz, jeżeli szczęście mi dopisze, nie pozwolę, aby ci krwiożerczy ludzie wykorzystali okazję. Nie pozbędą się tak łatwo swoich grzechów!

Rozmawiając kobiety doprowadziły mnie do porządku. Kiedy zobaczyły szkody, jakie ogień wyrządził w różnych miejscach mojej garderoby, wyszły i po chwili wróciły niosąc dla mnie zupełnie nowy strój, o niebo wspanialszy niż stary, wypalony. Następnie odzianego w złoto i purpurę, we wspaniałym płaszczu upiętym na ramieniu, zaprowadziły mnie na rozmowę. Nie wiedziały, kto miał ze mną rozmawiać. Kazano im po prostu przyprowadzić mnie pod pewne drzwi.

Szliśmy przez setki korytarzy i schodów. Wszystko wydawało się wyrąbane w litej skale. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, zapukały, pociągnęły za klamkę, zobaczyły jak wchodzę, po czym pośpiesznie się oddaliły.

Znalazłem się w długim, wąskim pomieszczeniu. Sprzęty wskazywały, że to laboratorium. W przeciwnym końcu znajdował się potężny człowiek. Miał na sobie białą szatę czy fartuch, który sięgał od szyi do stóp. Jego nakrycie głowy przypominało kaptur. Stał odwrócony do mnie plecami, całą uwagę poświęcając jakiejś niezwykle delikatnej wadze, którą usiłował doprowadzić do równowagi. Języczek wagi, wyobraźcie sobie, nie był większy od promienia. Wydawało się, że na tej wadze można zważyć nawet oddech. Człowiek w bieli próbował zrównoważyć ją, dotykając szalek długim drutem.

Czekałem chwilę, nikt więcej jednak nie zjawił się. Nikt też się do mnie nie odzywał. W końcu więc dosyć głośno chrząknąłem.

Wielki facet w bieli odwrócił się powoli. Kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, zobaczyłem, że nosił jakąś ponurą maskę, w której wycięto podłużne otwory na oczy, przez które spoglądał. Wszystko to może było z powodu słabo wyczuwalnej ostrej woni unoszącej się w powietrzu.

Na mój widok igła, jeżeli tym właśnie było jego narzędzie, wypadła mu z dłoni i brzęknęła o podłogę. Sam zaś człowiek ciężko opadł na fotel, a jego dłonie kurczowo zacisnęły się na poręczach.

Mimo dzielącej nas odległości miałem wrażenie, że czuję, jak tamten się trzęsie.

— Przysłano mnie tu — odezwałem się. — Może jednak przeszkadzam w czymś ważnym?

Przez dłuższą chwilę człowiek w bieli nie odpowiadał. Następnie z wysiłkiem, odpychając się od poręczy fotela wstał. Jego ręce drżały. Stał przede mną i jednym ruchem zdarł z głowy kaptur.

Jego włosy były tak samo białe jak kaptur, który je wcześniej przykrywał. Nigdy wcześniej nie widziałem jaśniejszych, czystszych, srebrnych włosów. Za to twarz pod czupryną była młoda. Mimo całego zmęczenia i cierpienia, jakimś cudem wydawała mi się znajoma.

Wtedy tamten odezwał się:

— Na wszystkie świętości, jesteś Billem Cassidy czy jego duchem?

Usłyszałem głos Cleve'a Darrella!

## Rozdział XVIII

### SPOTKANIE NA LODOWYM BIEGUNIE

Oniemiałem. Nie wierzyłem własnym oczom ani innym zmysłom. Wmawiałem sobie, że to nie może być on, nie Cleve Darrell, tylko jakiś jego kuzyn, a może brat staruszek, który długi czas spędził cierpiąc w samym środku piekła!

I ruszyłem w jego kierunku z wyciągniętymi rękami, uśmiechając się najpierw, potem śmiejąc się, aż wreszcie histerycznie wyjąc jak opętany, z radości, zdumienia i oszołomienia. Zbyt dużo bowiem poświęciłem czasu i życia poszukując go, aby uwierzyć, że w końcu go odnalazłem.

Kiedy szedłem do niego w przeciwległy koniec pomieszczenia, przed oczami mignęły mi tysiące obrazów. Jeszcze raz ujrzałem pistolet biednego doktora Franklina, nieżywego Eskimosa, leżącego twarzą do ziemi, górę lodową obracającą się do góry nogami, jeszcze raz poczułem strumienie białych płomieni tryskające z Fontanny Życia i wypełniające krater wulkanu.

Zacząłem ścisnąć mu dłonie, podczas gdy on patrzył na mnie. W jego twarzy nie było uśmiechu, a tylko zdziwienie i trwoga.

Potem, kiedy już odzyskałem głos, krzyknąłem:

— Cleve, co cię tu sprowadziło, jak tu przybyłeś, co się stało w laboratorium, co się kryło za twoim zniknięciem, czy naprawdę przybyłeś tu tylko po to, aby móc w samotności spokojnie pracować?

W końcu uśmiechnął się słabo.

— Zostawmy to w spokoju. Dostałem się tu bez żadnego cudu. Trochę później może się dowiesz, w jaki sposób. Sam nie jestem pewien. Ale ty, czy przyleciałeś? Czy udało ci się wylądować tutaj samolotem?

Pokręciłem głową.

— Nie leci się samolotem, jeżeli chce się znaleźć miejsce, które nie istnieje — powiedziałem. — Nie, Cleve. Wiesz, co ci powiem? Jestem postacią z jakiejś szalonej książki, już dawno się jej nie drukuje, a ostatni egzemplarz został zniszczony. Wszystko przez co przeszedłem, od początku do końca składa się na jakiś niesamowity sen, który nie miał szans się spełnić. Tak samo jak i to, że tu, gdzieś na końcu świata z tobą rozmawiam.

Pokiwał tylko leciutko głową.

— Teraz zacznij od początku — powiedział.

No i zacząłem od początku. Opowiedziałem mu całutką historię. Kiedy już prawie skończyłem, zauważyłem, że wcale nie interesują mnie już tamte wydarzenia. Nie mogłem wytrzymać i krzyknąłem:

— I co teraz będzie z tamtą dziewczyną? Nie powiesz mi chyba, że naprawdę złożą z niej ofiarę tej swojej bogini?

Nigdy nie zapomnę, jak patrzył na mnie po tych ostatnich dwóch zdaniach. Mierzył

mnie spojrzeniem z góry na dół, dobierając słowa odpowiedzi, jak to robią dorośli, kiedy muszą rozmawiać z dziećmi o sprawach zbyt dla nich skomplikowanych.

— No, wyduś to z siebie, Cleve. Powiedz mi prawdę. Nie musisz przecież używać do tego logarytmów!

— Powiedz mi, Dymek, ile znaczy dla ciebie ta dziewczyna?

— Nieważne, ile ona dla mnie znaczy — odpowiedziałem. — Ona jest ode mnie dużo większa, dużo ważniejsza. Taki zwykły człowiek jak ja nie potrafi jej zrozumieć.

— Jest jedną z tych rzadkich istot, kobietą doskonałą — dodał Darrell uśmiechając się słabo niczym starzec. — Czyż nie tak?

Jego słowa strasznie mnie rozżłościły. Popatrzyłem na niego wściekły:

— Myślisz, że coś do niej czuję? Pozwól, że ci coś powiem. Jeżeli nie jest nawet piękną doskonałą, to dla mnie jest ideałem. Jest zachwycająca w każdym calu. Co się zaś tyczy reszty, to jest również odważna, dumna, łagodna, słodka i skromna, tak jak tylko może być.

— Często się to przytrafia mężczyznom. To znaczy chrześcijańskim mężczyznom. Odziedziczyliśmy to po średniowieczu, kult Maryi Dziewicy, który przenosimy na jakąś jedną, wyidealizowaną spośród wszystkich kobiet. Nic chcę cię krytykować, Dymek. Bardzo to jednak ciekawe, że u ciebie wszystko wyzwoliło się w takiej oczywistej formie kultu. Ona naprawdę wydaje ci się nieśmiertelna, z całą pewnością. Czyż nie?

— A jeśli nawet, to co? — warknąłem. — Chciałbym teraz posłuchać, jak sobie wygodnie siedzisz i analizujesz dziewczynę, której nigdy nie widziałeś. Chciałbym zobaczyć, jak wyższa matematyka radzi sobie, kiedy w grę wchodzi istota znana tylko z imienia. Chcę zobaczyć, jak materializujesz Sylwię. No, proszę, Cleve.

— Jesteś wściekły, choć, z drugiej strony nie mam pretensji, że się zezłościłeś — powiedział. — Co do dziewczyny, mogę ci tylko powiedzieć, że ma być złożona w ofierze bogini. Jeżeli ma być złożona w ofierze, to właśnie dlatego, że tak będzie najlepiej.

— Chcesz mi powiedzieć, że zamordowanie tej dziewczyny ma służyć jakiemuś dobru? — wycedziłem bardzo cicho przez zęby. — Boże, Cleve, żebyś ty widział, jak szła w kierunku straszliwej otchłani ognia, gotowa rzucić się... Na pewno nie podchodziłbyś teraz do wszystkiego z takim stoickim spokojem. Nie stałbyś tak z założonymi rękami.

— Nie stałbym? — zdziwił się Darrell.

Przez chwilę nie śmiałem spojrzeć mu w twarz, ponieważ obawiałem się, że dostrzegę na niej chłodny, nieobecny uśmiech. Na boga, nie myliłem się. Kiedy już podniosłem wzrok, właśnie taki uśmiech napotkałem.

Musiałem odsunąć się od niego, aby w ogóle, choć trochę zrozumieć, co dzieje się w sercu i w umyśle tego człowieka.

— Cleve — odezwałem się — Jeżeli chodzi o matematykę czy inne takie rzeczy, zawsze byłeś jak nie z tego świata, ale zawsze miałeś ludzkie serce. Czyżbyś je stracił?

Wzruszył ramionami:

— Jeżeli przyjąć twój punkt widzenia, to może i straciłem.

— A ta biedna dziewczyna, o której ci opowiadałem, powiedzmy sobie szczerze, ona dla ciebie nic nie znaczy.

— Jeżeli mam mówić szczerze, tak jak mi to nakazujesz, istotnie, bardzo niewiele obchodzi mnie, co się z nią stanie.

Miałem wrażenie, że zaraz wybuchnę. Przepęłniały mnie złość i obrzydzenie, a już zupełnie nie mogłem uwierzyć, że to Cleve Darrell mówił mi takie rzeczy. Na palcach zacząłem wyliczać wszystkie swoje argumenty:

— Czy jestem twoim przyjacielem, Cleve?

— Nikt nigdy nie miał lepszego. — Jego głos zabrzmiał tak, że nie wątpiłem.

— Dziękuję. Usiłuję tylko myśleć logicznie. Gdyby nie ta dziewczyna, gdzie by teraz

był twój przyjaciel?

— Przypuszczam, że jego zwęglone resztki spoczywałyby na dnie krateru — odpowiedział, jakby mi pochlebiając.

— Ona mnie od tego uratowała. Powiedz mi więc, jakim cudem nic do niej nie czujesz?

— Dobra, Dymek, nie próbuj zbyt głęboko zagłębiać się w te sprawy ani myśleć logicznie. Przyznam ci się po prostu, że całe swoje serce włożyłem w coś zupełnie innego, i to wszystko!

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Cleve. Posunąłeś się tak daleko, że nie zostało już w tobie nic z istoty ludzkiej!

Wysłuchał mnie spokojnie, zamyślony, po czym odpowiedział głębokim, niewypowiedzianym spokojnym głosem:

— Ludzkość ma swoje cele, wyznaczają one postęp i osiągnięcia tak wielkie, tak święte, Dymek, że kiedy już się je pojmie, kiedy się już rozpocznie pracę, dobro poszczególnych jednostek przestaje się liczyć. Tamte cele są tak wielkie!

Wierzyłem w to, co mówił. Od jego słów robiło mi się niedobrze, ale mu wierzyłem. Nagle cała moja wyprawa na północ wydała mi się czymś nierzeczywistym i bezsensownym. Ten Cleve Darrell, którego usiłowałem „uratować”, wcale nie istniał. Po dawnym Darrellu nie było śladu. Jego miejsce zajęła myśląca maszyna.

W końcu odezwałem się:

— Wszystko, czego dowiedziałem się o niej do tej pory, pochodzi od dwóch staruszek. Nie wierzę w to, co mówią. Nie wierzę, że ludzie mogą być takimi diabłami. Czy mógłbyś dowiedzieć się dla mnie prawdy, całej prawdy?

Przez chwilę wahał się, lecz w końcu pokiwał głową:

— Tak, dowiem się dla ciebie, co dokładnie ma się z nią stać. A teraz, Dymek, opowiedz mi o swoich nadziejach i planach.

— Zgodnie z moimi planami, chciałbym wydostać stąd ciebie i tamtą dziewczynę i zabrać was z powrotem do cywilizacji.

— W jaki sposób? — zapytał.

— Tą samą drogą, którą tu przybyłem.

— Nigdy nie słyszałem o większym i głębszym szczęściarzu. Wątpię, aby jakiś inny człowiek, nawet tak odważny i sprawny jak ty, dał radę przebyć tę drogę. Nawet jeden na stu, nawet gdyby przez sto lat każdego roku próbowało stu. Prąd, który unosił łód, musiał być idealny. Gdybyśmy wyruszyli w taką wyprawę we trójkę, wszyscy byśmy zginęli.

Tyle było w jego słowach spokoju i logiki, że znowu mnie rozwścieczył:

— W takim razie, jeżeli mój plan nie jest dla ciebie dość dobry, co proponujesz?

— Musisz zrozumieć, Dymek, że cała twoja wspiana wyprawa na północ wynika z nieporozumienia. Myślałeś, że ja chciałbym, aby ktoś mnie wyratował z jakichś tajemniczych kłopotów? Musisz zrozumieć, że tak nie jest, a co więcej, poświęciłem się teraz przedsięwzięciu, które jest ważniejsze niż wszystko, co dotąd robiłem, i jestem z tego powodu szczęśliwy. Nie chcę opuszczać tego miejsca. Nie mam na to ochoty.

Mówię wam, kiedy słuchałem jego słów, wzbierała we mnie złość, prawie nienawiść.

— Powiedz mi tylko, ten kawałek zmetalizowanego drewna, czy co to tam jest, ten kawałek, na którym wskrobałeś wiadomość...

— No? — mruknął.

— Czy nie było to wezwanie na ratunek, które rzuciłeś, wezwanie nie dokończone, ponieważ nie dane ci było go skończyć?

Jego twarz pociemniała:

— Na ten temat nie mogę rozmawiać.

— W porządku — powiedziałem. — Zostawmy to. Porozmawiajmy jednak o czymś innym... Spędziłem parę lat na tropieniu ciebie i nie potrafię przestać się tobą interesować,

nawet jeśli ciebie już nie interesuje cały świat. Powiedz mi jeszcze raz, czy naprawdę wolisz pozostać tu i pracować?

— Tak.

— Bez względu na to, czy masz szansę powrotu do kraju, czy nie?

— To nie ma dla mnie znaczenia.

— Twój kraj nie ma dla ciebie znaczenia?

— Nie.

— Nie liczy się dla ciebie fakt, że jesteś Amerykaninem?

Wzruszył ramionami. Uniósł głowę jeszcze wyżej niż poprzednio, a ja mówiłem twardo, stanowczo, próbując wyrzucić na nim presję.

— A to wszystko, za czym kiedyś tak szalałeś, co tak kochałeś, dobre stare Góry Skalisty, wyprawy ze strzelbą, wieczory przy ognisku...

Przerwał mi:

— Dymek, przykro mi mówić ci takie rzeczy, ale przypominasz dziecko opowiadające o głupstwach!

— Pamiętam, jak któreś nocy siedziałeś przy ognisku — ciągnąłem — po tym jak przez cały dzień tropiliśmy tego starego łajdaka grizzly, aż w końcu okazało się, że on się z nami bawi. Pamiętam, jak po tamtym gorącym dniu, kiedy nastąpiła chłodna noc, zaświeciły rozsiane gęsto po niebie gwiazdy, pamiętam, jak piłem kawę, patrzyłeś w niebo i powiedziałeś, że cała twoja praca może się wypchać, że nigdy żadna matematyka nawet w połowie nie potrafi przybliżyć człowieka do Boga jak takie chwile. Ale chyba zmieniłeś już swoje zdanie na ten temat?

— Dymku, życia człowieka nie mierzy się w latach. Od naszego ostatniego spotkania minęło niewiele ponad dwa lata. Jednak postarzałem się w tym czasie o więcej niż dwa lata, znacznie więcej. Jestem pewien... tobie się wydaje, że zbyt mało czasu upłynęło, abym mógł tak zupełnie zmienić swój pogląd na świat. Dla mnie jednak to już jakby wieki. Dawno, dawno temu porzuciłem moje dawne idee i oddałem się zupełnie nowym ideom, odczuciom, pragnieniom.

Spojrzałem na jego siwe włosy, na zapadnięte oczy. Nie, nie pozostało w nim nic, co przypominałoby człowieka, jakiego dawniej znałem. Nic poza wielkim, wspaniałym, wysokim czołem, które jakby zawierało całe wyższe myślenie wszechświata. Wszystko inne w nim się zmieniło. Wielogodzinna praca, intensywne myślenie mogły go zmienić. Miałem jednak niejasne przeczucie, że było w nim coś jeszcze. Ból — tak przynajmniej mi się wydawało.

— W takim razie, dobra, Cleve — powiedziałem. — Wykreśliłeś wszystko na zawsze ze swego życia i już nie wracasz?

— Nie — odpowiedział. — To znaczy, nie mogę być tak do końca pewny. Nie wiem tak naprawdę. Zawsze mogą pojawić się znikąd moje dawne marzenia. Tego nikt nigdy nie wie.

— Powtórz mi jeszcze raz, że podoba ci się tutaj, bez domu, bez twojego kraju, bez twojego starego Zachodu, bez przyjaciół...

— Nic nie rozumiesz... — przerwał mi.

— Powiedz tak lub nie.

— W takim razie... tak.

Roześmiałem mu się w twarz:

— Jesteś kłamcą.

## Rozdział XIX

### INTERLUDIUM

Dotknęło go to, mówię wam, do żywego.

Facet był przecież z niego jak trzeba, a nie jakieś ciepłe kluchy. Zobaczyłem, że jego nozdrza drgają, a oczy miotają błyskawice. Sprawilo mi to przyjemność.

— Mocno powiedziane — odezwał się.

— Kłamstwa, którymi mnie uraczyłeś, też nie były słabe.

Głęboko wciągnął powietrze:

— Jeszcze jedno takie słowo, a...

Wzruszyłem ramionami:

— Zasłużyłem sobie chyba na coś więcej, niż te bufonowate dyrdymały. Nie dam się zbyć byle czym. Chcę wiedzieć, co się za tym wszystkim kryje. Od ciebie zależy, czy mi powiesz. Nie grasz ze mną w otwarte karty i sam o tym wiesz.

— Nic mi nie wiadomo o niczym takim.

— Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje. Zbyt dobrze cię znam. W sercu oplakujesz tę dziewczynę, a w środku aż cię skręca z tęsknoty za krajem, za naszymi żyznymi wzgórzami, za brzękiem ostróg i setką innych rzeczy. Cały czas mnie okłamujesz, Cleve. Jest tu coś, od czego nie możesz się uwolnić. Boisz się. To ze strachu tak się postarzałeś. Żyjesz w strachu, oddychasz strachem, jesz ze strachem. Dlaczego tego z siebie nie wyrzucisz? Dlaczego ciągle chowasz się i uciekasz? Tyle przeszedłem, aby być z tobą. Powiedz mi, co cię opętało. Jeżeli jest w tym wszystkim coś oprócz algebry, może będę mógł ci pomóc. Na początek mam to!

Wysunąłem ukrytego pod ubraniem kolta, po czym schowałem go szybko z powrotem. Wtedy zobaczyłem, że on, Cleve, patrzy na mnie jakby z politowaniem. Niespodziewanie sprowadziłem rozmowę na inne tory:

— No, w takim razie, może ty chcesz tu zostać, ale ja nie. Jeśli nie mogę ci pomóc i jeśli Sylwia pozostaje poza moim zasięgiem, chciałbym tylko wrócić do kraju tak szybko, jak tylko mogę. Być może siedzenie w kraterze czynnego wulkanu stanowi twoją ulubioną rozrywkę, ale ja wolę poganiać stado na moich starych śmieciach. Może wobec tego powiesz mi, jak się stąd wydostać?

Spojrzał na mnie i pokręcił głową:

— Dymek, sam nie wiem.

— Nie wiesz? To może, żeby chociaż zaspokoić moją ciekawość, powiedziałbyś mi, jak się tu dostałeś?

Znowu pokręcił głową:

— Nie mogę ci tego powiedzieć.

Ledwo powstrzymałem złość:

— Mam zostać i gnić tutaj, a ty nawet nie kiwniesz palcem, żeby mi pomóc? Czy się nie mylę?

Po moich słowach głęboko wciągnął powietrze. Nie miał odwagi spojrzeć mi prosto w oczy. Kiedy mówił, jego wzrok skierowany był jakby poza mnie.

— Nie mogę powiedzieć ci aż tak dużo. Moi współpracownicy... muszę się z nimi we wszystkim konsultować. Z pewnością przedstawię im twoją sprawę.

— Nie rób sobie aż tyle kłopotu. A co, jeśli będą zbyt zajęci, kiedy ty będziesz chciał o mnie z nimi rozmawiać?

— Są to ludzie tak wielkiego umysłu, tak ogromnych zainteresowań, Dymek, że w po-

równaniu z nimi jestem niczym dziecko. Jednego możesz być pewien, co by nie postanowili, będzie to dla twojego dobra, albo raczej dla dobra spraw, które są tak wielkie, że ich nie potrafisz pojąć, Dymek.

— Do licha z takimi mędrkami. Ta sama zgraja wymyśliła prawo, według którego kapłanka musi być zabita, jeżeli przekroczy tamte zewnętrzne drzwi krateru. Czy to te same puchacze?

— Silisz się na niewczesne żarty.

Czułem, że cały jestem mokry.

— Cleve, wiem, że nie jesteś aż taki zły. Wcale nie jesteś zły. Już mi się niedobrze robi od słuchania ciebie. Opowiedziałem ci wszystko od początku. Niczego nie ukrywałem. Wygląda na to, że bierzesz udział w tak ważnych wydarzeniach, że życie i śmierć nic już dla ciebie nie znaczą. Ja nie dam się temu opętać. Wiesz, co ci powiem? Jeżeli jesteś ze mną uczciwy, niech Bóg ma cię w swojej opiece! Jeżeli zaś nie jesteś ze mną uczciwy, to jesteś podłym kundlem. A teraz jeśli wolno mi wyjść z tego pokoju, to idę i więcej już nie będę ci się narzucał, jak tam sobie chcesz.

Po tych słowach odwróciłem się i ruszyłem w kierunku drzwi.

Idąc przed siebie miałem nadzieję usłyszeć jego głos wołający za mną, albo odgłos jego stóp, jak biegnie, aby mnie wyprzedzić. Myliłem się jednak. Nic takiego się nie stało, nie wykonał nawet najmniejszego ruchu! Kiedy już dotarłem do drzwi, pociągnąłem za klamkę. Nie stawiała oporu. Wtedy odwróciłem się i spojrzałem na niego.

Stał dokładnie w tym samym miejscu. Tylko jego głowa zwisała na bok, jakby była z ołowiu, a o ile to możliwe, na jego ni to młodej, ni to starej twarzy malowały się wyczerpanie i zamyślenie.

Cała moja stanowczość stopniała. Chciałem zawrócić, spróbować jeszcze raz od początku. Zdałem sobie jednak sprawę, że nic nie zdołałoby go przekonać. Był dla mnie nieosiągalny, wyszedłem więc na korytarz. Stały tam te same dwie staruszki, które pokazały mi drogę do mojego pokoju.

W drodze powrotnej natknąłem się na jedną znajomą twarz. Weszliśmy z jakiegoś wąskiego korytarza do nieco szerszego holu i w przejściu natknęliśmy się na tę samą dumną brunetkę, którą wcześniej już widziałem obok kapłanki w ogrodzie, czy też oranżerii. Zatrzymałem się i mruknąłem do niej. Staruszki miały rację. Każdy miał dostęp do tego miejsca, oczywiście jeżeli komuś wystarczyło odwagi, a biały ogień nie ryczał, nie płonął na zewnątrz. Każdy z wyjątkiem Sylwii. Goniec przyniósł moje ubranie, Alicja przyszła tu za nami, ale Sylwia musi umrzeć.

Kiedy mnie ujrzała, zaraz do mnie podeszła. Stała blisko, mrużąc przed rażącym światłem swoje piękne oczy.

— Och, jakimże jesteś bohaterem... Tyś gorszy od zarazy! Nic nie znaczący śmieciu! Choć ciałem przypominasz człowieka, nie ma w tobie ani za grosz duszy. A teraz zdradziłeś najszlachetniejszą, najwspanialszą, najufniejszą i najśłodsza ze wszystkich kobiet. Niech cię straszliwe piekło pochłonie! — Posypał się ciąg inwektyw pod moim adresem, a ja stałem jak zaczarowany, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa odpowiedzi. Wcale nie podnosiła głosu, wszystko wypowiedziała szeptem, a kiedy moje dwie strażniczki nadeszły i popchnęły mnie naprzód, zniknęła, zanim zdołały ją złapać.

Spotkanie to dało mi wiele do myślenia i zastanawiałem się nad nim przez całą drogę do mojego pokoju. Wynikało bowiem jasno ze słów Alicji, że niektórzy członkowie tutejszej społeczności nie wierzyli, jakoby krwawa ofiara mogła oczyścić innych i uwolnić ich od grzechu.

Jeżeli Alicja w to wątpiła, co było bardzo prawdopodobne, inni też z pewnością podzielały jej obawy.

Doszedłem do wniosku, że muszę dowiedzieć się czegoś o tych dziwnych ludziach i



wciągnąłem jedną ze staruch w rozmowę na temat początków ich społeczności oraz krainy, z której przybyli.

Powiedziała mi, że od niepamiętnych czasów ich ludzie zamieszkiwali Krainę Dymów. Legenda mówi, że wyrosli z ziemi, aby czcić wielką boginię.

Z zainteresowaniem słuchałem jej bajki. To jakby skrawek siedemnastowiecznej Anglii przeniesiony na Arktykę. Jeśli więc ich przodkowie nie pochodzili z Anglii, to mógłbym zjeść moją własną futrzaną czapkę. O tym jednak staruszka nic nie wiedziała.

Później, aby mnie zabawić, zaczęła śpiewać ballady. Melodie pieśni były spokojne i monotonne, a słowa opowiadały o radosnych zielonych lasach, o starej dobrej Anglii, o Robin Hoodzie i całej reszcie. Słuchanie jej było wspaniałym przeżyciem. Siedziała w fotelu, pochylona do przodu, z oczami wbitymi w podłogę. Złapałem się na tym, że kiwam głową w takt melodii i sam się śmieję.

Jednak cała jej wiedza historyczna była mglista i pogmatwana, choć jak przypuszczałem, składała się na nią cała tradycja, przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Jeżeli zaś chcę poznać więcej szczegółów, powiedziała, muszę porozmawiać z jednym z mędrców, skoro, jak się wydaje, mam do nich swobodny dostęp.

Później wyszła, aby natychmiast wrócić, tym razem z tacą. Zacząłem jeść. Mój posiłek składał się z mięsa, które nie było wołowiną, choć miało podobny smak. Oczywiście wół piźmowy. Ponadto mieszanka z jakiejś duszonej zieleniny oraz bulwa nieco przypominająca ziemniaki.

Nie dostałem nic oprócz tych trzech potraw, ale wszystko mi smakowało i podano tego tak dużo, że nie dałem rady wszystkiego zjeść. Resztki oddałem Zbójowi, którego wprowadzono, kiedy staruszka przyniosła mi posiłek. Leżał teraz u moich stóp i strzegł mnie przed całym niebezpiecznym światem. Powiem wam tylko, że odzyskując go cholernie się ucieszyłem!

Kiedy skończyłem jeść, staruszka pozbierała naczynia. Powiedziałem jej, że chciałbym się położyć i pokazała mi, jak się gasi światło. W ten sposób w końcu miałem dowód na to, że całe ich podziemne miasto było zasilane elektrycznością.

Pokazała mi także, gdzie znajdowała się łazienka oraz guzik, który miałem nacisnąć, gdybym czegoś potrzebował.

Wyszła, a ja ściągnąłem z siebie wszystko i wskoczyłem do łóżka. Wprawdzie materac mógłby być miększy, ale po dwóch latach biwakowania wydawał mi się niczym łabędzi puch. Natychmiast też zasnąłem jak kamień.

Kiedy się obudziłem, w pokoju nadal było ciemno i leżąc tak przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego nic wzeszło słońce. Potem stopniowo przypomniałem sobie, że jestem pod ziemią, gdzie jedyne światło mogło pochodzić z lampy elektrycznej.

Po gorącej kąpieli i dobrym śniadaniu zaczynałem dochodzić do wniosku, że życie tutaj, w samym środku Bieguna Lodu, wcale nie było takie złe. Człowiek potrzebuje do szczęścia niewiele więcej ponad wygodne posłanie, piękny pokój, wykwintny strój, więcej jedzenia, niż mógłby zjeść, i do woli alkoholu.

Pomyślałem o Sylwii i od razu spłynęło na mnie głębokie przygnębienie.

Zapytałem o nią jedną ze staruch. Powiedziała mi, że dziś jest dzień jej sądu i że z pewnością się to nie obędzie beze mnie, bo jestem jednym z głównych świadków. Ponieważ jest ona kapłanką bogini, tylko mędrcy mogą być jej sędziami.

— Kim są ci mędrcy? — zapytałem.

— Wszak wiecie, boście rozmawiali z jednym z nich.

— Widziałem tylko jednego. Czy inni są tacy sami jak on?

— Jakżeż mam ich opisać? Nie wszyscy są tacy sami. Niektórzy są starzy, a niektórzy młodzi. Wszyscy jednak posiadają ogromną mądrość i moc.

— Cóż takiego potrafia zrobić?

Machnęła ręką i roześmiała się:

— Wszystko.

— Mogą sprawić, że słońce wzejdzie w czasie nocy polarnej?

— Tak, jeżeli zechcą — padła prosta odpowiedź.

— Nie wierzę w to.

— Zobaczyc, znaczy uwierzyć! Potrafią również wywoływać burze albo je przepędzać.

Tuczają stada na polach, dzięki nim rośliny rosną. Umieją rozłupywać skały i składać je znowu w jedną całość. To oni — wskazała na dół — sprawiają, że Fontanna Życia nie wybucha dzioko, nie rozsadza góry, jak to się działo w dawnych czasach.

— Góra dawniej wybuchała, co? — Chciałem dowiedzieć się jak najwięcej.

— Tak, a ogień rozlewał się wszędzie. Sami możecie zobaczyć, bo zastygł. Na grubość sześciu metrów na dobrej uprawnej ziemi.

Wyobraziłem sobie wybuch.

— Ale teraz nie boicie się już wulkanu?

— Nie ma się już czego bać, bo mędracy potrafią go okiełznać.

Uniosła w górę oczy i dłonie:

— Dają nam światło, ale bez gorąca, i świeży wiatr, który wieje w samym środku góry. Jakżeż mogą powiedzieć, w jaki sposób dokonuje się takich cudów? Któż poza samymi ich mądrymi sercami potrafi to zrozumieć?

Zgodziłem się z nią, że faktycznie muszą być bardzo dobrzy. Zapytałem, kiedy ma nastąpić sąd. W tej samej chwili, jak podpowiedź zza kulis, ktoś zastukał do drzwi, stał za nimi smukły młodzieniec, który powiedział, że mam się stawić na sąd nad kapłanką.

## Rozdział XX

### WYROK MĘDRCÓW

Chłopiec nie był sam. Przybył z nim oddział żołnierzy, strzegących mnie po drodze. Kiedy szliśmy, miałem okazję rzucić nieco okiem na gospodarkę Krainy Dymów. Zeszliśmy jedną z ich podziemnych dróg. Spoza jakichś drzwi dochodził straszliwy stuk i brzęk. Zajrzawszy tam przez ogromne wejście, ujrzałem podziemne pomieszczenie, o jakim nawet mi się nie śniło.

Musiało mieć ze dwieście stóp długości i pewnie ponad pięćdziesiąt stóp wysokości. Sufit podtrzymywały ogromne słupy wyciosane w litej skale, tak jak i całe pomieszczenie. Jeszcze raz oniemiałem z podziwu dla ogromu pracy, którą włożono w podziemne miasto! Bariereki przedzielały tę ogromną salę na pięć mniejszych. W każdej z nich był piec, przy którym pracowali kowale. Myślę, że tamci fachowcy potrafiliby zrobić wszystko, począwszy od igieł, a skończywszy na kutych zbrojach. Uderzenia młotów brzmiały wspaniale.

Wkrótce potem dotarliśmy na miejsce sądu. Była to sala niemal tak duża jak kuźnia, ale chyba jeszcze wyższa. Nawet żadna z katedr, które w życiu widziałem, nic była większa od tamtego pomieszczenia. Tylu ludzi się zgromadziło, że wyglądali jak czarny dywan, dosłownie tysiące. Zobaczyłem, że przyprowadzili ze sobą dzieci. Część matek trzymała maluchy wysoko, na ramionach, chroniąc je w ten sposób przed zmiążdżeniem przez falujący tłum.

Strażnicy torowali mi drogę poprzez tę masę ludzką. Dwóch wyciągnęło przed siebie długie halabardy tworząc w ten sposób klin, w którym szedłem. Wszystko, czego dotyczyły halabardy, musiało się usunąć i to bardzo szybko.

Skorzystałem z okazji, aby przyjrzeć się z bliska twarzom tych ludzi. Niektórzy mieli

takie okrągłe twarze i skośne oczy, że w okolicach Point Barrow mogliby uchodzić za Eskimosów, inni z kolei — bardzo jasne blond włosy. Na ogół byli oni potężnej budowy, często z krzywymi nogami, co było raczej spowodowane potężną budową niż upośledzeniem. U wielu zobaczyłem wyraźnie orle, wąskie nosy, które niezbyt pasowały do szerokich, okrągłych twarzy.

Zmierzałem w kierunku podestu znajdującego się w przeciwnym końcu pokoju. Na tym podwyższeniu umieszczono platformę, na której przy stole siedziało trzech mężczyzn, a obok nich, sądząc z wyglądu, chyba pisarze czy urzędnicy. Ja stanąłem poniżej, na podeście, przed kilkoma żołnierzami.

Badawczo przyglądałem się tym trzem przy długim stole. Dwaj z nich, starsi mężczyźni, wyglądali na czystych Europejczyków — blondyni o niebieskich oczach. Można też powiedzieć, że byli przystojni, na swój ponury, nieludzki sposób. Wszyscy pod sześćdziesiątkę, przynajmniej tak mi się wydawało, z zamyślonymi twarzami, a ich smukłe dłonie i stukające palce wyrażały najwyższy stopień wyrafinowania.

Najwięcej uwagi poświęciłem jednak trzeciemu z nich, jako że był to Cleveland Darrell.

Odziany w perukę i togę jak i dwaj pozostali przypominał ich do tego stopnia, że z łatwością uszedłby za brata bliźniaka któregośkolwiek z nich.

Zauważyłem, że unika mojego wzroku i całkiem straciłem nadzieję. Tak, wszystkie oczy w tym wielkim tłumie były wlepione w obcego, we mnie. Nawet dwóch starszych sędziów wyglądało na bardzo zainteresowanych moją osobą, gapili się i coś tam do siebie mruzczyli. Natomiast mój przyjaciel Darrell, dla którego przebyłem tyle tysięcy mil tego lodowego piekła, on, jak się wydawało, wstydził się choćby na mnie spojrzeć.

W tym momencie uwaga gawiedzi odwróciła się nagle ode mnie. Tłum zaszemrał niskim, złowrogim głosem:

— Kapłanka! — usłyszałem.

Oto i ona. Szła pod strażą, z dwiema wspaniałe wystrojonymi kobietami po obu stronach, Alicją i jakąś jeszcze jedną. Mimo iż były wysokie, miały piękne twarze i cudowne suknie, a Sylwia odziana była tylko w czerń i biel, jednak ze swą spokojną, a zarazem nieobecną twarzą wyglądała przy nich jak królowa obok żebraczek.

Wprowadzono ją na podest, nie opodal mnie, gdzie stało przygotowane dla niej krzesło. Zanim jednak usiadła, trzykrotnie pokłoniła się sędziom, potem spokojnie rozejrzała się dokoła, uśmiechem i skinieniem głowy witając tych żołnierzy, których znała. Nie zapomniała i o mnie, posyłając mi uśmiech.

Tłum się już uciszył, ale szmer ich tysięcy oddechów słyszeć było niczym wiejący w oddali wiatr. Najważniejszy spośród sędziów przemówił:

— Sylwio, córko Cuthberta, która byłaś kapłanką bogini i strażniczką bezimiennego imienia, oskarża się ciebie o to, że przekroczyłaś swe prawa i przestąpiłaś zakazane wrota. Stoją oto przed tobą świadkowie, którzy gotowi są dać świadectwo prawdzie. Cóż zatem powiesz: winnaś czyli też niewinna?

Wstała i odpowiedziała mu:

— Jam jest Sylwia, córka Cuthberta, ale wciąż jednak jestem kapłanką. Powierzono mi tę funkcję, spełniałam ją wiernie, jakież więc człowiek śmie twierdzić, że słowo bogini odwróciło się ode mnie, pozbawiając mnie mego miejsca?

Słowa jej były mocniejsze niż jej głos, ale ponieważ mówiła starannie i wyraźnie, słyszeć ją było we wszystkich odległych zakamarkach sali. W jej głosie nie wyczułem złości, ani też żadnego innego uczucia. W odpowiedzi przez tłum przeszedł pomruk uwielbienia i poparcia. Widać było jak na dłoni, że ją kochają. Powietrze zdawało się aż drgać od panującego napięcia.

— To nie należy do sprawy. Sylwio, córko Cuthberta, coż masz na swoje usprawiedliwienie?

— Nie będę się bronić, dopóki nie uznacie mojego protestu. Czy jestem tu tylko jako córka Cuthberta, czy też jako kapłanka?

— Musisz się bronić — powiedział sędzia. — W innym przypadku będę musiał zwołać świadków, zbadać ich zeznania, a następnie wydać wyrok.

— Nie będę się bronić — powiedziała spokojnie. — Chyba że jako kapłanka bogini.

Sędzia zmarszczył brwi, lecz w tej chwili mężczyzna po jego prawej stronie szepnął mu coś i ten w końcu pokiwał głową.

— W takim razie przyznajemy ci prawo do tego tytułu — powiedział sędzia. — Jakież jest teraz twój głos, winna czy niewinna?

— Winna, panie mój.

Publiczność wydała słaby jęk. Sędzia zmarszczył brwi w ich kierunku i uspokoił się. Niesłychane, jednym spojrzeniem potrafił przywołać ich do porządku! Myślę, że to jedno spojrzenie wystarczyłoby też, aby ze strachu serce podeszło mi do gardła.

— Skoro jesteś winna, nie ma wątpliwości, że musisz umrzeć — przemówił sędzia.

— Jam na śmierć gotowa — padła nieustraszona odpowiedź dziewczyny.

— Jakimże sposobem przestąpiłaś zakazane wrota i jakież szaleństwo cię tam zawiodło? — zapytał sędzia.

— W ten sam sposób, jak mnie tu widzicie, kiedy wedle mojej woli mogę postąpić naprzód lub cofnąć się.

Sędzia pokręcił głową:

— Ralphie, synu Raoula, czyż widziałeś ją, swobodnie przekraczającą wrota, z własnej woli?

Przysadzisty żołnierz odpowiedział:

— Widziałem, jak do holu wniósł ją w ramionach ten mężczyzna.

Sędzia spojrzał na mnie:

— Czy wy wnieśliście przez wrota tę kobietę, bezwładnie leżącą w waszych ramionach?

Przez chwilę się wahałem, później przyszło mi do głowy, że może szanse Sylwii wzrosną troszeczkę, jeśli powiem tak:

— Tak, ja ją wniosłem, jako że ogień wulkanu szalał wszędzie dokoła nas. Iskry strzelały niczym woda z fontanny.

— Co więc masz na swoją obronę, abyśmy nie skazali ciebie na śmierć? — padło pytanie tym razem skierowane do mnie.

— Nigdy nie słyszałem większej głupoty! — Nie mogłem wytrzymać. — Ta dziewczyna, święta i dobra niewiasta, pokazała mi drogę do tychże wrót. A przecież to wasi ludzie przysłali wiadomość, że mogłem przyjść jedynie przechodząc obok Fontanny Życia. Tak więc dzięki jej pomocy udało mi się tego dokonać. Wtedy właśnie, kiedy wybuchł ogień i rozpętało się piekło, ona sama miałaby zawrócić? Z pewnością strawiłyby ją płomienie. Wziąłem ją zatem na ręce. Opierała się. Kiedy zaś przekonała się, że nalegam, aby zabrać ją w kierunku najbliższych drzwi, wtedy zemdląca. Mówię prawdę jak na spowiedzi, przysięgam.

Sędzia powiedział tylko:

— Na siłę, czy nie na siłę, kapłanka przestąpiła wrota. Co się zaś tyczy tego drugiego, wy wydajcie wyrok, mój przyjacielu.

Wtedy wstał Cleve Darrell, spojrzał na mnie z głębokim zastanowieniem, a następnie przemówił:

— Dlaczegoż macie wątpliwości? Oto złamano prawo i stoi tu człowiek, który je złamał. Jeżeli kapłankę czeka ogień, on także musi być ukarany.

Słuchałem jego słów i nie wierzyłem własnym uszom.

— Jakaż to kara, wymień ją — rozkazał najważniejszy z sędziów.

— Kat i jego topór — odpowiedział Darrell.

## Rozdział XXI

### OPOWIEŚĆ DARRELLA

Miałem wrażenie, że ktoś walnął mnie mocno w zęby. Dokładnie tak samo się czułem. Przecież to właśnie sam Cleve Darrell skazywał mnie na śmierć!

Teraz przemówił trzeci sędzia:

— W rzeczy samej — prawda, że kobieta musi umrzeć, ale co do mężczyzny, to przybył on z bardzo daleka i to z powodu przyjaciela. Prawo Krainy Dymów jest mu obce. Dla obcego los powinien być łagodniejszy.

Kręciło mi się w głowie. Gdzieś, jakby poprzez mgłę słyszałem jak jakaś kobieta łąka. Widziałem, że to nie nade mną, lecz nad Sylwią. Wtedy dotarł do mnie wyraźny i ostry głos Sylwii:

— Chciał mnie uratować. Nie wiedział, że jego siła i chęć ocalenia mnie narażają mnie na śmierć. Cóż by to była za sprawiedliwość, która by skazywała niewinnego, nieświadomego naszych praw człowieka, niczym dzika bestia spragniona krwi!

Odpowiedział jej główny sędzia zwracając się do Darrella:

— Słyszycie oto, bracie, dwa głosy ujmujące się za nim. I cóż na to powiecie?

— Rzeknę, iż pęka mi serce, kiedy muszę przemawiać przeciwko niemu — odezwał się Darrell. — W moim innym życiu, o którym już niemal zapomniałem, wiem, był on moim przyjacielem. Wiem, że przybył tu, aby mnie odnaleźć i narażał się na ogromne niebezpieczeństwo. Czegóż jednak mógłbym pragnąć, panie, ponad to, aby przestrzegać bez wyjątku praw tutejszej ziemi? Jeżeli choć raz się ugniemy, niebawem wszystko będzie stracone. Umyslnie czy nieumyślnie zasłużył on na śmierć i dlatego musi zostać stracony!

Już mi się prawie wydawało, że cały tutejszy lud jest zaczarowany przez sędziów i oprowadzony przez strach. Jednak po tym, jak Darrell skończył, w całej wielkiej sali rozległy się niczym grzmot wycie i pomruk zgromy i niezadowolenia. Stanowczo zdrada przyjaciela nie przypadła do gustu mieszkańcom Krainy Dymów.

Słyszając te ryki Darrell wstał i powoli zaczął wodzić oczami po sali, a tam, gdzie spoczęło jego spojrzenie, natychmiast zapadała martwa cisza. Nie posiadałem się wprost ze zdumienia. Co za duma, chłód, nieludzka moc siły woli tego człowieka — umieć opanować taki tłum!

Z powrotem usiadł. Teraz przemówił sędzia główny:

— Niech wszyscy zapamiętają te słowa. Nie ma takiego miejsca, gdzie nie szanowano by przyjaźni. Jednak prawo jest od niej po wielokroć cenniejsze. Bracie, ta ofiara na ołtarzu prawdy nigdy nie będzie ci zapomniana.

Tu podniósł coś niby berło czy buławę:

— Przyznała się do winy. Mężczyzna wyznał swój grzech. Teraz oto ja wygłoszę wyrok. Nim upłynie doba, niechaj on zginie od katowskiego topora, kapłanka zaś niechaj ze związanymi rękami i stopami zostanie rzucona w ogień palący się na ołtarzu jej bogini, która może, jeśli zechce, ocalić życie swojej służki.

Wszyscy zgromadzeni wstrzymali oddech, a po chwili słychać było, jak wzdychali ze zgromy, strachu i żalu.

Ja jednak zdołałem otrząsnąć się i przyjść do siebie:

— Cleve, przecież ty nie mógłbyś zdradzić mnie w ten sposób! — wrzasnąłem. — Nie jesteś przecież takim...

Chyba z pół tuzina żołnierzy rzuciło się na mnie, jakby grali w rugby. Wszyscy mieli ciężkie zbroje, choć bez nich też z łatwością powaliliby mnie na ziemię. Upadłem, a oni

kopali mnie jak worek kartofli i tak kopiąc wynieśli przez ten cały tłum.

Przez dłuższy czas widziałem tylko wirujące dokoła gwiazdy. Kiedy już zacząłem odróżniać poszczególne przedmioty, zobaczyłem, że leżą bezpiecznie w moim dawnym pokoju. Pozwiazali mnie tak mocno jako owcę, którą mają prowadzić na targ. Nie mogłem nawet swobodnie oddychać.

Tak byłem wściekły na Cleve'a Darrella, że nie myślałem ani o ciemności, ani o nadchodzącej śmierci. Nie trwało to jednak długo. Już wkrótce, za kilka godzin nie pozostanie nawet śladu po Dymku Cassidym. Może tylko gdzieś, kiedyś, wieczorem, przy ognisku, ludzie w okolicach Point Barrow będą opowiadać historyjki o szaleńcu, który przybył skądś z południa, nazywał się Cassidy, czy jakoś tak podobnie, wyruszył na krze w podróż po północnym oceanie i tyle o nim słyszano.

Tak, tylko tyle po mnie zostanie. Nikt na świecie nic dowie się nic o moim odkryciu, o kapłance Sylwii. Zupełnie nic!

Mówię wam, nie mogłem się pogodzić z myślą, że tam, na południu nie będę miał nawet nagrobka. Do tego stopnia, że zacząłem się rzucać i wić. Nadal się tak kotłowałem, kiedy ktoś uchylił drzwi do mojego pokoju i wślizgnął się do środka. Nieznajomy stał w ciemności w bezruchu.

— Jeżeli nadszedł mój czas, zapalcie światło, jestem gotowy — zawyłem. — Chciałbym tylko zostawić króciutki liścik dla doktora Darrella, niech piekło pochłonie jego duszę!

Nagle błysnęło na moment światło, wypełniając całe pomieszczenie jasnością i oto zobaczyłem Clevelanda Darrella stojącego tuż obok drzwi. Wciąż miał na sobie togę i perukę, które nosił jako sędzia.

Bez słowa zdjął je. Patrzyłem i nie mogłem się nadziwić, jakim sposobem czułem do niego tak ogromną nienawiść, pogardę, choć tliło się jeszcze dawne, zawiedzione uczucie w moim sercu.

Wtedy on pochylił się nade mną i pociągnął ostrzem noża po krępujących mnie sznurach. Kiedy już opadły ze mnie więzy, podał mi rękę, aby pomóc mi wstać.

Stałem tak, nie mogąc utrzymać równowagi, było mi niedobrze i sam już nie wiedziałem, czy bardziej jestem zdziwiony, czy zachwycony.

— To wszystko było na niby, Cleve. Nigdy nie myślałeś o tym, żeby mnie opuścić! — W końcu się odezwałem.

Pokiwał głową.

— Jestem strasznym skunksem, bo przecież zważyłem w ciebie.

— Człowieku, nie zapominaj, że jeszcze bardzo daleko ci do wolności — powiedział. — Najprawdopodobniej i tak umrzesz.

Machnąłem ręką. Śmierć sama w sobie nie wydawała mi się wtedy taka ważna:

— Wiedziałem, że siedzi w tobie normalny facet. Coś głęboko w środku nie dawało mi spokoju i mówiło, że Cleve Darrell nie mógł się zmienić. Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, udawałeś, tam, w laboratorium, i w ogóle. Czy mam rację?

Pokiwał głową. Nawet cień uśmiechu nie pojawił się na jego twarzy, ani w jego oczach. Trzymał mnie wciąż za rękę i patrzył na mnie ponurym wzrokiem, jakbym to ja był duchem, wytworem jego wyobraźni.

— Co się stało, Cleve? — spytałem. — Siadaj tu. Opowiedz mi wszystko. Albo może powinienem już stąd uciekać?

— Jeszcze nie nadszedł na to czas — odpowiedział. — Powinienem był czekać aż do ostatniej chwili. Wydawało mi się jednak, że warto narazić się na to dodatkowe ryzyko, jeżeli będę mógł z tobą porozmawiać. Dużo nas jeszcze czeka, zanim spróbujemy stąd uciec.

— Razem?

— Tak.

— A dziewczyna?

Po raz pierwszy uśmiechnął się do mnie:

— Nie zapomniałem o niej. Albo nam się uda wszystkim, we trójkę, albo nikomu.

Pokiwałem głową, zrobiło mi się przykro i głupio. Jak mogłem być taki podły, żeby w niego zwątpić?

— Niech Bóg cię ma w swojej opiece.

Wzruszył ramionami:

— Mamy jakąś jedną szansę na dwieście lub trzysta.

Muszę przyznać, że to jego stwierdzenie ostudziło nieco mój optymizm, ale ponieważ teraz i on był ze mną, czułem, że damy radę pokonać każdą przeszkodę.

— Niech się dzieje co chce. I tak warto, abyśmy razem popróbowali, Cleve. Najwyżej zginiemy w czasie tej próby!

Pokiwał głową.

— Tylko jeśli nam się nie uda, wtedy czeka nas nielekka śmierć, Dymek. Najtęższe głowy świata siedzą w tej górze i jeśli nas złapią, zafundują nam taką wyszukaną i doskonałą egzekucję, że Apacze pozieleniliby z zazdrości.

— Dobra, Cleve, opowiedz mi o wszystkim. Co było nie w porządku z tamtym laboratorium, gdzie cię zobaczyłem po raz pierwszy?

— W tamtym laboratorium widzieli wszystko, co robiłem, i słuchali każdego słowa. Śledzili każdy szept, każdy wyraz twarzy. W tym pokoju obserwowano cię w podobny sposób. Przez cały czas, dopiero kilka minut temu, jak sądzę, przerwałem działanie całego mechanizmu na jakąś godzinę.

— Byłem podsłuchiwany i podglądany? — zdziwiłem się. — Pewnie mogli mnie podsłuchiwać przy pomocy jakiegoś sprytnego urządzenia elektrycznego, ale nie powiesz mi chyba, że potrafią widzieć w ciemności.

Znowu się uśmiechnął:

— Tak samo jakby widzieli, mogą liczyć twoje oddechy i uderzenia serca.

— Jakim sposobem to robią, do diabła?

— Zmarnowałbym całą godzinę, żeby ci wyjaśnić działanie samego przyrządu. Czy w ten sposób mam wykorzystać naszą godzinę?

Teraz to ja wzruszyłem ramionami.

— Opowiedz mi wszystko od samego początku. Przede wszystkim, co się wydarzyło w twoim laboratorium.

Spojrzał na mnie, a potem przymknął oczy. Rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko mnie i zaczął opowiadać.

— Cofnę się do tamtej chwili. Do tamtej nocy, kiedy myślałem, że jestem tuż-tuż od wynalazku, który zmieni bieg historii. — Uśmiechnął się jakby sam do siebie.

— Czy się myliłeś?

— Byłem niedoświadczonym głupcem. Po pierwsze, wydawało mi się, że prawie trzymam w dłoni tajemnicę całego życia.

— I nie miałeś racji?

— Nie miałem — powiedział z powagą. — Co więcej, wydaje mi się, że nawet i za dziesięć tysięcy lat nauka nie znajdzie się ani o krok bliżej od prawdziwego rozwiązania.

— Widziałem, jak ciskałeś dokoła pioruny i błyskawice.

— Właśnie to udało mi się wymyśleć. Rodzaj śmiertelnej broni, jakiej, jak sądzę, świat nie widział. Nawet te podstępne szatany tutaj nie wymyśliły niczego podobnego, owej jedynej rzeczy, której potrzebowali, zanim wyruszą na podbój świata!

Z trudnością przełknąłem ślinę:

— Dzisiaj na procesie chciałeś im tylko zamydlić oczy, żeby uwierzyli, że myślisz tak, jak oni by sobie tego życzyli? — podsunąłem mu myśl.

— Dokładnie tak chciałem zrobić i, jak sądzę, udało mi się. Teraz wróćmy do mojego

laboratorium... W probówce, nad którą pracowałem, znajdował się gaz i pewien stały składnik, który z kolei w taki sposób oddziaływał na gaz...

— Daj spokój, Cleve — przerwałem mu. — Opowiadaj tylko o tym, co najważniejsze, dobra?

— Ten składnik stały i gaz stanowią właśnie sedno sprawy — sprzeciwił się. — Powiem ci tylko tyle, że gaz w połączeniu z owym składnikiem stałym wyzwał wybuch, ponieważ nagle uwalniał energię związaną wewnątrz atomu. Piorun, jak go nazywasz, był jednym ze sposobów skierowania tejże energii. Oczywiście można jej też użyć inaczej.

— Zastanawiałem się, jak długo przetrwałoby jakieś wielkie miasto, gdyby zbombardowano je czymś takim, co potrafi rozwalić zbocza gór z litej skały!

— Każde największe miasto świata, nawet Manhattan, cały ze stali i betonu, zostałby w pięć minut starty z powierzchni ziemi!

Szeroko otworzyłem oczy. Nie potrafiłem wydusić z siebie ani słowa, bo widziałem, że nie kłamie. Było co do joty tak, jak mówił.

Ciągnął, czerpiąc jakąś niesamowitą przyjemność z faktu, że zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa:

— Mogłem polecieć samolotem nad Europę i zrównać z ziemią Alpy, a wysadzić w powietrze jakieś inne góry, gdzieś w centrum Francji. Mogłem rozwalić na dwie części Góry Skaliste... — przerwał na moment. — Nie będę się już więcej chwalił, ale wierz mi, nie przesadzam.

Znowu opowiadał:

— Wróć jednak do tamtego czasu, kiedy pracowałem w laboratorium z moimi probówkami. W pewnej chwili poczułem w powietrzu coś, co nie było ani dźwiękiem, ani ciepłem, ani światłem. To drżały moje własne nerwy! Odwróciłem się i zobaczyłem... — znowu przerwał, zasłaniając ręką oczy. — Zobaczyłem, jak coś wycina wielkie kawałki stalowych ścian. Upadały one na zewnątrz tak cicho, że nic nie słyszałem. Nie słyszałem też żadnego hałasu cięcia, ani nic nie widziałem. Gapiłem się na drzwi, w oczekiwaniu pomocy, pomocy od ciebie, lecz właśnie w tej chwili coś przemieniło mnie w kamień.

— Słuchaj, stary — wtrąciłem. — Uwierzę we wszystko, w co chcesz, tylko nie próbuj mi wmówić...

Uśmiechnął się prawie niezauważalnym uśmiechem, nieznacznie tylko wykrzywiając kąćki ust.

— Nic prostszego, niewielkie urządzenie przesyłające przez człowieka napięcie elektryczne tak potężne, że mnie sparaliżowało — odpowiedział. — Zanim doszedłem do siebie, jacyś mężczyźni weszli do środka przez otwór w ścianie, porwali mnie, przewiązali mi czymś oczy i zabrali ze sobą.

— O raju, człowieku, nie mogłeś nawet pisać?

— Nic nie mogłem zrobić! Poza tym wcale nie byłem specjalnie zaskoczony. Różne obce mocarstwa wiedziały dosyć dużo o mojej pracy. Mówiłem o straszliwej broni, ale gdyby ten potencjał obrócić na użytek handlu i przemysłu, to całe nasze nowoczesne systemy maszyn byłyby w porównaniu z nim dziecinną igraszka.

Przypomniałem sobie wtedy, co widziałem tamtej nocy:

— Czy maszyna, która sprawia, że statek przepływa Atlantyk w pięć dni, także byłaby dziecinną igraszka?

Myślał o czymś, patrząc na mnie swoimi mądrymi oczami:

— Dzięki mojemu wynalazkowi tę samą pracę mogłoby wykonać jedno niewielkie urządzenie, tak lekkie, że jeden człowiek podniósłby je bez trudu... Wsadzili mnie do czegoś, niby łódki, bo czułem wyraźnie przechyły przy każdym następnym obciążeniu. W końcu zdałem sobie sprawę, że wystartowaliśmy. Ktoś odsłonił mi oczy, ktoś inny uwolnił moje ręce i zobaczyłem, że znajduję się w niewielkim, nie oświetlonym pojeździe. Kiedy spojrzałem w



dół, tuż pod sobą zobaczyłem moje laboratorium. W tej samej chwili jakiś głos rozkazał: „Możecie już wysłać falę!” Po czym cały ten fragment laboratorium zniknął, jakby jakiś ogromny paluch jednym pstryknięciem rozwalił domek z kart. Nie skończyło się na tym. Później poczułem, że siła wybuchu podrzuca nas do góry. Miałem wrażenie, że unosi nas wielka fala na morzu. Nie spadliśmy jednak w dół, niczym na opadającej fali, tylko z ogromną prędkością pomknęliśmy do przodu i widziałem już tylko przemykające obok gwiazdy i góry. Wysoko na fali unosiły się jakieś drzewa, czy słupy telegraficzne, które wirowały za oknami pojazdu z niesłychaną prędkością. Nie zwracałem uwagi na żadne grożące mi niebezpieczeństwo, tak byłem zaaferowany prędkością, z jaką się poruszaliśmy. Szacowałem ją na jakieś pięćset, sześćset kilometrów na godzinę i, co dziwne, nie słyszałem żadnego pracującego śmigła, ani innego silnika. I wtedy... była to najgłupsza rzecz, jaką mogłem uczynić! Zapytałem człowieka siedzącego obok mnie w ciemności: „Jakiego materiału izolacyjnego używają wasi konstruktorzy, aby pokonać hałas?” — „Materiału izolacyjnego?” — padła odpowiedź. — „Jest to obce dla mnie słowo. Dowiesz się wszakże, druho mój, że odmiennie nazywamy wiele jednakich rzeczy. — Ile silników pracuje, aby nadać nam tak ogromną szybkość?” Niemalże spadłem z siedzenia, kiedy usłyszałem wyjaśnienie, że to nie żaden silnik napędza pojazd, tylko rytmiczne, rozprężające wybuchy.

— Co, do diabła, miałyby to oznaczać? — spytałem.

— Oczywiście ja też nie mogłem zrozumieć — odpowiedział Darrell. — Dopiero dużo później się dowiedziałem. Wtedy jednak widziałem tylko skorupę naszego statku powietrznego, który przypominał ciało wielkiej ryby, długie na jakieś dwadzieścia metrów, z jednym końcem szerszym i zaokrąglonym. Całość miała linię makreli, prawdopodobnie dlatego, że ta właśnie ryba wygląda na najszybszą spośród wszystkich pływających w morzu. Skrzydła zaś były po prostu płetwami.

— Dobra, dobra, Cleve. — Nie mogłem uwierzyć.

— Właśnie to miałem na myśli — potwierdził. — Oczywiście przy szybkości sześciuset kilometrów na godzinę nawet bardzo niewielkie przełożenie zapewnia wzniesienie się na dowolną wysokość. Napęd pojazdu stanowiła swojego rodzaju rura przechodząca przez całą jego długość. Z przodu rura nie była szersza niż lufa strzelby, lecz jej średnica wzrastała ku tyłowi, aż osiągnęła zewnętrzny wymiar statku. Ładunki wybuchają wewnątrz pierwszej komory...

— Proch strzelniczy? — zdziwiłem się.

— Nie, coś o wiele silniejszego niż proch strzelniczy, Dymku — zmarszczył czoło i pokręcił głową. — Trudno wyjaśnić, co to jest, ale jeśli chcesz...

— O raju, nie. — Miałem już dość. — Ale co to takiego, te postępujące rytmy?

— Po prostu opóźnione wybuchy, takie, które, jakbyś to powiedział, dopalają się powoli.

— Czyli coś, co nie wybucha z hukiem?

— Nie — powiedział Darrell. — Jeżeli wystrzelisz, strzelba odbija w ramię strzelca. No, a gdyby ten wybuch następował wolniej i spokojniej, czułoby się tylko nacisk na ramię i mogłoby się znieść znacznie większy nacisk, niż gdyby broń odbiła gwałtownie. Nie jest to taka zupełnie nowa sztuczka.

— Tak, jasne — zgodziłem się. — Dużo łatwiej dać odpór, kiedy ktoś cię pcha, niż gdy cię nagle walnie.

— Przypuszczam — ciągnął Darrell — że trzeba wymyślić materiał, który wybucha najpierw powoli, a potem przyśpiesza. Nabój odpalałby się w lufie powoli, a potem wylatując parł coraz mocniej i mocniej, no? Właśnie coś takiego spalali tamci ludzie, dzięki czemu ich pojazd unosił się do gwiazd i mknął czterysta kilometrów na godzinę.

## Rozdział XXII

### GENEALOGIA MĘDRCÓW

Próbowałem jakoś po cichu przetrwać w sobie to, co mi powiedział. Przy takiej szybkości można by oblecieć kulę ziemską w osiemdziesiąt godzin.

— Skąd u licha, mógł komuś przyjść do głowy taki pomysł? — zdziwiłem się. — Wejść do środka strzelby, czy raczej uchwycić się jej i w ten sposób podróżować przez świat?

— To tak jak ośmiornica, która przemieszcza się w bardzo podobny sposób, skokami — wyjaśnił. — Jej narządy pławne to po prostu duża pompa, a strumień wody, który wyrzuca, odpycha ją do tyłu w głębinach oceanu. Choć ludzie z Krainy Dymów nie muszą zaprzętać sobie głowy szukaniem wzorów w przyrodzie. Wystarczają im ich własne mózgi. — Zaśmiał się gorzko, błędząc myślami gdzieś, gdzie nie mogłem za nim nadążyć.

Znowu zaczął opowiadać:

— W końcu spytałem, dokąd zmierzamy. Odpowiedział mi szyderczy śmiech oraz informacja, że kierujemy się do Krainy Dymów, na północ od Alaski i w okolice Bieguna Lodowego.

W ten sposób wyjaśniły się brakujące słowa, których nie mogłem odgadnąć, aby dokończyć tamto zdanie, wydrapane na kawałku zmetalizowanego drewna.

Tymczasem Darrell ciągnął swoją historię:

— Później, gdy tylko nadarzyła mi się okazja, podniosłem kawałek materiału, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Zapytałem, co to takiego. Mój najbliższy sąsiad powiedział, że wystarczy warstwa tego czegoś, gruba na jedną sześćdziesiątą centymetra, aby nabój w stalowej łusce wystrzelony z dalekonośnej strzelby odbił się i spadł spłaszczony... Pomyślałem, że to coś jest lekkie niczym drewno, a jeżeli naprawdę ma tak dużą wytrzymałość, to może mi się przydać. Na palcu miałem diamentowy sygnet o ostro szlifowanym kamieniu. W ciemnościach próbowałem wyskrobać jak najlepiej mój nowy adres, ale facet siedzący obok podejrzewał, że dzieje się coś dziwnego i złapał mnie za rękę. Oni tutaj, Dymek, mają niesamowite umysły, ale nie wynaleźli skutecznego sposobu, żeby odparować krótki prawy hak. Trafiłem tego gościa w sam środek szczęki, po czym roztrzaskałem najbliższe okno z grubego szkła, aby przez dziurę wyrzucić ten kawałek drewna. Natychmiast pochwyciło mnie wiele par rąk, podczas gdy statek zadygotał niebezpiecznie. Wreszcie związali mi ręce i nogi i tak pozostało do końca podróży. Zrobiło się jasno, nastał dzień polarny, ponury i mglisty. Wtedy zesliśmy na dół poprzez tę mgłę, niczym ryba polująca w morskiej głębinie. Lądowanie było takie miękkie, że prawie nieodczuwalne. Wyciągnięto mnie z tego pojazdu. Od razu zobaczyłem dymiącą górę, od której pochodzi nazwa wyspy. Zaraz udaliśmy się pod powierzchnię ziemi. Po kilku minutach zamknięto mnie ze zgrzybiałym starcem o siwych włosach, przeredzonych ze starości. Były one chyba nawet cieńsze od pajęczyny. Otaczały jego głowę spływając na ramiona, dzięki czemu bardzo przypominał starożytne portrety Zeusa. To z jego ust dowiedziałem się, dlaczego sprowadzono mnie do Krainy Dymów i czego ode mnie oczekują. Zanim ci jednak o tym wszystkim opowiem, powinienem ci trochę objaśnić tutejsze zwyczaje.

— Pewnie — zgodziłem się. — Powiedz mi, kim są ci ludzie, jakie jest ich pochodzenie, czy są Eskimosami, Anglikami, czy też jeszcze czymś innym.

— Cofnijmy się o kilkaset lat — rozpoczął. — W tamtych czasach ludzie zrobiliby wszystko, aby przebyć Amerykę i dostać się do Indii. Żeglarze z Francji, Hiszpanii, Portugalii czy Anglii byli nieustraszeni i pełni poświęcenia, nigdy jednak nie przyszło im do głowy, że Ameryka, ta przeszkoda na drodze do Indii, sama warta jest więcej niż skarby całych Indii pomnożone dziesięciokrotnie. Ich głowy wciąż były pełne marzeń o drzewach z owocami ze złota i

diamentowymi kwiatami... Obie Ameryki stanowiły jedynie przeszkodę w drodze do tego raj. Kiedy przekonali się, że opłynięcie Przylądka Horn stanowi nie lada sztukę, a Cieśnina Magellana to tylko kolejna śmiertelna pułapka, cała ich nadzieja zwróciła się ku północy i poszukiwaniom przesmyku północnego. Wyobraź sobie statek o okrągłym dziobie wypływający z bristolskiego portu, a na jego pokładzie siedemdziesięciu dziewięciu szlachetnie urodzonych poszukiwaczy przygód, zwyczajnych marynarzy, oficerów i kogo tam jeszcze, w tym jedną jedyną kobietę. Szczególnie ważna w tym wszystkim jest właśnie ta kobieta o imieniu Sylwia.

Ze zdziwienia aż poderwałem się z krzesła i stałem tak wyprostowany, gapiąc się na niego, a on opowiadał dalej:

— Tak właśnie, dobrze odgadłeś — przytaknął, uśmiechając się dziwnie. — To od niej wywodzi się twoja Sylwia, jakieś piętnaście czy dwadzieścia pokoleń wstecz. Teraz wyobraź sobie ten statek płynący pomiędzy Grenlandią a kontynentem. Mieli niezwykle dużo szczęścia, ponieważ wiatry przez cały czas im sprzyjały, a morze było spokojne. W ten sposób udało im się nawet opłynąć północne wybrzeże kontynentu i wejść na Morze Barentsa. Tam jednak, jak łatwo można przewidzieć, statek utknął w lodzie. Jednakże szczęście mieli zaiste niezwykle. Prądy morskie zaniósł krę z kapitanem, jego żoną i jeszcze jakimiś dwudziestoma czy trzydziestoma rozbitkami w pobliże Krainy Dymów. Udało im się dotrzeć na ląd. Eskimosi, których spotkali na wyspie, okazali im przyjaźń. Kapitan i jego żona byli, jakby to powiedzieć, królem i królową tej gromadki. Okręt pękł na pół, nie było więc żadnych szans, aby mógł kiedykolwiek wypłynąć.

Mężczyźni poženili się z eskimoskimi kobietami, a ich potomkowie do dziś zamieszkują ten kraj. Dlatego ich karnacja jest na ogół jasna. Tylko kapitan i jego angielska żona izolowali się nieco, jak tego wymagał ich status. Doczekali się też dzieci, syna i trzech pięknych córek, które, kiedy osiągnęły wiek odpowiedni do małżeństwa, oddano za żony zwykłym majtkom z bristolskiego statku, nie żadnym dobrze urodzonym podróżnikom. Podstępny stary kapitan przyjął ich wszystkich do swojej rodziny, chciał bowiem w ten sposób dać początek czysto białej dynastii, która miała rządzić wyspą. Zresztą dokładnie tak się stało, jako że w górze tej mieszkają ludzie, których tu nazywają mędrkami, a którzy są w prostej linii potomkami kapitana i pierwszej Sylwii. Mieszkańcy reszty kraju to mieszańcy, tacy biali Eskimosi. Aby Eskimosi nie wymknęli się spod kontroli, kapitan, nazywał się on Filip Grey, stworzył dla nich religię. Oparł ją w części na miejscowych wierzeniach, a resztę sam wymyślił, w tym także boginię, którą ludzie mieli czcić. Nie tylko stworzył boginię, lecz również umocnił wiarę w nią za pomocą prochu i innych podobnych sztuczek, jakimi zatrwożył Eskimosów. Później zapewnił im stałą ciągłość kapłanek, a te także z krwi władców pochodziły. Wiesz już, w czym rzecz? Wybiera się małą dziewczynkę, kształci tak samo jak białych mężczyzn, tyle tylko, że uczy się ją jeszcze wierzyć w boginię. Dziecko w dalszym ciągu ma kontakt z rodzicami, pozostaje w rękach białych, aby potem służyć jako narzędzie do sprawowania rządów nad Eskimosami. W ten sposób utrzymywanie władzy jest proste i bezproblemowe. Rozumiesz?

— Filip Grey musiał być geniuszem, to wszystko było niesamowite.

— Na swój sposób był jednym z największych przedstawicieli ludzkości — zgodził się ze mną Darrell. — Nie mam co do tego wątpliwości. Jestem pewien, że świat jeszcze usłyszy o plemieniu, które założył. Chciałbym jednak opowiedzieć więcej o tym kraju. W sumie cały jego obszar zasiedlili przedstawiciele rasy mieszanej, sami nic nie wiedzący o swoim pochodzeniu. Wyznawali wiarę w boginię, spełniali rozkazy mędrków, przekazywane im za pośrednictwem kapłanki, stali się służącymi i strażnikami u czysto białych. Ci ostatni nie byli zbyt liczną grupą, a dziś nawet wśród nich panuje pewna segregacja. Do dwudziestu pięciu lat, tak mi się zdaje, każdy młody mężczyzna otrzymuje to samo wykształcenie. Może być dowódcą straży, albo zostać później wspaniałym myśliwym, lecz jeśli w dwudziestym piątym roku życia przejawia się woli i umysłu oraz można go darzyć zaufaniem, prowadzi się go przed

oblicze mędrców i zostaje przyjęty pod ich rozkazy. Bardzo wcześnie mędrcy zrozumieli, że ich siła leży w umyśle. Dlatego robili niezły użytek z własnych głów. W tej pustyni lodowej niemożliwe były wiosna ani lato, stworzyli więc ciepło pod ziemią. Natura przyparła ich do muru, musieli więc wyęźać rozum we wszystkich możliwych kierunkach. Dzięki temu bardzo szybko dysponowali ogromnym dorobkiem naukowym, który przekazywali z pokolenia na pokolenie. Matematyka stała się niemalże ich ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu, a przecież matematyka jest kluczem otwierającym drzwi do większości tajemnic wszechświata. Ale nie udało im się osiągnąć obecnego poziomu, gdyby od czasu do czasu nie mieli kontaktów z resztą świata, pozwalało im to poznać najnowsze wynalazki. Dwa czy trzy wraki statków, które odnaleźli, szczególnie zaś jeden, wrak statku ekspedycji naukowej z końca ubiegłego wieku, pozwoliły im niezłe orientować się w stanie nowoczesnej nauki. Mając tak solidne podstawy wyprzedzili wszystkich innych. W pewnych sprawach jednak nie zmieniali swoich pierwotnych przyzwyczajzeń, ale nie były to ważne dziedziny. Na przykład ich stroje przez cały czas wzorowano na dawnej modzie, tak samo ich język, może w ten sposób przejawiała się ich nostalgia, której przyczyn nie znali. Bardzo prędko nauczyli się kontrolować ogromne ilości ciepła wydzielanego przez tutejszy wulkan, zbudowali system śluz połączonych z morzem. Góra nie wybuchnie, jeśli tylko śluzy są zablokowane. Mając do dyspozycji energię tego ogromnego pieca, wkrótce posiadali wygodne domy i co ważniejsze, prawie niewyczerpalne źródło mocy. Dzięki temu wydrążyli wnętrza góry, zapewniając sobie szczęśliwe życie, zgodnie z ich pojęciem. Nigdy jednak nie zapomnieli o dawnych czasach i weselszej, zielonej ziemi na południu. Jakies piętnaście lat temu opracowali wczesny model aeroplanu i odbyli na jego pokładzie podróż dookoła świata. Zobaczyli wspaniałe miejsca, ale także zdali sobie sprawę, że w większości dziedzin wyprzedzają wszystkich innych o setki lat. W czasie tej wyprawy szukali po prostu jakiegoś niezwykle potężnego wynalazku, dzięki któremu mogliby podbić świat. W końcu doszły ich słuchy o moich doświadczeniach. Natychmiast postanowili, że muszą mieć mnie, abym przekazał im moją tajemnicę.

— I przekazałeś?

— Nie — odpowiedział Darrell patrząc mi prosto w oczy. — Jakoś tak się zawsze składało, że nigdy nie mogli mi dostarczyć dokładnie takich substancji, jakich potrzebowałem.

Uśmiechnął się, a ja zrozumiałem go bez trudu.

## Rozdział XXIII

### **BRÓŃ I DWÓCH MĘŻCZYŹN**

Robiłem się coraz mniejszy i mniejszy, gdy na jaw wyszła prawdziwa wielkość charakteru Darrella. Zupełnie jasne było, że mógł owym północnym wilkom dać do ręki broń, która w połączeniu z ich własnymi wynalazkami pozwoliłaby im zdobyć cały świat. Nie zrobił jednak niczego takiego. Wolał ponieść wszelkie konsekwencje, niż przestoczyć barbarzyńców w supermenów i skazać na zagładę cały świat.

— Cleve, w dawnych czasach udawało ci się pokonać mnie dzięki swojemu hakowi. Teraz dołożyłeś mi znacznie lepiej, ale w inny sposób. Chcesz powiedzieć, że udawałeś tylko, że pracujesz w ich laboratorium?

— Właśnie tak, co więcej, nigdy już dla nikogo nie będę pracował. Przeszła mi już chęć mieszania się w tajemnice życia i śmierci. Jeśli udało mi się wrócić do kraju, zatrudniłbym się jako poganiacz bydła albo przy grabieniu siana czy kopaniu dołów. Zbyt długo dzierżyłem w swych dłoniach zbyt wielką siłę. Aż mnie bołą od tego ręce, bołą i drżą. Za dużo widzia-

łem, Dymek...

Przerwał i pogрузzył się we własnych myślach. Ja tymczasem przyglądałem mu się ze wszystkich możliwych stron. Ból pozostawił głębokie ślady na jego twarzy, nigdy wcześniej i nigdy później go takim nie widziałem, ani jego, ani nikogo innego.

W końcu, po długiej walce z samym sobą, podjął decyzję. Darrell nie był taki jak inni. Jego siła wewnętrzna wynosiła go ponad nas wszystkich, jakby stał samotnie na wierzchołku wysokiej góry.

Właśnie tak myślałem, kiedy na niego patrzyłem.

Zaczął rozwijać belę tkaniny, którą przyniósł pod pachą. W środku znajdowały się dwa pancerze, przypominające tamten, zdjęty z pierwszego właściciela Zbója.

Kazał mi założyć jeden z nich, a ja nie miałem nic przeciwko temu, zdjąłem obcisły żupan i wsunąłem na koszulę pancerz, a potem całą resztę. Cleve uczynił to samo.

Nie musiał mnie uprzedzać, że czeka nas wszystko, co najgorsze. Ludzie zakładają broje tylko w jednym celu. Spodziewają się bliskich kontaktów ze stalą lub kulami.

— Co to takiego jest, Cleve? Jakaś skamielina, czy coś w tym rodzaju?

— Jakies sto lat temu zrobił je najmądrzejszy z mędrców — wyjaśnił mi Darrell. — Podobno użył w tym celu włókien roślinnych, które ścisnął tak mocno, że osiągnął prawie twardość drewna. Nikt nie jest w stanie odtworzyć procesu, jakiemu następnie poddał otrzymaną substancję. Impregnując włókna, nadał im obecną postać. Są lekkie jak drewno, przy tym twarde jak stal, gdzie tam, dużo twardsze od każdej ze stali, jakie kiedykolwiek widziałem. Gdyby ktoś odpowiednio uzbroił tym cudem pięciotysięcznik, nie musiałby się obawiać ani karabinów maszynowych, ani torped z łodzi podwodnych, ani żadnych pocisków lotniczych. Jak dotąd jednak tutejsi ludzie nie potrafili rozwikłać sekretu tamtego faceta, który zrobił pancerze. Umarł on, zanim zdołał przekazać komukolwiek swoją tajemnicę. Od pokoleń, w dzień i w nocy próbują jeszcze raz odkryć jego wynalazek.

— A co z tobą? Obserwowali cię?

— Nie spuszczali ze mnie oka.

— Wtedy, kiedy rozmawiałeś ze mną.

— Miała to być pokusa, żebym się zdradził. I choć nikogo z nami nie było w tamtym pomieszczeniu, obserwowali mnie ze wszystkich stron.

— Czy podejrzewali, że ich przejrzałeś?

— Sam nie wiem — zastanowił się Darrell. — Ale chyba nie. Gdyby tak było, torturowaliby mnie, aż wydarliby ze mnie informacje. Posiwiąłem, Dymku, ze strachu przed nadejściem tortur. Stałem się starcem. Z całego serca modliłem się do Boga o siłę, żebym mógł wytrzymać męki, kiedy będzie trzeba. Nie miałem wątpliwości, że będzie trzeba, a wtedy, gdybym zdradził swoją tajemnicę, skazałbym na zagładę całą cywilizację.

Przypomniałem mu, że już wcześniej widziałem taki pancerz, a on opowiedział mi o zbiegu, którego spotkałem na południu:

— Był jednym ze strażników. Jakies dwa lata temu nie spodobał się któremuś z mędrców i za to skazano go na chłostę, dopóki nie zedra z niego skóry.

Zadrzałem.

— Czy takie kary są tu na porządku dziennym?

— Oni są jak diabły, samo zło w najczystszej postaci. Od zbyt wielu stuleci byli samowładcami i tyranami, aby mieszkańcy Krainy Dymów powstałi przeciwko nim.

— Czy kiedykolwiek próbowano ich obalić? — spytałem.

— Owszem. Jak mi się zdaje, zupełnie niedawno, jakies cztery czy pięć lat temu wybuchło powstanie. Połowa kraju sięgnęła po broń, na nic się to jednak nie zdało. Dotarli tylko do wewnętrznych komnat mędrców, gdzie wybito ich jak muchy za pomocą malutkiego, sprytnego aparaciku na prąd. Kiedyś mi go pokazali. Słyszałem, że kiedy biedacy przewracali się nieżywi, nad ich spalonymi ciałami unosiły się kłęby dymu. Ci mędracy to najbezpieczniejsi i

najbardziej zadufani w sobie łajdacy, jakich kiedykolwiek spotkałem lub o jakich słyszałem. Ich jedyną przyjemnością jest planowanie tego, co uczynią wszystkim nieświadomym ich istnienia mieszkańcom Południa oraz obmyślanie tortur dla ich nieszczęśliwych poddanych. Imię bogini służy im za parawan, a kapłanka jest ich narzędziem.

— Niemożliwe, żeby Sylwia się zgodziła na coś podobnego — stwierdziłem. — Nie ona!

— Nie miałem na myśli, że kapłanka jest jedną z nich z własnego wyboru. Doprowadzili ją do tego poprzez siłę przekazywania. Jej umysł został ukształtowany tak, aby pracował zgodnie z ich wolą. Rozumiesz?

Pokiwałem głową.

— Tak — ciągnął Darrell — ten, którego spotkałeś, niezły był z niego śmiałek. Kiedy usłyszał, jaki wyrok zapadł, uciekł. Musiał być strasznie silny i wytrzymały. Jego ucieczka wywołała tu ogromne poruszenie. W pogoni za nim wysłali statki powietrzne, ale go nie złapali. A facet, któremu szczególnie zależało, żeby tamtego ukarać, tak się wściekł, że aż się pochorował ze złości.

— Ależ, Cleve, toż to wampiry! — Przypomniałem sobie, jak bardzo tamten człowiek był przerażony. Bojąc się zemsty wołał zamarnąć w zamieci, niż przerwać ucieczkę. Musiał wierzyć, że to same moce piekielne go ścigają.

— Jaki więc jest nasz następny krok? — spytałem Darrella.

— Nasze następne posunięcie to zdobycie odpowiedniej broni.

— Mam strzelbę i rewolwer, no i jest jeszcze Zbój, który potrafi rozszarpać człowiekowi w walce gardło nie gorzej od kuli.

Darrell spojrział na psa, jakby chciał ocenić jego przydatność:

— Tak, Zbój może się przydać — stwierdził — ale strzelba i rewolwer będą bardziej potrzebne.

— Czy oni tutaj nie mają broni palnej?

— Nie.

— Ze swoimi wspaniałymi umysłami nie potrafili skopiować rewolweru albo strzelby?

— Potrafili oczywiście, tylko nie chcą, żeby coś takiego leżało komuś pod ręką. Wolą bronić się za pomocą urządzeń elektrycznych, takich jak te, o których ci opowiadałem, albo za pomocą bomb. Ich materiały wybuchowe są tak silne, że potrafią wysadzać góry. Ci faceci to nic dobrego, ale nigdy nie mieli dość odwagi, żeby kłaść na widoku nowoczesną broń. Dla strażników zrobili kilka arkebuzów, lecz ludność tutejsza poluje na ogół z łukami i strzałami. Widziałeś długie łuki z kości zrobione na wzór starych łuków angielskich. Tak się więc składa, że twoja strzelba i rewolwer dadzą nam pewną przewagę w walce. Bez nich stalibyśmy na z góry straconych pozycjach.

— Czyli będziemy musieli się przedzierać? — spytałem.

— Tylko na krótkim odcinku. Gdyby zanosilo się na długotrwałą walkę, to oczywiście nie damy rady. Nie umiem sobie jednak wyobrazić, w jaki sposób moglibyśmy wydostać się z tej góry zupełnie bez walki. Wszystko jest tak strzeżone, że nawet mysz się nie prześlizgnie!

— W porządku — powiedziałem. — Wolę już zginąć w walce, niż umrzeć na torturach!

— Niestety, nic ma innego wyboru.

Spojrzelismy jeden na drugiego. Dobrze było porywać się na takie przedsięwzięcie mając u boku Darrella. Na nim można było polegać nawet w największym niebezpieczeństwie. Uśmiechnął się do mnie i lekko kiwnął głową, jakby i on myślał tak samo. Tyle tylko, że on zdawał się być czymś szczerze rozbawiony. Pewnie musiałem mieć bardzo zawadiacką minę.

— Od czego zaczynamy? — zapytałem.

— Najpierw mój pokój, potem Sylwia, a potem... skrzydła! — padła odpowiedź.

## Rozdział XXIV

### JAK KOTY W CIEMNOŚCIACH

Droga, którą Darrell wybrał, aby dojść do swojego pokoju, zaskoczyła mnie. Tylko jeden krótki odcinek szliśmy szerokim korytarzem wykutym w skale. Przebyliśmy go bez większych trudności, a dalej już Cleve prowadził stromymi bocznymi przejściami, wąziutkimi, krętymi. Cały czas musieliśmy albo wspinać się, albo schodzić na dół. Kiedy pokonywaliśmy to tajemne przejście, mój przyjaciel zgasił małą, lecz niezwykle jasno świecącą lampę, którą niósł. W chwilę później ujrzałem coś jakby gwiazdę iskrzącą się tuż przed nami, która w ułamek sekundy później zniknęła.

Stałem blisko Darrella, usłyszałem więc, jak szepnął:

— Niedobrze!

— Mogę posłać Zbója do wylotu przejścia, żeby wykończył tego kogoś.

— Nie, nie! — zabronił mi Darrell.

Staliśmy w bezruchu. Zbój ocierał się o moje kolana, jakby chciał mi przypomnieć, że jest tu i tylko czeka na mój znak. Wtedy coś zaszeleściło tuż obok nas. W tej samej chwili Darrell zapalił swoją lampę i zobaczyłem okropny widok. Jakiś człowiek skoczył na mojego towarzysza. W lewej ręce napastnika błysnął nóż, który próbował wbić w pierś Darrella. Na ciemnej twarzy nieznajomego malowała się piekielna trwoga, ale także wściekłość i okrucieństwo.

Jakim cudem skoczył tak szybko? Na pewno nie zrobił tego po ciemku, zaś chwila była zbyt krótka, aby mógł wystartować w momencie, kiedy rozbłysła lampa Darrella.

Nawet Zbój nie zdążył rzucić się na napastnika, a już ręka z nożem uderzyła dokładnie w serce Darrella. Długie ostrze rozpadło się na drobne kawałki, które z brzękiem poleciały na dół. Całe szczęście, że Cleve miał na sobie jeden z tych cudownych pancerzy. W innym przypadku zamiary wroga nie spełzłyby na niczym.

Przyłożyłem facetowi pięścią w szczękę aż poleciał na ścianę. Potem bezwładnie runął prosto w objęcia Darrella. Zbój w tym czasie stał obok cały naprężony, z oczami podbiegłymi krwią, wywalonym jęzorem, czekając tylko na moje pozwolenie, aby mógł się zabrać do roboty.

Kazałem psu zejść mi z drogi i dokładnie obejrzałem obcego. Wciąż był ogłuszony i nie otwierał oczu. Jego skóra wydawała się biała i delikatna jak skóra kobiety. Krótki wąsik zaczynał dopiero przyciemniać górną wargę, a na brodzie wyrastała słaba bródka. Rysy jego twarzy były regularne. Przystojny chłopiec, wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat.

Otworzył stalowoniebieskie oczy. Błękitny kolor, w którym igrały szare błyski, nadawał im pewien nieludzki wyraz dzikości.

Kołat w moją rękę wyglądał trochę jak kij baseballowy.

— Trzeba z nim skończyć, może nam tylko przeszkadzać w ucieczce — powiedziałem do Darrella.

On jednak pokręcił głową. Jego mocno zaciśnięte usta wyrażały przerażenie i obrzydzenie.

— Zostaw go — rozkazał.

Cofnąłem się nieco, a Zbój usiadł i przekrzywił głowę tak, aby jednym okiem kontrolować obcego, a drugim patrzeć na mnie w oczekiwaniu na komendę.

Zobaczyłem, że Darrell zabiera tamtemu stary, długi, ciężki pistolet z ogromnym skomplikowanym zamkiem oraz drugi, krótszy nóż, który tamten miał schowany na piersiach pod kaftanem.

Sznurem, który miał w kieszeni, Darrell kazał mi związać tamtemu ręce.

W chwilę później nasz jeniec prawie doszedł do siebie.

Twarz zaczynała mu puchnąć dokładnie w tym miejscu, gdzie trafiła go moja pięść.

Wstał. Stał spokojnie i prosto, nawet nie drgnął. Najpierw spojrział w oczy mnie, a potem Darrellowi.

— Dlaczego próbowałeś mnie zabić? — zapytał Darrell.

— Otrzymałem taki rozkaz.

— Kto wydał ten rozkaz?

— Nic więcej nie powiem — padła odpowiedź. — Jeśli mnie zamordujecie, rozszarpia was na kawałki. Będziecie umierać długo i powoli.

— I tak to mogą zrobić! — zwróciłem się do Darrella. — Są przeciwko tobie, dlatego posłali tu tego ogara, aby zatopił swoje kły w twoim sercu!

Darrell w dalszym ciągu rozmyślał nad losem swojego więźnia. Z jego twarzy mogłem wyczytać nienawiść, litość i zainteresowanie.

— Zamordować, co? — odezwał się. — Chcieli, żebyś poderżnął mi gardło, tak, Arturze?

— Obojętne czego chcieli — odpowiedział Artur. — Powiedziałem już, co miałem do powiedzenia.

Jego spokój wzbudzał we mnie wściekłość. Złapałem go za gardło i uderzyłem nim o ścianę. Do skroni przytknąłem lufę mojego rewolweru i warknąłem, przysuwając swoją twarz do jego:

— Albo będziesz gadał, albo jesteś trup. Mnie i tak jest wszystko jedno. Wolałbym nawet szybko z tobą skończyć, niż żebyś żył i gadał!

Chyba dobrze go oceniłem, albo raczej mój instynkt dobrze mi podpowiedział. Cała krew odpłynęła z jego poblądłej twarzy, a w błyszczących, wytrzeszczonych oczach pojawił się strach.

— On mnie zabije! — wysapał w kierunku Darrella.

— Tak, raczej porwywszy z niego człowiek, Arturze. Nic na to nie poradzę. Gdybym był na twoim miejscu, wolałbym zrobić wszystko, czego sobie życzy.

— Czego chcesz? — Artur zwrócił się do mnie.

— Żebyś odpowiedział na wszystkie nasze pytania.

— W takim razie i tak umrę, tylko trochę później — mruknął. — I to taką śmiercią, jakiej człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić. Co to za pytania?

— Kto cię posłał? — spytał Darrell jeszcze raz.

— Wilbur, syn Johna.

— On sam?

— Tak, on sam. Rozmawiał ze mną o tobie. Obdarzył mnie zaufaniem. — Wydawało się, że słowa te przywróciły mu nieco utraconej dumy.

Darrell pokiwał głową:

— Kazał mnie zamordować?

— Tak. Jeślibyście opuścili swoją komnatę.

— Wystarczyło, żebym opuścił mój pokój.

— Taki był rozkaz.

— Bez żadnego wcześniejszego ostrzeżenia?

— Żadnego ostrzeżenia.

Darrell westchnął, po czym zwrócił się do mnie:

— Teraz widzisz, co to za gniazdo węży?

Zazgrzytałem zębami.

— Jaką nagrodę miałeś za to otrzymać, Arturze? Musiała to być wysoka nagroda.

— Wszystko co posiadasz i jeszcze więcej.



— Niezbyt wysoka cena — stwierdził Darrell. — Ale ty nigdy mnie zbytnio nie lubieś. Powiedz mi, Arturze, dlaczego Wilbur, syn Johna, rozzłościł się aż tak bardzo, że chciał, aby mnie zabito? Przecież jeszcze kilka dni temu interesował się moimi doświadczeniami.

— Mówi, że nigdy nie skończysz tych badań — odpowiedział Artur. — Mówi, że jesteście takimi głupcami, że wolelibyście raczej umrzeć, niż pozwolić, aby oni, a wraz z nimi wy, stali się zdobywcami świata.

— Chciał więc mnie zamordować od chwili, kiedy doszedł do takiego wniosku?

— Tak, chciał was zabić.

— A dziś wieczorem?

— Miał złe sny. Coś trapiło jego umysł. Pomyślał o was i powiedział do siebie: „Tam jest ten człowiek”.

— Kiedy chłopiec powtarzał te słowa, w jego głosie dało się wyczuć jakiś cieplejszy ton.

— Nasze sprawy wyglądają bardzo kiepsko — powiedziałem Darrellowi. — Trzeba zakneblować tego bachora i pozbyć się go.

— Mogę się od niego dowiedzieć jeszcze kilku rzeczy — powstrzymał mnie. — Jest synem wielkiego Wilbura, a Wilbur jest tu królem, to najsprytniejszy z nich wszystkich i ma największe wpływy. Arturze, z jakiego powodu Wilbur chce, żeby Sylwia zginęła? — padło kolejne pytanie.

— Z tych samych powodów, jakie mielibyście wy lub ja.

— Nie bardzo wiem, jakie to mogłyby być powody.

— Jak to? — zdziwił się Artur. — Przecież on chce wiedzieć, na ile wystarczy jej odwagi, kiedy osiągną ją płomienie. Ogień na ołtarzu będzie się palił słaby, najpierw tak, żeby spalić jej nogi. Ojciec twierdzi, że zanim dobrze jej się łydki upieką, albo nawet ugotują na brązowo, na pewno będzie krzyczała.

Wykrzywiłem się z obrzydzeniem, ale ku mojemu zdziwieniu usłyszałem śmiech. Był to śmiech Artura.

— Mimo wszelkich jej cnót, pobożności i wiary w boginię usłyszymy jak krzyczy i błaga o słodką, prędką śmierć! — Zaśmiał się jeszcze raz.

Musiałem się mocno powstrzymać, bo moja pięść aż paliła się, aby ponownie zmiażdżyć jego okrutną gębę. Darrell jednak zamyślony obserwował go w milczeniu.

— To już wszystko, Arturze — powiedział. — Jeżeli cię teraz wypuszczę i pozwolę odejść, czy mogę zaufać twemu słowu honoru, że nikomu nie powtórzysz tego, co tu dziś wieczorem słyszałeś lub widziałeś, a co dotyczyło mnie?

Niesamowity jakiś ogień rozświetlił oczy Artura, ale zaraz spuścił wzrok i powiedział:

— Możecie wierzyć mi, że będę milczał jak kamień. Do końca życia, a co więcej, będę waszym przyjacielem!

— Myślałem, że Darrell już prawie da się zwieść tym obietnicom, ale nagle pokręcił głową:

— Nienawidzisz mnie, Arturze — powiedział. — Tak strasznie mnie nienawidzisz, że nawet nie potrafisz mnie porządnie oszukać. — Ruchem głowy pokazał mu, że ma iść naprzód. — Pokazałeś nam już, że potrafisz skakać jak kot w ciemności. Dlatego będziemy na ciebie bardzo uważać. Idź do przodu po cichu, bez żadnych gwałtownych ruchów, a wtedy może i uda ci się przeżyć tę noc!

W chwilę później dotarliśmy do pokoju Darrella. Podobny był do mojego pokoju, tyle że ten miał dwie lub trzy wnęki ukryte za zasłonami. Do jednej z nich wsadziliśmy Artura, syna Wilbura, po czym mocno skrępowaliśmy mu nogi, a w usta wsadziliśmy ciasny knebel.

— Czy jesteśmy tu bezpieczni? — szeptem spytałem Darrella. — Nie osiągną nas tu szpiedzy?

— Myślę, że nie — powiedział bez pośpiechu.

— Nie wiesz na pewno? — aż podskoczyłem.

— Tak do końca, to nie jestem pewien. Wydaje mi się jednak, że znalazłem sposób na unieszkodliwienie ich przyrządów. Czasem te elektryczne oczy i uszy przestają działać, kiedy się zrobi spięcie, przepalają się połączenia i tak dalej.

Uśmiechnął się do mnie słabo, lecz nie byłem w nastroju do śmiechu.

— Wydaje mi się, Cleve, że jeżeli mamy cokolwiek robić, to musimy to robić szybko — powiedziałem.

— Obaj pragniemy tego samego. Na samą myśl o wydostaniu się stąd, ze szczęścia aż kręci mi się w głowie. Przez te lata uczyłem się wiązać węzły, studiowałem nawigację statków lotniczych i szukałem, o ile to możliwe, towarzysza, śmiałka, który odważyłby się podjąć ryzyko i uciekać razem ze mną. Ale teraz, kiedy wszystko inne jest już gotowe, pozostała jedna ogromna przeszkoda.

— Co to takiego — spytałem.

— Kapłanka. Nie zapomniałeś o niej jeszcze, Dymku?

— Zapomnieć o niej? — Zadrżałem, kiedy przypomniały mi się słowa chłopca, że można tak kontrolować ogień, aby płomienie powoli trawiły jej ciało, kawałek po kawałku.

— W jaki sposób mamy ją wydostać z jej własnego więzienia? — zapytał Darrell.

— Jeżeli jest pod strażą, może udałoby się nam pokonać strażników... — zaproponowałem.

— Wtedy wywiązałaby się walka, a walka zawsze wywołuje hałas, który niesie się daleko w skalnych korytarzach. Poza tym oni mają system mechanicznych uszu wyłapujących dźwięki, przenoszących je oraz identyfikujących miejsca, skąd odgłosy te się wywodzą. W jednej chwili mielibyśmy na karku setkę ludzi.

Próbowałem coś wykombinować, ale tylko bezskutecznie wysilałem swoją głowę. Darrell w tym czasie spacerował w tę i z powrotem, przechylając głowę z boku na bok. W końcu odezwał się:

— Mógłbym spróbować nabrać ich na moją tu kiedyś wysoką pozycję.

— W jaki sposób?

— Wiem, gdzie ją trzymają — odpowiedział. — No, a tak w ogóle, to przecież należę do tutejszego wąskiego kręgu sprawującego władzę, przynajmniej w oczach zwykłych żołnierzy. Nie wiedzą oni, że jestem jedynie zabawką w rękach ich prawdziwych przywódców. Uważają mnie za jednego z garstki wybranych. Kiedy się zjawię i powiem im, no, powiem im na przykład, że muszę dziewczynę przesłuchać w moim pokoju, że chcą z nią rozmawiać sami najważniejsi, tak, jeśli powołam się na autorytet ojca tego tam, Artura, bardzo prawdopodobne, że mógłbym ją tu przyprowadzić. Z tego pokoju, no, później, gdy tylko droga będzie wolna, możemy ruszyć dalej. Żaden lepszy sposób nie przychodzi mi do głowy.

— To wszystko jest szyte grubymi nićmi — pokiwałem głową.

— Sam o tym wiem — zgodził się ze mną. — Ale nawet kiepski pomysł jest lepszy niż żaden. Nie mam pojęcia, jak inaczej moglibyśmy przekręcić klucz w jej drzwiach i przeprowadzić ją obok strażników. Kiedy już tu będzie, chętnie zostawią ją z nami na godzinę, byleby tylko pozwolił im odejść.

— Może by się to i udało — przyznałem. — Będziesz musiał zachować kamienną twarz. Ale zaraz, zaraz, Cleve, przecież ty całe ryzyko i całą odpowiedzialność bierzesz na siebie.

— Później przyjdzie i na ciebie kolej. Kiedy ja wyjdę, twoje życie będzie wisiało na znacznie cieńszym włosku niż moje. Tak że trzymaj się mocno.

— Dobrze więc, idź. Bóg jeden wie, jak bardzo będę się za ciebie modlił, póki nie wrócisz.

Natychmiast ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się na moment i wyciągnął rękę w moim kierunku. Uścisnąłem ją mocno i z ulgą stwierdziłem, że nie jest ani spocona, ani zimna

ze strachu. Chyba tylko jeden Darrell na świecie mógł mieć takie mocne nerwy.

Zaraz potem zamknął za sobą drzwi i zostałem sam. I wtedy dopiero, chyba nie macie żadnych wątpliwości, zaczęły się prawdziwe kłopoty.

Oczami wyobraźni ujrzałem wszystkie możliwe niebezpieczeństwa, jakie mogły za tymi drzwiami czyhać na mojego przyjaciela. Prawie jakbym z nim szedł przez te długie, ciemne korytarze, w których dudniły jedynie nasze kroki. Widziałem go, jak staje twarzą w twarz ze strażnikami. Słyszałem nawet, jak się z niego śmieją!

Chodziłem po pokoju w tę i z powrotem zniecierpliwiony, aż w końcu przypomniałem sobie o związanym chłopcu we wnęce i sprawiło mi to ulgę. W pewnym sensie miałem towarzystwo.

Podszedłem, rozsunąłem kotarę i spojrzałem w dół, na twarz mojego więźnia.

Leżał równo na plecach. Kiedy mnie ujrzał, w jego oczach zauważyłem jakiś błysk, coś na kształt ni to pogardy, ni to triumfu. W końcu znalazłem w sobie dość odwagi, ażeby mu odkneblować usta.

Wciągnął kilka głębokich wdechów, a potem uśmiechnął się do mnie z politowaniem, jakby to on miał nade mną przewagę.

— Ciesz się ostatnimi chwilami życia twego, albowiem niewiele ich ci już pozostało — odezwał się.

— Kłamiesz, Arturze, a przecież już powiedziano ci raz, że dziś nie wychodzi ci to zbyt dobrze.

Słyszając moje słowa, wybuchnął przeraźliwym śmiechem, przymrużył oczy, a całym jego ciałem potrzęsały drgawki. Z ogromnym trudem musiałem opierać się pokusie, by chwycić go za gardło i udusić, ale zdołałem się opanować. W sumie przecież nawet taka rozmowa była lepsza, niż przemierzanie pokoju wzdłuż i wszerz w milczeniu, sam na sam z wyobraźnią.

— Czy wiecie, dlaczego się śmieję? — spytał.

— Być może dlatego, że jesteś wariatem.

— W czyim imieniu ma on zażądać od strażników wydania kapłanki?

— W imieniu twego czcigodnego ojca, przyjacielu — odpowiedziałem.

Znowu wybuchnął śmiechem. Kiedy już się opanował, powiedział:

— Przez cały czas, nawet w tej chwili, mój ojciec jest tam i przysłuchuje ją, próbując złamać jej wiarę.

Znowu zaczął się śmiać, a na mnie spłynęła zimna fala rozpacz.

Ani na jotę bowiem nie wątpiłem, że mówi prawdę. Jego złośliwość nie miała granic. W dalszym ciągu ciskał też w moim kierunku przeszywające spojrzenia pełne wściekłości i pogardy. Wszystko stało się jasne. Po tym, jak osiągnęliśmy już tak wiele, miałem stracić Darrella za sprawą czystego przypadku. W jednej chwili straciłem wszelkie nadzieje.

## Rozdział XXV

### UNIKI

Teraz nadszedł czas, abym opowiedział, co działo się z Darrellem, kiedy zamknęły się za nim drzwi komnaty. Schodząc wąskimi, krętymi korytarzami szybko dotarł do drzwi, za którymi więziono Sylwię.

Na zewnątrz trzech lub czterech żołnierzy siedziało na ławach i trzymało straż. Następnym trzech lub czterech owiniętych w peleryny leżało na podłodze pogrążonych we śnie. Dowodzący oddziałem sierżant wyszedł naprzeciw Darrella, ten zaś nie zląkł się wcale i szedł

wprost przed siebie.

Rozpoznano go. Sierżant wyjął swój długi prosty miecz i zasalutował, po czym zapytał, czego sobie życzy jego pan, Darrell zaś odpowiedział:

— Przybyłem tu w imieniu Wilbura, syna Johna, który żąda doprowadzenia kapłanki do mej komnaty. Niech ją natychmiast wyprowadzą.

— Czyliż przychodzicie, panie, w imieniu Wilbura, syna Johna? — zapytał dowódca zupełnie ogłupiały.

— Tak.

— Zaiste, cud to niebywały, nawet w tej górze cudów. Na własne oczy bowiem widziałem, jak Wilbur, syn Johna, wchodził do komnaty kapłanki zaledwie dziesięć minut temu, a teraz wysyła cię po nią w swoim imieniu?

Serce w Darrellu zamarło.

— Czyżby rozpułynał się i przeniknął przez ścianę z litej skały? — wymamrotał sierżant. Mimo wszystko podszedł do drzwi, uderzył w nie swą ciężką dłoń, a następnie pociągnął za klamkę i otworzył je na oścież. W środku Darrell ujrzał wysoką sylwetkę i siwą brodę Wilbura, siedzącego na niewysokim stole naprzeciw kapłanki i zażarcie z nią dyskutującego. Właśnie próbował jej coś udowodnić, na co wskazywała jego wyciągnięta ręka.

Sierżant zasalutował i zwrócił się do niego:

— Wysyłacie, panie, po kapłankę, a przecież sami tu z nią jesteście.

Darrell był zbyt ogłupiały, żeby się odezwać, jak mi później sam powiedział. W tamtej chwili chciał tylko wziąć nogi za pas i uciekać jak dziecko, ale żołnierze na pewno biegali szybciej. Zaczęli się tłoczyć wokół niego, ciekawi cudu.

Darrell usłyszał tylko słowa Wilbura skierowane do dziewczyny:

— ... twoje wierzenie, które nie jest wierzeniem i twoja wiara, która nie jest wiarą...

Siwobrody przerwał jednak i szybko wyszedł na korytarz. Ubrany był w długą, powłóczystą szatę, a jego długie, rzadkie włosy niczym obłok otulały posępną twarz, opadając na przygarbione ramiona. Na nogach miał luźne pantofle ze spiczastymi noskami. W sumie sprawiał wrażenie ociężałego i niechlujnego.

Stanowczym krokiem ruszył wprost do Darrella i wrzasnął tak okropnie, że odbite echo zabrzmiało niczym grzmot. Długie miesiące podejrzeń, skrytej nieufności, zawiści i serdecznej nienawiści znalazły nareszcie wyraz w jego słowach:

— Cóż to za głupiec przybywa w moim imieniu, kiedy ja sam już tu jestem? Albo jakimże jesteś złym duchem? I jakie są twe zamiary?

Rozwścieczony starzec był wystarczająco strasznym widokiem dla oczu, ale Darrell nie mógł się pozbyć innego koszmaru: Artur, syn starca leżał tam w pokoju, we wnęce, skrzepowany jak prosiak na targ. Nie mógł przestać myśleć, że z pewnością za to wszystko czeka nas nielekka śmierć!

Już widział oczami wyobraźni, jak pełzają po nas płomienie, czuł je na własnym ciele, niczym stal przeszywającą nerwy, ciało i sięgającą kości.

Jednocześnie nie mógł przestać myśleć o uwięzionym młodzieńcu. Podszedł bliżej do starego Wilbura, syna Johna i powiedział:

— Mój stary i mądry przyjacielu, pozwól ze mną na słówko. Chcę pomówić o czymś, co dotyczy ciebie.

— Dotyczy mnie? — Starzec nadal był rozżłoszczony. — Nikczemny człowieku, teraz, kiedy cię już poznałem, nic więcej mnie nie obchodzi!

— Dotyczy to również twego sprytnego syna — wycodził Darrell.

Jego słowa i spojrzenie, które im towarzyszyło, zaniepokoiły starca, nagle zniknęły jego wyniosłość i pewność siebie.

Gestem ręki nakazał strażnikom, aby się oddalili. Złapał Darrella za ramię i odciągnął kilka kroków na bok.

— Co macie na myśli, kiedy uśmiechacie się, wymawiając imię mego syna? — spytał.

Serce Darrella zaczęło bić znów spokojnie, poczuł ulgę i zadowolenie, oto bowiem zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku zwycięską kartę:

— Myślę, myślę o tym, jak ten chytry szczur został złapany na szpiegowaniu oraz usiłowaniu morderstwa, i o tym, że leży teraz związany i zakneblowany w moim pokoju.

Stary Wilbur musiał się oprzeć o najbliższą ścianę, bo inaczej upadłby na pewno.

Kątem oka spoglądał na Darrella, mamrocząc:

— Nigdy nie powinienem był ci ufać, psie! Nigdy, od samego początku! Już dawno temu powinieś był zginać w płomieniach! Gdyby tylko zdano się na mój sąd!

Darrell przyszedł już do siebie po szoku i mógł sobie pozwolić na posłanie starcowi uśmiechu pełnego wyższości i pogardy:

— No i co teraz powiesz? Czy nie przybyłem tu w twoim imieniu, aby zabrać kapłankę?

— Jesteście tylko lekkomyślnym głupcem — rzekł stary Wilbur. — Co stanie się z wami po tym wszystkim... — przerwał i zazgrzytał zębami z wściekłości i w poczuciu bezsilności. Po chwili jednak wycedził: — Co zyskujesz, zabierając ją stąd ze sobą?

— Nie tylko stąd, ale z całej tej przeklętej Krainy Dymów — odpowiedział Darrell.

Wściekły ryk, który odbił się echem po korytarzach, pochodził z gardła Wilbura:

— Wy głupcy, półgłówki, baranie łby! Dostaliście rozkazy i co tak stoicie? Wyprowadzić dziewczynę, jest równie głupia. Niech idzie pod strażą przed nami! — wrzasnął na żołnierzy.

Wyprowadzili jednak kapłankę z należącej jej czcią, a ona ujrzała przed sobą człowieka, który potwierdził wydany na nią wyrok śmierci — Cleve'a Darrella!

Nie mogła wiedzieć, że tym razem przychodził do niej w imię przyjaźni. Z pewnością myślała, że teraz dzieli ją zaledwie krok od śmierci, ale tylko uniosła głowę jeszcze wyżej, słaby uśmiech pojawił się na jej wargach, a uduchowiona twarz nabrała żywszych kolorów, co widząc Darrell pomyślał w duchu: Co za piękna i głupia męczennica!

Żołnierze chcieli eskortować obu dostojników i kapłankę, ale Darrell zawołał:

— Pójdziemy sami!

Eskorta stanęła. Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza, ale nie padł żaden inny rozkaz, choć przez chwilę Wilbur zmagał się z samym sobą.

Cała trójka ruszyła przed siebie i ani jedno słowo nie padło, aż dotarli do drzwi pokoju Darrella. Ten ruchem ręki nakazał Wilburowi wejść do środka. Starzec się zawahał.

— Co jest za tymi drzwiami? — spytał.

— Twój syn.

— Zamordowaliście go! — Po raz kolejny zaryczał Wilbur.

— Nie, wciąż jest przy życiu. Otwórz drzwi, a odnajdziesz go tam.

Odpowiedź starca była zwięzła:

— W takim razie możemy się jakoś ułożyć?

— Będziemy się układać — zgodził się Darrell, po czym zmarszczył brwi, aby nie wybuchnął śmiechem z radości. Teraz widział już szanse wybrnięcia z tej trudnej sytuacji.

W każdym razie, ja, siedząc tam w środku i rozmawiając z tym podlecem Arturem najpierw zobaczyłem wysoką sylwetkę rozwścieczonego Wilbura, syna Johna, który wkroczył do pokoju niczym przeznaczenie.

Serce podskoczyło mi do gardła, ale zaraz potem pojawił się Darrell i, o dziwo, nie było przy nim żadnej straży, a w końcu ujrzałem Sylwię! W trzech skokach znalazłem się przy niej i ująłem jej dłonie, gdy tymczasem Darrell zamykał za sobą drzwi.

— Więc to prawda, Sylwio! Jesteś tu ze mną! — krzyknąłem.

— Cóż wy mówicie? — wyszeptła dziewczyna, cały czas z powagą patrząc mi w oczy.  
— Czy to prawda, czy też tylko tak, z dobrego serca?

Nie mogłem jednak jeszcze cieszyć się moim szczęściem, bowiem działy się inne rze-

czy, które wymagały mojej uwagi.

Stary Wilbur wpadł w straszny szal na widok leżącego na podłodze chłopca. W jednej chwili wyciągnął nóż, aby przeciąć więzy, ale Darrell chwycił go za rękę i powstrzymał, a nie był to z pewnością zbyt pieszczotliwy gest. Wilbur wyprostował się gwałtownie i posłał najpierw Darrellowi, a potem mnie wściekle spojrzenia.

— Cóż to za spisek? — spytał.

— Sam możesz zobaczyć, co to za spisek, Wilburze — odpowiedział Darrell. — Oto para ludzi, których chciałeś zabić, chciałeś rozkoszować się ich konaniem, ale to ci się nie uda. Oboje będą wolni.

— Czy wiesz, żalosny głupcze, że to, o czym mówisz, stać się nie może tak długo, jak długo w Krainie Dymów żyją ludzie? — Starzec jeszcze bardziej wyprostował się, tak że mówił do Darrella patrząc nań z góry.

— A czy ty wiesz, że za chwilę sam będziesz tu leżał na podłodze związany jak prosię i zakneblowany, tak samo jak twój wspaniały synek, podczas gdy cała nasza trójka swobodnie opuści tę górę i na skrzydłach jednego z waszych statków powietrznych odleci do domu? — odrzekł Darrell, naśladowując sposób mówienia starego. — Dymek, weź tego starego szczura na muszkę!

Słyszając to polecenie, poczułem się znacznie pewniej. Taka kolej rzeczy była dla mnie oczywista i prosta, więc wycelowałem mój pistolet w Wilbura, który wycharczał:

— To wszystko było kłamstwo, wszystko kłamstwo! Kiedy mówiłeś o swoim poświęceniu dla nauki, którą my tu czcimy. Przez cały czas pragnałeś powrotu do swoich!

Darrell przytaknął:

— Owszem! Każdego dnia do nich tęskniłem. Co przyzwoity człowiek mógłby mieć wspólnego z tobą i twoją bandą rzezimieszków? Nic, chyba że przypadkowo otworzyłby tę puszkę Pandory. Ale przecież już wcześniej wiedziałeś, czy domyślałeś się, co czuję naprawdę. Posłałeś ten swój psi pomiot, aby mnie dopadł i gdyby nie przypadek, to wbiłby on swój nóż w moje gardło!

— Niestety, nie udało mu się! — zawył Wilbur, syn Johna.

— Chodź tu bliżej, Dymek. — Darrell zwrócił się do mnie. — Teraz dobrze. Przyłóż mu lufę do piersi i jeśli choć drgnie, nafaszeruj go kilkoma kulkami. Nie wiem sam, dlaczego od razu nie każę cię zabić. Jest to jedna ze słabości, które przypisujesz naszej rasie. Mówicie też, że cała ludzkość skorzystałaby, gdyby tak słabe istoty zetrzeć z powierzchni ziemi. Tak się jednak nie stanie, Wilburze, synu Johna. Nie będziemy też niewolnikami władców Krainy Dymów. Pozwól więc, że pozostawimy was tu w ciszy i spokoju.

Mówiąc to obwiązał ręce starego Wilbura, a kiedy ten chciał się odezwać, wetknął mu między zęby zwiniętą chusteczkę do nosa, tak że stary nie był w stanie wydawać żadnych innych dźwięków poza niezrozumiałym gulgotaniem.

— Cóż zamierzacie zrobić? — spytała Sylwia, spoglądając na mnie z powagą.

— Zabieramy cię, Sylwio, na południe, do naszego kraju, daleko od tych wiecznych mrozów, dymiącej góry, morderstw i ognia, który sieje zamęt — odpowiedziałem. — Czy pojedziesz z nami?

— Och, jakżeż mogłabym, skoro bogini jeszcze nie przemówiła?

Taką wielką przyjemność sprawiało mi słuchanie jej łagodnego głosu, chociaż prawie nie docierały do mnie słowa. Zrozumiałem je dopiero wtedy, kiedy Darrell odpowiedział:

— Widzisz, Sylwio, nie dalibyśmy rady przyjść tu, nawet nie śmielibyśmy pomyśleć o zabieraniu ciebie stąd, gdyby bogini nas do tego nie natchnęła. Kimże jesteśmy, aby dokonywać takich czynów i przechytrzyć mędrców? To ona musiała nam użyczyć swej siły!

Nagle jakby słońce wyszło zza chmur. Tak zmieniła się twarz dziewczyny.

— Czy mówicie prawdę? — spytała.

— Tak, mówimy prawdę. A jak inaczej mogłabyś to sobie wyobrazić? — odpowiedział

Darrell.

— Mój umysł jest oszołomiony i niejasny, choć przecież jest we mnie coś, jakby głos jakiś, który mi mówi, że jeszcze wszystko może być dobrze!

A ja już wtedy, tam, wiedziałem, że wszelkie jej wątpliwości zostały rozwiane. Nie zwlekaliśmy już ani chwili.

Darrell zabrał pokaźną ilość ubrań i derek. Ja wziąłem strzelbę i wyruszyliśmy. Najpierw szliśmy długimi korytarzami, w tajemniczym półmroku, między wypolerowanymi ścianami, aż dotarliśmy do pierwszego zakrętu. Wtedy daleko z tyłu usłyszeliśmy krzyki i łomot. Obejrzelśmy się za siebie.

W półmroku, który wypełniał odległy korytarz, zobaczyliśmy uzbrojonych ludzi, dobijających się do drzwi pokoju Darrella pięściami i rękojeściami mieczy.

Ile czasu upłynie, zanim dostaną się do środka?

## Rozdział XXVI

### **PRZENIGDY NAM NIE UMKNIECIE**

Nawet Sylwia bezbłędnie oceniła naszą sytuację, choć od urodzenia trzymana była z dala od normalnego życia, żeby nie wspomnieć o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Zaczęła biec, co mnie zaskoczyło. Dźwigając strzelbę, ciężki pas z amunicją i inne rzeczy, z trudem za nią nadążałem. Mknęła jak łania, a Darrell tuż za nią.

Zastanawiałem się, czy Darrell wychodząc zamknął drzwi na klucz i czy były one na tyle mocne, aby wytrzymać takie walenie. Co więcej, po chwili dobijania się strażnicy upewnia się, że w środku nie ma nikogo, a wtedy, czy odejdą w spokoju?

Strach jest bardziej wyczerpujący niż wysiłek fizyczny. Kiedy dobiegliśmy do oświetlonego końca korytarza, byłem zupełnie wyczerpany i cały się trząsałem. Stała tam straż złożona z kilku żołnierzy. Już chciałem zawrócić, ale Darrell dał mi znak, żebyśmy szedł przed siebie.

On wysunął się naprzód. Ruszyliśmy wprost w kierunku żołnierzy, a dziewczyna naciągnęła kaptur peleryny, zasłaniając całą twarz. Przyniosła się do mnie i położyła rękę na moim ramieniu. Czułem drżenie jej dłoni, słyszałem też jej głęboki, niespokojny oddech, ale i tak wydaje mi się, że była bardziej opanowana ode mnie!

Gdy dotarliśmy do żołnierzy, drogę zagroziło nam dwóch halabardników.

— Dokąd się udajecie? — spytał ich dowódca.

Zbój usiadł przed nami, wywalając swój długi, czerwony jęzor. Cieszyłem się, że jest z nami. Jego obecność nadawała całej naszej wyprawie pewien pozór beztrouski. Dzięki niemu sprawialiśmy wrażenie normalnych zwiedzających.

— Idziemy do aeroplanów — odpowiedział Darrell.

— Tak? A za czym pozwoleniem?

— Z mojego rozkazu — odpowiedział Darrell, a ja po raz kolejny musiałem wstrzymać oddech. — A także za pozwoleniem największego z mędrców — dodał. — Czy znasz ten pierścień?

Wyciągnął rękę z pierścieniem.

Jak dobrze, że Darrell był taki mądry i zabrał Wilburowi, synowi Johna, jego pierścień!

Jeden z żołnierzy podszedł do mnie i zajrzał mi w twarz, a potem obejrzał dziewczynę.

— Chodźcie, tu jest jedna ubrana jak kapłanka — zawołał. — Zobaczcie, ona przecież ma na sobie szaty kapłanki!

— Tak, ale wszyscy dobrze wiemy, że kapłanka Sylwia jest teraz pozbawiona wolności

— odpowiedział drugi.

Oficer straży wziął pierścień do ręki i oglądał go na wszystkie strony, ale na szczęście w końcu pokiwał głową.

— Tak, rozpoznaję ten pierścień, ale czy nie dostałeś żadnego pisma?

— Gdyby miał czas napisać dla mnie pismo, czy powierzyłby mi swój własny pierścień? — spytał zniecierpliwiony Darrell. — Daj spokój, przyjacielu! Gdzie się podział twój rozum?

Myślałem, że za chwilę Darrell rzuci się na żołnierza, ale ten spojrzawszy na Darrella jeszcze raz, kiwnął wreszcie głową i odsunął się na bok.

— Otworzyć drzwi — rozkazał.

W jednej chwili to, co zdawało się być jednolitą skałą w końcu tunelu, zaczęło się rozsuwać z głośnym grzmotem trących się o siebie kamieni. Przechodziliśmy właśnie na drugą stronę, kiedy oficer zawołał:

— Zatrzymać się!

Stanęliśmy. W jednej chwili krew skrzepła mi w żyłach.

— Wy z sygnetem możecie przejść, ale cóż uczynić mam teraz z pozostałą dwójką? Nie znam ich imion, ani nie wiem, dokąd udają się z tobą. No, i skąd tu kobieta?

— Moje oczy też widzą, to prawda — odpowiedział Darrell. — Mam również rozum. Jak myślisz, przyprowadziłem ich tu przypadkiem, czy specjalnie?

Tamten zawarczał jak rozszluszczony pies, mamrocząc coś pod nosem, gdy my tymczasem ruszyliśmy naprzód, aż dowódca straży ryknął:

— Zaprowadzić ich na pasy startowe!

Dwóch nie uzbrojonych ludzi, ubranych jak robotnicy, udało się z nami.

— Czego sobie życycie? — zapytał jeden z nich.

— Chcemy wziąć aeroplan, który jest najlepiej przygotowany do lotu — powiedział Darrell.

Słyszając te słowa obaj mężczyźni zatrzymali się.

— Tak jest, ale nie mamy rozkazu, aby wydać ci statek — rzekł jeden.

— Popatrzcie — Darrell jeszcze raz wyciągnął rękę. — Czy jest jakikolwiek wyższy rozkaz od tego pierścienia?

Starszy z mężczyzn skłonił głowę nad pierścieniem.

Wyglądał trochę niczym Chińczyk, z szeroką twarzą, wystającymi kośćmi policzkowymi. Miał także opadające wąsy, po sześć kosmyków z każdej strony.

— Dobrze, ale nie podoba mi się to! — powiedział.

— Kapitanowi też się to nie podobało, wszakże widziałeś, jak wykonał rozkaz — przypomniał mu Darrell.

Tamten pokiwał głową i mruknął coś pod nosem:

— Tak, zbyt to poważna sprawa, aby ryzykować, ale też i pierścień Wilbura, syna Johna, ma swoją wagę. Dlatego też chodźmy...

Znowu odetchnąłem z ulgą i udaliśmy się za tymi dwoma. Przeszliśmy przez dwoje drzwi, aż weszliśmy do komnaty, która wyglądała jak pudełko na cygara. Wewnątrz było coś przypominającego torpedę, długie na dwadzieścia metrów z wypustkami u góry i u dołu niczym płetwy. Tylną część miało to spłaszczoną na kształt ogona. Całe urządzenie sprawiało wrażenie gotowego do ślizgania, zarówno po wodzie jak i w powietrzu!

Darrell zbliżył się doń bez żadnego widocznego podniecenia.

— Otwórzcie drzwi wyjściowe — rozkazał, a sam, przekręcając okrągłą klamkę z boku srebrnego statku, otworzył drzwi. Wspięliśmy się z Sylwią do niewielkiej kabiny mającej dookoła okna. Patrząc wprost przed siebie widziałem tylko płetwę statku zaokrągloną ku dalszemu końcowi i podobną nieco do płetwy wieloryba ludojada.

Jaka smukła i zgrabna wydawała się zewnętrzna linia górnej powierzchni. Jak połyski-



wała perłową szarością w łagodnym świetle wypełniającym komnatę.

Darrell, który wspiał się za nami do środka, posłał mi niesamowite spojrzenie — nigdy nie widziałem bardziej promiennego wyrazu radości ani większej chęci działania. Usiadł w przednim z dwóch szerokich foteli. Zaczął poruszać dźwigniami, jednymi do dołu, innymi do góry, aż cały statek zadrgał od wstrząsu.

W tej samej chwili, kiedy już wydawało się, że statek ożył i był zdolny do ruchu, zobaczyłem jak bariera wyrastająca przed nami usuwa się na boki. Wyjrzawszy na zewnątrz zobaczyłem jakąś ścianę szarej mgły. Wiedziałem jednak, że jest to świat zewnętrzny, który ujrzałem po raz pierwszy od czasu, gdy wszedłem w czeluście dymiącej góry.

— Gotowe — powiedział Darrell zaciskając zęby.

Teraz wstrząsy targające statkiem pod nami wzmogły się, usłyszałem też nasilający się hałas, jakiś pulsujący dźwięk, niczym strumień pod skrzydłami. Hałas stał się jeszcze większy.

Ruszaliśmy powoli. Ściany boczne uciekały do tyłu, a dziób statku zbliżał się do wyjścia. Wtedy usłyszałem głośne strzały i zobaczyłem z boku statku jakąś sylwetkę odrywającą się od drzwi ze wzniesionymi do góry ramionami.

Zobaczyłem najpierw jego, a później ciemność jak w nocy. Był to bowiem kapitan ostatniej straży, który wrzeszczał:

— Zamknąć bramę wyjściową! Zamknąć, nawet jeśli jej szczęki zmiażdżą ten przeklęty statek: Zdrada! Zdrada!

Z prawej strony bramy, tej granicy, która oddzielała nas od wolności i stała na drodze ucieczki, zobaczyłem jednego z robotników. Chwycił jakąś dźwignię i z obu stron otworu wysunęły się ściany, powoli zamykała się nasza droga ku wolności.

Wtedy po raz pierwszy w życiu zastrzeliłem człowieka. Po raz pierwszy w życiu. I to z pełnym spokojem, bez żadnych wyrzutów sumienia, zupełnie jakbym polował na królika.

Wcale nie miałem wrażenia, że to był naprawdę człowiek. Stał tam i pociągał za dźwignię, a mnie raczej wydawało się, że to jakaś piekielna machina rusza, aby nas przygwoździć i dostarczyć potem na miejsce kaźni.

W każdym razie otwarłem drzwi kabiny, wychyliłem się i posłałem kulę kaliber 45 prosto w serce tamtego biedaka. Siła uderzenia rzuciła nim o ścianę.

Drugi mechanik, zamiast chwycić za dźwignię, odwrócił się i uciekł w obawie o własne życie. Nie winię go za to, bo odgadł pewnie, że i tym razem nie miałem ochoty chybić.

Miałem teraz jednak inny kłopot na głowie. Przez ułamek sekundy zobaczyłem światło odbite w długim ostrzu miecza trzymanego przez jakąś silną dłoń. Był to kapitan straży. Usłyszałem jego okrzyk:

— Śmierć zdrajcom!

Po czym ostrze jego broni trafiło prosto w moją pierś.

Uderzył mnie z taką mocą, że z łatwością wpełchnął mnie na powrót do kabiny, ale poza tym nie odniosłem żadnej rany. Zupełnie żadnej, bo ostrze ciężkiego rapiera po prostu ześlizgnęło się po pancerzu, który miałem na sobie, a kawałki połyskującej stali rozprysły się dokoła.

Poczułem się bardzo dziwnie, jakby ktoś dał mi posmakować nieśmiertelności. Myślę, że wiem już, jak czuli się Cortez i jego żołnierze, kiedy odważni Aztecy uderzali na nich całymimi kupami, a szklane ostrza indiańskich toporków rozpryskiwały się w starciu z porządną hiszpańską stalą hełmów i napierśników.

Teraz już cała drgająca masa statku nabierała prędkości. Świszczący, przejmujący hałas pod nami stawał się coraz głośniejszy, a ściany zewnętrzne po obu bokach jeszcze szybciej umykały do tyłu. W końcu, jak czołgające się zwierzę, które nagle podrywa się do biegu, wyrwaliśmy się z korytarza wprost w nieskończoną szarość nieba!

Tak mi się przynajmniej wydawało, kiedy spoglądałem przez okno kabiny. Później

jednak zobaczyłem, że wcale to nie jest niebo.

Lecieliśmy na wysokości szczytów sinych wzgórz, które wyrosły nagle przed nami, a czasem nawet się zniżaliśmy.

Popatrzyłem w kierunku Darrella, który mocował się z jakimś drażkiem. Stękał z wysiłku, lecz i tak dziób naszego statku leciał prosto w dół!

W czasie tej niezwykłej podróży przeżyłem wiele momentów mrozących krew w żyłach, żaden z nich nie był jednak tak straszny jak ten. Otarliśmy się niemal o śmierć.

## Rozdział XXVII

### **KRAKSA!**

Nie rozwijaliśmy pełnej szybkości. Nie, wlekliśmy się zaledwie około dwustu, dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale i to wystarczyłoby, aby spadając statek roztrzaskał się całkowicie niczym skorupka jajka.

Krzyknąłem z całych sił:

— Znasz się na przyrządach?

Darrell nic nie odpowiedział. Zobaczyłem, jak jego zaciśnięta szczęka porusza się z wysiłku, a pot perli się na skroniach. Sięgnął po inny drażek. Nie miałem wątpliwości, że próbuje w ciemno, a przecież zaledwie sekundy dzieliły nas od wieczności!

Nie zwlekając pociągnąłem za drażek, na którym spoczywała lewa dłoń Darrella. Obaj mieliśmy równe szanse, żeby trafić na właściwy przyrząd. Zaraz po moim ruchu dziób statku skierował się ku dołowi i zaczęliśmy spadać. Przerażony gwałtownie odciągnąłem drażek z powrotem. Wszystko wróciło do poprzedniego położenia.

Czułem niemalże, jak brzuch srebrnego statku szoruje po ziemi, ale właśnie wtedy wzlecieliśmy ze straszną szybkością najpierw ku wzgórzom, a potem wysoko ponad nimi...

Chwyciłem Darrella za ramię. Śmiało się obaj jak para rozhisteryzowanych maniaków. Śmiejąc się i wrzeszcząc, nie szczędziliśmy sobie kuksańców, gdy tymczasem statek ze świstem unosił nas w dal, na południe, gdzie czekała wolność.

Wyciągnąłem Darrella z fotela dla kierującego i sam zająłem jego miejsce. Bez względu na to, jak wspaniale zaplanował naszą ucieczkę, to chyba ja lepiej nadawałem się do sterowania tym mknącym po niebie srebrnym cygarem. Co to był za pojazd!

Po pięciu minutach eksperymentowania z przyrządami wiedziałem o nich wystarczająco dużo. W czasie tych pięciu minut zobaczyliśmy, jak dymiąca góra niknie w oddali, jak staje się coraz mniejsza, jak wsiąka w horyzont. Wtedy nagle zobaczyliśmy pod sobą iskrzącą się białą linię, która wznosiła się coraz wyżej, a po chwili już tylko rozpryskujące się o skalisty brzeg bałwany.

Pamiętam, jak Zbój zaskowyczał, wyprostował się i oparł przednie łapy o szybę w drzwiach kabiny. Darrell odepchnął go w obawie, aby pies nie odblokował drzwi. Nie chcieliśmy, aby przy prędkości trzystu mil na godzinę wdarł się do środka przeraźliwy, mroźny wiatr. Gdyby otwarły się drzwi, na pewno by nas wywiało!

Teraz, kiedy tak sobie wspominam, wydaje mi się, że już wtedy Kraina Dymów była dla nas jedynie mglistym, odległym wspomnieniem. Mieliśmy bowiem co innego na głowie. Pod nami dryfowały ogromne kry, pomiędzy którymi przeświecała szara woda. Zacząłem próbować różnych dźwigni i przycisków.

Wyobraźcie sobie, że zamknięto was w uchwycie oszczepu, który jakiś gigant posłał w przestworza ku gwiazdom, tak właśnie czuliśmy się my, pędząc w naszym srebrnym statku.

Sprowadziłem pojazd tuż nad powierzchnię morza. Słyszeliśmy już wycie i warczenie spowodowane nagłą zmianą ciśnienia. Ujrzeliśmy wzlatujące do góry wielkie, białobłękitne kawały lodu, które opadając formowały sterty wysokie niczym góry.

Później nasz pojazd ze skowytem wleciał do niższej warstwy chmur, potem jeszcze wyżej przez następną warstwę i mknęliśmy niby po świetlistej, mlecznej drodze i jeszcze wyżej, aż niebo stało się jasnym, iskrzącym błękitem.

Dalej lecieliśmy na tej wysokości. Miałem chęć spróbować jeszcze kilku sztuczek z naszym statkiem, lecz Darrell ostro się temu sprzeciwił. Chciał, abyśmy ustalili nasze położenie i lecieli w prostej linii na południe, dopóki na horyzoncie nie zobaczymy Ameryki. Dopiero wtedy, ani chwili wcześniej, będę mógł robić sobie tyle sztuczek, ile zechcę.

Zapytałem go, czego się obawiał, a on odpowiedział, że być może nie jest to najszybszy statek, możliwe, że nie jest nawet z tych średnich! Słyszając go, roześmiałem się, po czym maksymalnie przyspieszyłem, tak że aż wszystko drżało.

Zeszliśmy do poziomu najwyższych chmur. Przypominały mi one oślepiającą białą pełną drogę w środku lata.

— Coś ty, Cleve, przecież dzięki tej maszynie mógłbym ścigać się z błyskawicą — powiedziałem. — Mógłbym wystrzelić strzałę i zanim doleci, pierwszy złapać cel, mógłbym zrobić sam nie wiem ile okrążeń w baseballu albo nawet łapać wystrzelone do nas kule armatnie. Człowieku, nie wiesz nawet z jaką prędkością lecimy! Popatrz na tę chmurę, czary mary — już ją minęliśmy. A teraz druga, i ona jest już za nami. To się dopiero nazywa podróż.

Razem z Sylwią śmiali się z mojego zachwytu. Ona jednak śmiała się cicho i krótko.

Siedziała skurczona w kącie tylnego fotela i wyglądała przez okno. Bardzo przypominała przestraszone dziecko, które po raz pierwszy przyszło do szkoły.

Biedna Sylwia. Darrellowi zostawiłem pocieszenie jej. Wydawało mi się, że radzi sobie zupełnie dobrze, prawie aż za dobrze. Zupełnie nie przejmował się naszym statkiem ani kursem na południe, tylko opowiadał jej o życiu w naszych górach.

Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo je kocha. Od tej pory, mówił, cała nauka może się schować, byle tylko on mógł zadawać koniom obroku, błąkać się po zboczach i spoglądać na głębokie kaniony schodzące z nieba w doliny. Chciał wachać dym ogniska pod wilgotnym niebem, wystawiać twarz na deszcz i wicher, jeść upolowaną przez siebie dziczyznę, podążać z psami tropem niedźwiedzia...

Psy i niedźwiedzie — to potrafiła zrozumieć, ale konie, letnie słońce, gwiazdziste niebo, to wszystko było dla niej nowe. Nigdy nie myślałem, że tak trudno je opisać, dopóki nie usłyszałem Darrella próbującego opowiedzieć jej o koniu, zupełnie bez efektu. Wszystko, co potrafił wyjaśnić, to to, że koń jest zwierzęciem z nogami w czterech kątach. Długimi nogami. Opis taki jednak równie dobrze pasował do psa.

Udało mu się jednak, muszę przyznać, zainteresować ją górami, choć pod koniec i tak zapytała:

— A co będzie, jeśli któregoś dnia zechcę powrócić do Krainy Dymów, co wtedy?

— Dlaczego nie! — odpowiedział Darrell. — Będzie przecież ten statek, a przy jego prędkości możesz przebyć całą odległość w dziewięć do dziesięciu godzin, taka jakby dłuższa drzemka. Wtedy, kiedy już przywitasz się z mędrkami i ogrzejesz sobie dłonie przy ogniu, będziesz mogła wrócić, chyba że oni obedną cię przedtem ze skóry i zakopią w śniegu albo spalą żywcem, albo zastosują jakąś inną swoją milutką sztuczkę. Wiesz, Sylwio, że Wilbur, syn Johna, chciał ustawić ogień na ołtarzu na bardzo mały płomień, kiedy mieli cię doń wrzucić. Chciał, żeby najpierw popalił ci nogi, a potem... — tutaj przerwał.

Dziewczyna wykrzyknęła ze złością:

— Nie mogłby kontrolować ognia. Bez względu na to, jak bardzo by mnie nienawidził. Nie mogłby sterować ogniem, bo to wszystko zależy tylko od bogini, od niej samej.

— Ale osobiści wrogowie Wilbura, syna Johna, ich ogień doświadcza jakoś ciężiej od

innych, prawda? — spytał Darrell.

Zacząła mu odpowiadać, lecz przerwała i pograżyła się w ponurych rozmyślaniach.

— Widzisz, może bogini słuchała szczególnie uważnie, kiedy Wilbur szeptał jej coś na uszko? — stwierdził Darrell.

Myślę, że dziewczyna dość dobrze pojęła okrutną ironię jego słów. Patrzyła prosto przed siebie, z oczami pełnymi cierpienia, nie odzywając się. Może po raz pierwszy jej wiara zachwiała się strasznie?

Darrell nie wracał już do tego tematu, a w chwilę później coś zupełnie innego zajęło naszą uwagę.

Nagle bowiem Darrell krzyknął:

— Dymek, spójrz za siebie!

Spojrzałem do tyłu, zobaczyłem Sylwię, uśmiechnąłem się do niej i wtedy przez tylne okno ujrzałem srebrny ołówek, jakby zawieszony na niebie.

Wisiał na niebie i był skierowany na nas. Po chwili nie był już sam, bo po swojej lewej i prawej stronie miał takie same iskrzące się w słońcu srebrne ołówki. W sumie sześć.

Na razie dzieliła je od nas spora odległość, ale w czasie tych kilku chwil, które zmarnowałem na patrzeć, jak się zbliżają, stawały się coraz większe.

Zachowywałem się jak w transie. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Teraz dotarło do mnie, że Darrell miał rację. Nasz statek nie był najszybszy w Krainie Dymów. Nie należał nawet do grupy najszybszych!

Na pewno nie, bo tamte zbliżające się wyglądały na srebrne rybki dużo smuklejsze, miały bardziej wydłużone dzioby i spłaszczone ogony. Nie było wątpliwości, że nas doganiają.

— Co nam mogą zrobić? — spytałem Darrella. — Jeden statek powietrzny nie może wlecieć w drugi! Czy zbliżą się i wtedy użyją swoich garłaczy?

— Nie zrobią nic więcej, tylko ustawią się dokładnie nad nami, po czym zrzucą niewielką bombę, która zamieni nas w śliczną różową mgłę — usłyszałem odpowiedź.

— Całkiem niezły pomysł — orzekłem. — A czy my mamy coś, żeby rzucić w ich kierunku?

— Niczego nie mogę znaleźć — Darrell przewalał wszystko w kufrze bagażowym z tyłu.

— Co w takim razie zrobimy?

— Może spróbuj ich wykiwać? — zaproponował.

— W takim razie musimy zmykać ku ziemi niczym lis.

Odwrociłem się i posłałem Sylwii długie spojrzenie. Ona też patrzyła na mnie, a jej oczy zmieniły swój wyraz i miejsce bólu zajął smutny uśmiech.

Może nie znaczyłem dla niej zbyt wiele, ale przynajmniej nie byłem jej zupełnie obojętny. Po tej wymianie spojrzeń nasza szansa przetrwania wydawała mi się w tamtej chwili jeszcze mniejsza.

Zwróciłem więc dziób statku w dół i zanurkowaliśmy w błyszczące, mleczne chmury, potem sunęliśmy przez niższe, koloru ołowiu, aż ujrzeliśmy promienie drgające na bezkresnych falach Oceanu Arktycznego.

Zobaczyłem pola lodowe rozciągające się na przestrzeni wielu mil, ale wszędzie powierzchnia była nierówna, o wystrzępionych brzegach.

Musieliśmy jednak podejść gdzieś do lądowania, zanim tamte powietrzne rekiny zejda w dół i znajdziemy się w ich polu widzenia.

Wybrałem więc miejsce — dryfującą krę, o średnicy około mili, na której z jednej strony wznosiła się wielka kupa odłamków lodowych. Druga strona wyglądała na równą i gładką.

Schodziliśmy więc w dół. Wiedziałem co nieco o lądowaniu samolotów, ale ten pędzący pocisk w niczym nie przypominał naszych maszyn. Traciliśmy wysokość. Wyłączyłem

silniki, tak że na zewnątrz słycać już tylko było wycie i szum wiatru.

Zwolniliśmy, na chwilę zawisnęliśmy w powietrzu, aby po chwili z całą mocą runąć na ziemię!

## Rozdział XXVIII

### LODOWA JASKINIA

Niesłychana siła rzuciła mną o ścianę kabiny, straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie, Darrell i dziewczyna ciągnęli mnie za nogi. Chwiejąc się stanąłem. Cały świat wirował mi przed oczami. Dopiero wtedy zobaczyłem leżący obok wrak naszego roztrzaskanego statku.

Miałem więcej szczęścia niż mi się zdawało, ponieważ pojazd znajdował się nie więcej jak pół metra od krawędzi pola lodowego. Jeszcze chwila, a wszyscy, razem z tą kupą żelazstwa poszlibyśmy na dno.

Statek wciąż jeszcze drżał lekko, zsuwając się w dół po pochyłym lodzie. Zdażyliśmy ledwie wy dostać trochę ubrań i strzelbę, kiedy nasz srebrny pocisk powietrzny przechylił się, spadł miękko do wody i tyleśmy go widzieli.

Darrell złapał mnie za rękę:

— No, kolego, uciekliśmy z kociołka ludożerców, ale w zamian wpadliśmy w samo ognisko — powiedział. — Oto i ono, nadlatują nasze ślicznotki!

To prawda, nadlatywali całą szóstką. Sunęli po niebie niczym kolorowe rybki płynące tuż pod powierzchnią spokojnej wody.

— Zobaczą nas?

— Mają najdoskonalsze przyrządy optyczne na świecie — stwierdził Darrell spokojnie jakby nigdy nic. — Nie dadzą chyba jednak rady wylądować tutaj. Miejsce, które wybrałeś, było prawdopodobnie najlepsze z możliwych.

Mówił prawdę.

Rozglądając się dokoła zobaczyłem, że to, co z góry wyglądało na całkiem gładką powierzchnię, w rzeczywistości było jedną wielką kupą kawałów lodu. Całość zaś stanowiła pozostałości jakiejś większej góry lodowej, która przewróciła się i połamała. W czasie lądowania udało nam się bardzo zmniejszyć prędkość statku i podczas uderzenia chropowaty lód rozerwał tylko jego spód, co posłużyło za rodzaj hamulca, zmniejszyło siłę właściwego uderzenia.

Po raz pierwszy cieszyłem się z takiej nieprzychylności Oceanu Arktycznego. Świszczący wiatr przeganiał po szarej, ponurej tafli wody bałwany z białymi grzywami i białe kawały lodu. Nasi wrogowie nie mieli specjalnej chęci lądować na takiej powierzchni.

— Na szczęście nie mogą szybko zejść na dół ze względu na przeciążenia. Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie nie dosięgną nas ich bomby. Na pewno spróbują nas wykończyć z góry!

Pobiegliśmy w kierunku białego, porozwalanego lodowego wzgórza. Myślę, że byliśmy pierwszymi ludźmi na świecie, którzy ucieszyli się, widząc na swojej drodze zaporę lodową nie do przebycia! Potykając się o wystające nierówności, zjeżdżając po gładkich powierzchniach, brnęliśmy do tej kupy lodowego gruzu.

Musiąłem pomagać Sylwii. Nie miała wycucia potrzebnego przy poruszaniu się po lodzie. Nic w tym zresztą dziwnego. Przecież od dzieciństwa niemal mieszkała w dymiącej górze. Poradziłem sobie, niosąc jednocześnie strzelbę i część bagażu, cała reszta spoczęła na

barkach Darrella.

Dobrze nam szło i już niewielka odległość dzieliła nas od celu. Nadal wisało jednak nad nami niebezpieczeństwo. Statki, które odległość mili pokonywały w niecałe dziesięć sekund, niczym jastrzębie zaczynały ku nam spadać. Wydawały się zniżać powoli. Dopiero z bliska zobaczyłem, z jaką prędkością przemierzały przestrzeń.

Po chwili usłyszałem dziwny, wysoki dźwięk wydawany przez pojazdy. W niczym nie przypominał on warkotu silników. Krążyli nad nami, jakby szukali miejsca do lądowania. Dwie godziny przedtem myślałem, że już na zawsze pozostawiliśmy za sobą Krainę Dymów, teraz ponury obraz tamtego miejsca raz po raz stawał mi przed oczami.

Nawet żelazne nerwy Sylwii zaczęły się załamywać. Zastoniła oczy dłonią i cicho jęknęła. Musiałem ją prowadzić, kiedy krok w krok podążała za Darrellem.

W chwilę później poczuliśmy siłę szponów tych drapieżników. Coś ze świstem przeleciało mi koło ucha, niczym kula armatnia przecinająca powietrze. Pocisk wycelowany był we wzgórze. Uderzył w lód jakieś pięćdziesiąt stóp od nas, po czym wybuchł ze straszliwą siłą.

Pęd powietrza przewrócił całą naszą trójkę i zaczęliśmy turlać się bezwładnie. W powietrzu fruwały kawały lodu tak wielkie, że z łatwością mogłyby nas zmiażdżyć. Mieliśmy jednak dużo szczęścia. Zdołaliśmy się podnieść i znowu zaczęliśmy biec. Wtedy ujrzelśmy wyrwaną przez bombę dziurę w lodzie. Powoli wypływała z niej woda.

Myślę, że od tamtej kupy bloków lodu dzieliło nas nie więcej niż jakieś pięćdziesiąt jardów. Pod ich osłoną mogliśmy schronić się przed bombami. Zbój dotarł tam pierwszy. Kręcił się, podskakiwał i czekał w naszym kierunku, żebyśmy się pospieszyli, nawet mając tylko jedną parę kiepskich nóg. Robiliśmy wszystko, na co nas było stać, ale tamci z Krainy Dymów także nie zasypiali gruszek w popiele.

Druga bomba upadła przed samym Darrellem i myślałem, że już po nas. Na szczęście nie wybuchła. Walnęła ze straszną siłą w lód, rozpadając się na dwie części niczym jabłko, ale nie rozniosła nas na strzępy. Dobrze, że coś z nią było nie tak.

Miałem wrażenie, że w tamtej chwili szczęście stało po naszej stronie.

Nagle ujrzałem błyski! Jak pchnięcia szablą, srebrne statki przelatowały nad nami rzucając bomby. Trzy pociski wybuchły prawie równocześnie bardzo blisko nas. Znowu siła wybuchu przewróciła całą naszą trójkę.

Sylwii i mnie udało się natychmiast wstać, choć zataczaliśmy się jak pijani. Po chwili zobaczyliśmy leżącego w bezruchu Darrella. Miał rozrzucone ramiona, a po twarzy ciekła mu strużka krwi. Byłem pewien, że nie żyje, ale wzięliśmy go za nogi i zaczęliśmy ciągnąć. Z pomocą przyszedł nam Zbój, który złapał zębami płaszcz Darrella. Pies był silniejszy niż Sylwia i ja razem wzięci.

On też od razu wskazał nam najlepsze miejsce. Z trudem przepchnęliśmy Darrella przez otwór wejściowy, a później przeciskaliśmy się sami. Musieliśmy się czołgać przez niski, wąski tunel, którego ściany stanowiły wielkie kawały lodu. Ich wyszlifowane, prostokątne boki sprawiały wrażenie, jakby ktoś je przygotował do budowy pałacu Królowej Śniegu. Tutaj znaleźliśmy schronienie.

Dalej tunel rozszerzał się nieco, tworząc pomieszczenie wysokie na jakieś pięć stóp, mniej więcej tak samo szerokie a długie na prawie dziesięć stóp. Trochę nam było ciasno we trójkę z psem. Zajeliśmy się Darrellem, czekając tylko na następne wybuchy. Kolejne bomby eksplodowały, lecz nam nic już nie groziło.

Tamte wściekłe psy już nas prawie miały. Zobaczyli, że schowaliśmy się, robili więc wszystko, aby nas wywabić z ukrycia. W chwili kiedy Darrell przyszedł do siebie i usiadł, sześć bomb jedna po drugiej uderzyło w nasze wzgórze. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego strasznego wrzasku i wycia. Z każdym wybuchem hałas był coraz bardziej ogłuszający. Wszystko drżało.

Napastnicy nie zadowolili się jednym atakiem. Bombardowali nasze wzgórze z godzinę

albo i dłużej. Wszystkim nam głowy pękały od wybuchów. Naprawdę, gdyby to trwało jeszcze trochę, zupełnie bym zwariował.

W końcu nastąpiła cisza. Była ona dla nas jak zbawienie. Odetchnęliśmy z ulgą.

Rana Darrella okazała się całkiem niegroźna, lekkie draśnięcie. On też odezwał się pierwszy:

— Myślę, że już skończyli. Albo wrócili do Krainy Dymów, albo wylądowali gdzieś tutaj i będą próbowali dokopać się do nas. Tak czy inaczej, Dymek, musimy to sprawdzić.

Posłałem Zbója ku wyjściu z tunelu, a sam ruszyłem za nim. Zaraz usłyszałem drapanie psich pazurów, a po chwili rozległo się najbardziej przeraźliwe i rozpaczliwe psie wycie, a echo odbijało je od każdego z lodowych bloków.

Zbój wycofał się, a ja za nim i razem wróciliśmy do naszej lodowej komnaty.

Wszyscy zrozumieliśmy, co się stało. Wprawdzie bomby nie wysadziły naszej kryjówki, ale olbrzymie bloki zawałyły naszą jedyną drogę na zewnątrz. Byliśmy pogrzebani żywcem.

Kiedy już w pełni zdaliśmy sobie sprawę z naszego położenia, na twarzy Sylwii zobaczyłem zupełną rezygnację. Nie odezwała się ani słowem. Nie potrzebowała nic mówić, bo wiem doskonale rozumiałem, o czym z pewnością myśli. Z pewnością wierzyła, że w tym wszystkim musiała być ręką bogini.

Teraz z kolei Darrell udał się do tunelu. Kiedy wrócił, powiedział, że według jego obliczeń cały korytarz miał około sześciu metrów długości, z których, jak przypuszczał, ostatnie dwa i pół, może trochę więcej metra było teraz zablokowane. Moglibyśmy więc spróbować przebić się. Nie było innego wyjścia, ruszyliśmy zatem do pracy.

Wszyscy mieliśmy noże zabrane z Krainy Dymów. Noże z najlepszej na świecie hartowanej stali.

Kolba mojego rewolweru posłużyła za młot, a długie ostrze sztyletu za dłuto.

Nie można go było wbijać zbyt głęboko, aby go nie złamać. Zabraliśmy się do roboty i powoli, za każdym uderzeniem gruba ściana lodu stawiała się troszeczkę cieńsza. Odłupane kawałki rzucaliśmy za siebie, spychając je do naszej wcześniejszej kryjówki.

Wyobraźcie sobie, jak strasznie powoli postępowała praca i w jakiej strasznej pozycji musieliśmy ją wykonywać! Jednorazowo można było wytrzymać około pół godziny. Potem następowała zmiana i odpoczynek.

Sylwia też pracowała. Robiła nawet więcej, niż na nią przypadano. Myślę nawet, że w czasie jednej swojej kolejki odłupywała dwa razy tyle lodu co Darrell czy ja. Po części było tak dzięki jej cudownej cierpliwości oraz niezwyklej dokładności, lecz także dlatego, że była drobniejsza i w wąskim tunelu poruszała się z większą łatwością.

Pracowaliśmy bez przerwy przez całą dobę, przebijając się w tym czasie przez około dwa metry lodu. Według przybliżonych obliczeń Darrella pozostało nam już tylko około metra, ale jak powiedział sam Darrell, równie dobrze lód mógł ułożyć się grubą warstwą dookoła wzgórza, daleko poza punkt, w którym weszliśmy do tunelu.

W tym czasie pomimo wspaniałych futer dostarczonych nam przez przewidującego Darrella zmarzliśmy na kość. Powoli też ubywało nam tlenu. Pracowaliśmy wytrwale przez dwadzieścia cztery godziny, oddychając głęboko. Dlatego teraz nic mieliśmy prawie czym oddychać i ten, kto w danej chwili odpoczywał leżąc z zamkniętymi oczami w lodowej jaskini, niemalże umierał z braku tlenu.

Darrell i ja czuliśmy się znacznie gorzej niż dziewczyna. Przynajmniej ona tego aż tak nie okazywała i jej zmiany stawały się coraz to dłuższe. Przeczuwała, jaki los nas czeka i była pewna, że to głos bogini zdecydował. Jedynym powodem, dla którego tak ciężko pracowała, była chęć wykonania swojej działki.

Cierpliwy umysł Darrella powstrzymywał go od rozpacz. Tylko jego oczy zapadały się coraz głębiej, a twarz nabierała trupiego koloru.

Mnie zaś kręciło się w głowie. Wciąż było mi niedobrze, miałem mdłości, jak przy najgorszej chorobie morskiej. Co chwilę też dostawałem dreszczy. Kiedy więc Darrell wziął moją strzelbę, wydawało mi się, że wiem, co chce zrobić.

Zrozumiał, że nadszedł nasz koniec. W tym lodowym grobie spoczną nasze ciała, dopóki cała góra nie roztopi się w morzu.

Darrell wczołgał się do tunelu, a zaskoczona dziewczyna z powagą wskazała nań wyciągniętą ręką.

Ponuro pokiwałem głową na znak potwierdzenia, czytając pytanie w jej oczach. Myślę, że chciała za nim krzyknąć, lecz w tej samej chwili huk strzału wstrząsnął jaskinią.

Spojrzałem na dziewczynę, a ona na mnie. Nie słyszeliśmy żadnego dźwięku dochodzącego od Darrella. Zastanawiałem się tylko, dlaczego użył do swego celu strzelby, a nie rewolweru, który był znacznie poręczniejszy.

Wyjąłem mojego starego kolta.

— Sylwio, wygląda to na koniec naszej drogi — powiedziałem. — Darrell ma rację. On zawsze ma rację. Dla niego wszystko się już skończyło i lepiej, abyśmy i my zrobili to samo. Jeśli sama nie umiesz zbyt dobrze posługiwać się bronią, to ja... — tu głos mój się załamał.

Ona jednak zrozumiała.

— Jeśli tak nakazuje ci bogini, to rób, jak uważasz — rzekła.

— Sylwio — zacząłem — bez względu na to, czy twoja bogini istnieje czy nie, wydaje mi się, że dzięki jakiejś diabelskiej sztuczce zawędrowałem do Krainy Dymów. Spotkałem tam ciebie i chciałem cię zabrać do mego kraju. Dotarliśmy tu, gdzie utknęliśmy w tej kupie lodu.

— Taka jest wola bogini — odpowiedziała Sylwia. — Ludzki rozum nie potrafi zrozumieć jej planów.

— Sylwio, jeżeli chciałabyś powiedzieć coś na koniec, to nadszedł czas.

Spojrzała mi prosto w oczy:

— Nie mam nic do powiedzenia poza tym jednym. Wolę umrzeć, poznawszy was, niż gdybym miała żyć bez was.

— W takim razie, Sylwio, wiedziałaś, że cię kocham?

— Tak. Od dawna, choć niewiele godzin upłynęło, od kiedy się poznaliśmy.

Pocałowałem ją, a potem zebrałem się w sobie i spytałem:

— Czy jesteś gotowa, Sylwio?

— Gotowa — powiedziała uśmiechając się.

Z ciężkim sercem wziąłem do ręki rewolwer. Kiedy jednak podniosłem go do góry usłyszałem szeleszczący dźwięk. Nie był to Zbój, który leżał jak zdechły, lecz Darrell przeciskający się w przejściu.

Opuściłem rewolwer i stałem zdziwiony, gdy on tymczasem wychodził tyłem z tunelu. Jego twarz i oczy odzyskały normalny wyraz.

— Nabój przeszedł na wylot — powiedział, kiedy się na niego gapiłem.

Zamrugalem.

— Nie czujecie świeżego powietrza? — zapytał.

Wtedy dopiero zrozumiałem! Poczuję się jak idiota, jak melodramatyczny głupiec. Słaby strumień świeżego powietrza, niczym promień światła musnął moją twarz, a wraz z nim wciągnąłem zapach prochu po wystrzale. Popchnąłem Sylwię do tunelu.

Wyobrażałem sobie, jak przyciska swoje usta do otworu, bardzo, bardzo wąskiego, ale przez który sączyło się dla nas życie. Po chwili wróciła, a ja, z wytrzeszczonymi oczami pozostałem na jej miejscu.

Czekały nas jeszcze trzy godziny pracy, ale od chwili gdy zaczęło napływać świeże powietrze, byliśmy jak nowi. Znowu Sylwia nadała tempo, pracując dwa razy szybciej niż każdy z nas.



Akurat przypadła kolej Darrella, kiedy ostrze sztyletu przeszło na drugą stronę, co obwieścił nam okrzykiem triumfu. Wtedy zwróciłem się do Sylwii z następującymi słowami:

— Przed chwilą, kiedy myśleliśmy, że umrzemy, powiedziałaś może trochę więcej, niż chciałaś. Teraz jednym uśmiechem możesz to wszystko zabrać z powrotem, a ja o wszystkim zapomnę.

— Z moich ust nie padło ani jedno słowo, którego bym żałowała — odpowiedziała. — Przeżyliśmy bowiem własną śmierć, a to jest być może nowe życie, dla was i dla mnie!

Nowe życie? Kiedy już wydostaliśmy się na zewnątrz, czułem się jak w raju. Ponure zaś arktyczne niebo, z nisko snującymi się chmurami, zdawało mi się piękniejsze niż jakiegokolwiek rajskie błękity.

## Rozdział XXIX

### FAUNA

Gdy tylko wyszliśmy z lodowej pułapki, zobaczyliśmy, jaką mocą włada praktyczny, naukowy ludzki umysł.

Część lodowców zniknęła, a nad tym, co pozostało, unosił się pył drobnych kryształków. Wystarczające dowody mocy tamtych bomb.

Na niebie nie było widać żadnej ze srebrnych rybek unoszących się w powietrzu. Kiedy już byliśmy tego pewni, Darrell powiedział:

— Musimy zrobić trzy rzeczy. Po pierwsze: możliwie jak najdokładniej określić nasze położenie. Po drugie: wykoncypować jakiś środek transportu. Po trzecie: wyruszyć w drogę do domu.

— Pewnie, Cleve, albo frunąć, albo na piechotę po wodzie.

— Najpierw musimy coś zjeść, a ty tu jesteś jedynym doświadczonym łowcą fok. Ja ze swej strony dokładam zapałki i kuchenkę.

Właściwie to napchał futrami coś, co przypominało puszkę, a w rzeczywistości było porządnym, wykutym w cienki pręt żelazem.

Minęły prawie dwie doby, zanim dane nam było zakosztować pożywienia. Zacisnąłem pasa i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie na obchód wyspy. Po przejściu dwóch mil, na drugim jej końcu ujrzałem nie jedną fokę, lecz całe stado. Sześć zwierząt rozłożonych na lodzie i całkiem daleko od wody!

Wydawały się zbyt piękne, aby były prawdziwe. Choć pewnie nic dziwnego, że wybrały naszą wyspę, ponieważ nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnego innego lodu.

Jednak upolowanie foki, nawet śpiącej, wcale nie jest taką znowu łatwą sztuczką. Zasympiając foka zamyka oczy, ale nigdy nie wiadomo, kiedy je otworzy i podniesie łeb, aby rozejrzeć się dookoła. Żadna z nich nie zapomina o grożących jej niedźwiedziach polarnych, bo zbyt wielu foczych przodków skończyło w misich brzuchach. Foki mają więc strach we krwi. To ich ciągle czuwanie w czasie snu jest wielkim utrudnieniem dla myśliwego. Można z nim sobie jednak poradzić.

Kiedy ujrzy się fokę, można do niej spokojnie podejść na odległość około czterystu metrów. Tak daleko bowiem widzą jej ogromne, smutne oczy. Dalej więc trzeba już się czołgać i w ten sposób łatwo wybadać rytm zwierzęcia.

Jeśli ktoś ma szczęście, jego foka będzie się budziła tylko co dwie minuty. Bardziej jednak prawdopodobne, że trafi się na taką, która śpi jedynie dwadzieścia do trzydziestu sekund. Zmierzywszy czas trwania jednej drzemki, wiadomo jak długie będą następne. Kiedy

foka opuści głowę i zaśnie, można podczołgać się kawałek w jej kierunku, ale kiedy nadchodzi już czas pobudki, wtedy trzeba być czujnym i pozostać w bezruchu.

W końcu odległość między myśliwym a celem jest na tyle mała, że nawet najslabiej widząca foka łatwo go zobaczy i to jest najtrudniejsza część polowania. Kiedy foka leży na lodzie, to pół biedy. Gorzej, jeśli wszystko rozgrywa się nad przerębłą. Zwierzę leży blisko wody i gdy się je już trafi, cieknąca krew sprawia, że zdobycz ześlizguje się do otworu nawet po niezbyt stromej pochyłości. Wiele razy ja sam właśnie w taki sposób straciłem już upolowaną fokę, która znajdowała się dosłownie na odległość płetwy. Patrzyłem, jak powoli niktne pod wodą, aby uszczęśliwić jakiegoś wieloryba.

Chcąc podejść tak blisko, żeby dobiec i dobić ją na czas, trzeba samemu udawać fokę. Dla niej istnieją tylko dwie możliwości. Jeżeli coś porusza się po lodzie, musi być albo foką, albo niedźwiedziem. Jeśli ma kolor zbliżony do białego, to niedźwiedź, a jeśli obiekt jest ciemny, wtedy to foka. Aby jednak się upewnić, zwierzęta mają swoje sztuczki.

Kiedy foka zwróci w kierunku myśliwego swoje podejrzliwe spojrzenie, należy unieść samą głowę do góry jak najwyżej, a potem od czasu do czasu tarzać się po lodzie albo wyginać się na wszystkie możliwe strony i foczym zwyczajem łapać pchły.

Tym razem nie było tak źle. Musiałem jedynie trzymać się pomiędzy stadkiem fok a brzegiem lodu. Z tej strony niczego nie podejrzewały, nawet kiedy zacząłem strzelać. Mogłem nawet zatłuc je wszystkie, zanim zdążyłyby umknąć do wody. Kiedy więc znalazłem się w odległości około czterystu metrów od zwierząt, zacząłem się czołgać na łokciach i kolanach. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, posuwałem się ku nim iskając się jak one.

O wiele trudniej było upolować sześć niż jedną. Nie było to bowiem zwykłe stado, lecz raczej przypadkowa grupka. W normalnym stadzie, jak sądzę, straż trzymałby jeden odpowiednio wyznaczony osobnik albo co najwyżej dwa. Inne tymczasem oddawałyby się przyjemnej drzemce. Tutaj wszystkie sześć spały czujnym snem, podnosząc co chwila łby i rzadko zdarzało się, aby wszystkie naraz odpoczywały.

Właśnie kiedy udając fokę, leżałem skulony, zobaczyłem żarłaczę. Całe stado, chyba z tuzin. Sądząc po wystających płetwach grzbietowych wszystkie były dorosłymi osobnikami.

Upewniły mnie one tylko, że foki są już moje. One też musiały dojrzeć sunące ogromne płetwy. Nie miałem obaw, że mi uciekną, ponieważ wielorybów w morzu bały się tak samo, jak niedźwiedzi na lądzie.

Orka Gladiator, używając uczonej nazwy tych ssaków, bez trudu połyka sześć fok od razu, jedną po drugiej. Drapieżnik sunie pod wodą niczym błyskawica. Jej ogromne szczęki jednym kłapnięciem miażdżą łódź. Nie boją się też w morzu niczego poza samcami wieloryba.

Obserwowałem długie płetwy sunące po wodzie i malutkie, tryskające nad nimi fontanny. W chwilę później doszedłem do wniosku, że nie muszę już podchodzić bliżej. Zaczynało mi być trochę szkoda tych biednych fok, wiedząc, że na brzegu czekają je kule, a w wodzie szczęki śmiertelnych wrogów.

Rzuciłem okiem w kierunku morza i zobaczyłem, że orki zniknęły. Uniosłem się na jedno kolano, gotowy do oddania celnego strzału.

Nie pociągnąłem jednak za spust, ponieważ w tej samej chwili usłyszałem coś na kształt salwy armatniej oddanej z dna morza. Wszędzie dokoła mnie łamał się lód z rykiem i hukiem, zaś spod połamanego lodu, w pobliżu fok wyłaniali się sprawcy wszystkiego — orki!

Zobaczyłem, jak jedna z nich wyskakuje ponad wodę na całą długość mierzącego trzydzieści stóp cielska. Chwilę później ujrzałem ciało jednej z fok znikające w ogromnych szczękach oraz tryskającą krew ofiary. Potem napastnicy zniknęli pod wodą. Skacząc z jednej kry na drugą i próbując powrócić na właściwą wyspę, wciąż miałem przed oczami tamtą scenę. Te drapieżniki czasem za jednym skokiem zdążyły złapać i pożreć nawet dwie foki.

Byłem przerażony. Przecież znalazłem się w samym środku tego wszystkiego. Orka

Gladiator nie robi wyjątków i ludzi pożera z równym apetytem co i foki.

Właśnie udało mi się przeskoczyć z malutkiego, chybottliwego kawałka lodu na coś znacznie solidniejszego, gdy straszliwe szczęki ze świstem kłapnęły mi tuż nad uchem, a w oku rzucającego się na mnie olbrzyma ujrzałem tygrysie błyski.

Drapieżnik na powrót zanurzył się rozpryskując dokoła fontanny wody. Przemokłem do suchej nitki. Trząsałem się, cały spocony, klęcząc na środku mojej kry i kurczowo trzymając się rękami jej śliskiej powierzchni.

Orka nic ponowiła ataku, a i ja nie czekałem zbyt długo. Znowu zacząłem skakać z jednej kry na drugą, dzięki strzelbie utrzymując równowagę. Jeszcze chwila, a znowu stanąłem na brzegu naszej góry lodowej, choć nogi miałem jak z gumy i kręciło mi się w głowie.

Nawet wtedy nie zatrzymałem się jednak, tylko ile sił w nogach biegłem w głąb. Jedna z orek mogła bowiem dla odmiany zechcieć schrupać człowieka, a ja nie miałem zbytnej chęci, żeby brać udział w tym bankiecie.

Usiadłem. Nie trząsałem się już tak bardzo, lecz było mi przeraźliwie zimno. Choć schnąca i marznąca na ludzkim ciele woda morska nie jest tak zabójcza jak słodka, nie można tego jednak zaliczyć do przyjemności.

Skręciłem w bok. Idąc szybko wkrótce dotarłem do naszego lodowca. Nagle usłyszałem za sobą jakieś zwierzę. Obróciwszy się, zobaczyłem ryczącego niedźwiedzia. I to olbrzymiego!

Spojrzałem, przyłożyłem strzelbę do ramienia, ale on, ten łajdak, odwrócił się w kierunku morza.

No tak, zrozumiałem o co mu chodzi. Oceniał po prostu odległość dzielącą nas od wody. Upewniał się, że żadna „foka” nie ucieknie mu tak daleko od wody. Wciąż musiał cieszyć się tą myślą, kiedy mój twardy nabój trafił go w serce.

Tamtego dnia jedliśmy pieczeń z niedźwiedzia. Była nieco twarda, ale smaczna.

## Rozdział XXX

### Z POWROTEM NA ZIEMI

Później mieliśmy już regularny rozkład zajęć. Po pierwsze, nigdy nie mieliśmy pewności, czy nagle nie pojawi się jakiś srebrny statek powietrzny z Krainy Dymów. Dlatego zbudowaliśmy igloo na skraju roztrzaskanego lodowca. Szpiedzy mędrców z Bieguna Lodu nie bardzo by nas w nim mogli dojrzeć. Ponadto potrzebowaliśmy też schronienia od wiatru, który najpierw wiał słabo, z północy lub północnego zachodu, lecz później zmienił się we wściekły huragan.

Był to jeden z arktycznych sztormów, które rzadko komu udaje się przeżyć. Nie mogliśmy więc robić zbyt wiele na zewnątrz. Przestaliśmy też właściwie wychodzić, nie licząc wypraw po mięso z upolowanego niedźwiedzia.

Trzeciego dnia znalazłem na lodzie cztery foki i udało mi się je zastrzelić.

Były one dla nas niezwykle cenne i to nie tylko ze względu na mięso. Ich futra stanowiły prawdziwy dar niebios. Większą część następnego sztormowego tygodnia spędziliśmy wyprawiając skóry. Suszyliśmy je przy ogniu, wcieraliśmy w nie straszną mieszankę z tłuszczu i mózgu.

Jak umieliśmy najlepiej wyprawiliśmy skóry natłuszczając i rozciągając je. Chcieliśmy, aby były lekkie i mocne. Oczywiście garbując je w taki sposób, nie mogliśmy poprawić ich wytrzymałości, ale przynajmniej doprowadziliśmy je do takiego stanu, że mogły posłużyć do

obciążenia naszej sanko-łódki.

Zbudowaliśmy sanie i to wcale niezłe. Przynajmniej ich płozy były najbardziej niezniszczalne w całej Arktyce. Zrobiliśmy je z przelamanych na pół panczerzy Darrella i mojego. Połączenie ich stanowiła dziwna kombinacja foczych i niedźwiedziej kości oraz jeszcze lepszych ścięgien. Nasze sanki nie wyglądały zbyt elegancko, nie ślizgały się też prosto jak prawdziwe sanie, ale za to były dość lekkie i, jak już wcześniej powiedziałem, prawie niezniszczalne, przynajmniej ich płozy. Igłami wystruganymi z kości, używając wysuszonych ścięgien jako nici pozszywaliśmy focze skóry, aby obciągnąć ten nasz pojazd. Kiedy jednak spojrzałem na niepokazne rozmiary naszych sanek, sam pokręciłem głową. Cała nasza trójka i jeszcze ogromny pies. Bez wątpienia, nie mogły wytrzymać takiego ładunku.

Darrell powiedział, że z pewnością wytrzymają. Dodał też, że jeżeli nasze szwy były wystarczająco wodoodporne, nie powinno z tym być żadnych problemów. Za pomocą skomplikowanego rysunku oraz wyższej matematyki obliczył również, że przy bezpiecznym zanurzeniu, nasza łódź mogła udźwignąć osiemset pięćdziesiąt funtów albo nawet tysiąc sto, jeśli zanurzenie wzrosłoby o cal lub dwa.

W czasie tamtych sztormowych dni ani minuty nie spędziliśmy beczynnie, co, jak sądzę, utrzymało nas w tak dobrej kondycji.

Jednak w chwili gdy wycie wiatru ustało, od razu zaczęliśmy myśleć o czymś nowym. Nasza lodowa wysepka zderzyła się bowiem ze znacznie większą górą lodową i wkrótce połamano się. Nie na małe kawałki, lecz na kry wielkości normalnego pokoju.

Można było dostać kręćka, siedząc tak na naszym małym kawałku kry i patrząc jak znacznie większe przewracają się, a morze miota nimi dokoła. Czułem się, jakbym przeżywał na jawie jakiś koszmar.

Wiatr jednak wciąż wiał z północy i choć nie był zbyt mocny, stale pchał nas w kierunku wielkiej góry lodowej.

Nie mogłem dojrzeć jej końca, a serce podeszło mi do gardła, kiedy Darrell powiedział:

— No, synu, albo to jest lodowa bariera wokół wybrzeża, albo sam, z własnej woli zjem twoją czapkę!

— Dokoła wybrzeża? Darrell, wybrzeża? — wydusiłem z siebie.

— Popatrz, Kraina Dymów leży około osiemset mil na północ od Point Barrow. Lecieliśmy przez pierwsze dwie godziny, co daje gdzieś około sześciuset mil. Potem trafiliśmy na to lodowe szczęście i przez dziesięć dni pchała nas wichura. Nie znam tutejszych prądów, ale jestem pewien, że wszystkie miejscowe wody morskie przy takim wietrze muszą płynąć na południe. Co więcej, pionowy lodowiec łapał wiatr niczym żagiel i to też nam pomogło. W sumie, stary, możliwe, że mniej niż sto mil dzieli nas w tej chwili od Point Barrow.

Słuchałem go jak nieszkodliwego wariata. Wszystko brzmiało zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe. Przypomniałem sobie długie osiem miesięcy na morzu w tamtą stronę i choć prawda, że wtedy nie miałem aeroplanu, aby przebyć najgorszy odcinek drogi, wydawało mi się niemożliwe, że tak szybko miałyby się skończyć wszelkie nasze kłopoty.

Tymczasem przygotowywaliśmy się do zejścia na brzeg. Szło to dosyć łatwo, bo Zbój skakał bez trudu z jednego kawałka lodu na drugi. Szybko przerobiliśmy też łódź na sanie i znowu ruszyliśmy na południe.

Szliśmy przez cały dzień przy bezwietrznej pogodzie. Było nam przyjemnie, ponieważ nie musieliśmy się nigdzie wspinać, ani schodzić w dół. Później skończyła się równa łąka, a warunki marszu pogorszyły się, aż w końcu przed nami wznosiły się lodowe wzgórza.

Patrzyliśmy na nie uradowani. Możliwe, że powstały one na otwartym morzu przy zderzeniu dwóch gigantycznych gór lodowych, my jednak chcieliśmy wierzyć, że stoimy oto przed barierą lodową, lodowcami na wybrzeżu, w miejscu, gdzie popychane przez wiatr góry lodowe z samego bieguna zderzały się z lądem!

Wzgórza owe składały się z połamanych i kolejno na siebie nałożonych pół lodowych.

Kiedy wspięliśmy się na nie, próbowaliśmy wyteńczyć wzrok, lecz nic nie można było zobaczyć, bo wszystko przed nami otulała mgła.

Cały kolejny dzień zajęło nam przedzieranie się na drugą stronę wzgórz. Pokonawszy je, nie posiadaliśmy się z radości. Staliśmy na twardym gruncie. Jednak, czy była to zaledwie wyspa, czy też sam kontynent? Czy możliwe, że dotarliśmy do Ameryki Północnej?

Ameryka Północna wydaje się stosunkowo duża dla kogoś, kto tam mieszka, lecz dla przybysza z okolic bieguna jest nie większa od skorupki orzecha.

Przez trzy dni szliśmy pod osłoną wzgórz. Maszerowaliśmy szybko i pokonaliśmy niezły dystans. Potem nagle Sylwia upadła.

Zupełnie się tego po niej nie spodziewaliśmy i w pierwszej chwili nie wierzyliśmy własnym oczom. Dziewczyna jednak była zupełnie wyczerpana.

Nie przyzwyczajona do marszu próbowała dotrzymać kroku nam, starym koniom, tylko że jej delikatne stopy były teraz jedną wielką raną: krwawiące, spuchnięte i purpurowosine. Wyglądało to wszystko strasznie. Kiedy już założyliśmy jej opatrunki, mieliśmy niemal pewność, że musiała sobie odmrozić nogi. Myślałem, że przez resztę życia Sylwia pozostanie kaleką, ale Darrell pocieszył mnie.

Zresztą sama Sylwia, leżąc w śpiworze, powiedziała, że być może jest to nasze ostatnie nieszczęście, może dotarliśmy już tak daleko na południe, że nie prześladowuje nas już gniew bogini.

Wierzyła w to, co mówi, więc się ucieszyłem. Przynajmniej straszliwe widmo bogini przestawało ją prześladować. Przypuszczałem, że kiedy już pozbędzie się strachu, wraz z nim przepadnie ostatnie wspomnienie o Krainie Dymów i jej bogini.

Rozbiliśmy obóz. Nadarzyła się okazja, abyśmy z Darrellem porozmawiali.

Przynajmniej przez dziesięć dni Sylwia nie będzie mogła maszerować. Gdyby od razu wszystko nam powiedziała, narzucilibyśmy mniej forsowne tempo i przynajmniej przez część drogi wieźlibyśmy ją na saniach, dopóki by nie przywykła do wędrowania. Teraz jednak niemożliwością było podróżowanie z nią na saniach przez nierówne wzgórza lodowe.

Mieliśmy dwa wyjścia; albo posuwać się naprzód w żółwym tempie, albo rozbić obóz w miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się po raz pierwszy. Zaproponowałem, abyśmy wybrali to drugie, a ja udałbym się wtedy na zwiady.

Jeżeli wylądowaliśmy na wyspie, to musiała ona być duża. Przez trzy dni bowiem szliśmy wzdłuż brzegu, a wciąż znajdowaliśmy się na jej północnym krańcu.

Mój pomysł był następujący: możliwe, że przecież gdzieś niedaleko leżało Point Barrow. Jeśli bym dotarł tam, powróciłbym z zaprzęgami, aby wygodnie ich przewieźć.

Darrell zgodził się ze mną i w pół godziny później wyruszyłem. Zabrałem ze sobą rewolwer i Zbója, który niósł mój mały, ale dosyć ciężki bagaż. Strzelbę zostawiłem Darrellowi i Sylwii.

Postanowiłem wykonać trzy długie marsze wzdłuż wybrzeża, aż coś znajdę. Jeżeli na nic nie trafię, to po prostu wrócę. Nie chciałem rozstawać się z Sylwią na dłużej niż sześć dni.

Drugiego dnia, kiedy przygotowywałem się do rozbięcia obozowiska, Zbój nagle gdzieś zniknął. Pobiegł prosto przed siebie i nie wracał, choć go wołałem. Przypomniałem sobie, ile razem przeszliśmy w jaskiniach Krainy Dymów i zasmuciłem się.

Podążyłem jednak za nim, wołając go i wściekając się. Wtedy je zobaczyłem. Myślałem, że przed oczami wirowały jedynie wytwory mojej własnej wyobraźni, ale po chwili coraz wyraźniej widziałem światła!

Nie mogę powiedzieć, że byłem szczęśliwy, bo byłoby to zbyt słabe i błahe słowo. Przyznam się jednak, że natychmiast zacząłem biec przez mrok, z szeroko rozpostartymi ramionami. Wkrótce widziałem światła i na prawo, i na lewo, a zaraz potem zrozumiałem, że oto spełniło się to, co przewidział mądrzejszy ode mnie Darrell.

Dotarłem do szynku i wszedłem kuchennymi drzwiami. Kucharz wziął mnie za włoczę-

gę i zwymyślał, lecz ja uśmiechnąłem się tylko i lekko uchyliłem drzwi do jadalni. Wielki jak niedźwiedź Scanderov siedział przy stole z Leroyem, Metysem Charliem oraz wodzem Guntherem.

Z zewnątrz dochodziło dziwne wycie. Scanderov gwałtownie podskoczył i zawołał:

— Co wam przypomina ten dźwięk?

— Zawodzi jak potępiona dusza. Może to wilkołak? — odpowiedział mu wódz Gunther.

— Przypomina mi tego czubka, który kiedyś tu przybył i kupił od Metysa wielkiego białego psa.

— Pamiętam go — rzekł Charlie, który sam był Metysem, i dlatego bardzo był wyczulony na sprawy jemu podobnych. Zaraz też dodał:

— Nigdy nie udało mi się rozszyfrować ani tego psa, ani jego pana! Musieli przybyć z bardzo daleka.

— Tak, jeszcze jeden człowiek zginął daleko na północy — powiedział Scanderov.

— Kto taki? — zapytał Gunther.

— Mam oczywiście na myśli tego biednego Cassidy — padła odpowiedź. — Pojechał walczyć z duchami, na poszukiwanie zaginionego przyjaciela.

Wtedy otworzyłem drzwi na całą szerokość i wszedłem do środka. Spojrzeli na mnie, ogromnie zdziwieni, aż w końcu odezwał się Scanderov, a głos jego brzmiał jakby nigdy nic:

— Przecież to Cassidy. Cassidy, cieszę się, że cię znowu widzę. Gdzie się podziewałeś przez te dziewięć miesięcy?

— Byłem na północy.

— Tak? — Niby się zdziwił.

— Tak — rzekłem.

— A jak daleko na północy?

Musiałem się dobrze zastanowić, zanim odpowiedziałem na jego pytanie. Gdybym powiedział prawdę, brzmiałoby to niczym wysrane z palca. Kto by mi uwierzył? Czy ja sam bym sobie uwierzył? Wszystko wydawało się już tylko wytworem chorego umysłu, jakby nigdy się nie zdarzyło, tak daleko za nami pozostały płomienie na ołtarzu bogini, straszna i piękna Fontanna Życia oraz srebrnołuskie ryby, które z taką gracją sunęły przez mgłę Krainy Dymów.

Zrozumiałem, że nie mogę im nic powiedzieć.

— No, możesz się pochwalić, póki cię słuchamy — odezwał się Gunther.

W końcu powiedziałem:

— Byłem tam, gdzie tkają ten materiał. Wiecie, gdzie to jest? — Rozpiąłem parkę i pokazałem im mój kaftan.

— Czyli w domu, dobra — stwierdził Gunther.

Scanderov jednak przechylił się, aby własnoręcznie dotknąć materiału, wysnuł też jedną nitkę. Rozciągał ją i gapił się to na nią, to na mnie.

— O co chodzi? — zdziwił się Gunther.

— To wełna wołu piźmowego, to wszystko! — powiedział Scanderov.

— Dobra, no i co z tego? — Dla Gunthera nic w tym nie było dziwnego. — Przecież dawniej przedło się wełnę wołów piźmowych.

— Tak, ale kto? — Scanderov nie dawał za wygraną. — Kto w tej części świata przędzie wełnę?

Gunther zamrugał oczami:

— Nie pomyślałem o tym — przyznał.

Scanderov bacznie mi się przyglądał.

Stał przede mną kubek gorącej kawy, którą pociągnąłem z ogromną przyjemnością. Nie byłem jednak głodny.

— Chodź, pogadamy — nie wytrzymał wreszcie Scanderov.

Wstałem i poszliśmy do niego. Kiedy już tam dotarliśmy, podszedł do lampy, która i grzała, i oświetlała pomieszczenie. Wziął do ręki wełnianą nić z wołu piżmowego, zaczął od nowa ją skręcać i rozkręcać między palcami.

— Opowiedz mi wszystko — poprosił.

— O czym?

— O tym, gdzie byłeś.

Uśmiechnąłem się do niego:

— Sam byś nie uwierzył, Scanderov.

— Nie?

— Nie — powtórzyłem. — Ale przynajmniej przywiozłem ze sobą Cleve'a Darrella.

Scanderov spojrział na mnie z niedowierzaniem:

— Co zrobiłeś?

— No, przywiozłem Darrella. Tego, po którego pojechałem.

Scanderov opadł na krzesło, wciąż kurczowo trzymając się stołu.

— Kraina Dymów — wycedził patrząc w podłogę.

— Kraina Dymów — powtórzyłem, aby go rozdrażnić. — Wszystko tam o nas będą wiedzieć na długo, zanim ich poznamy. Już nas prawie rozpracowali!

Scanderov pokręcił głową jak niecierpliwy, napastowany przez muchy człowiek.

— Nic mi więcej nie powiesz? — spytał.

— Nie, na nic by się to nie zdało. Nie uwierzyłbyś mi. Nikt by nie uwierzył.

— Nie chcesz mówić. — Wielki badacz rozmawiał raczej sam z sobą niż ze mną. — Nie chcesz mówić, bo twoja opowieść byłaby zbyt niezwykła, aby ktokolwiek mógł w nią uwierzyć. Ty może i nie chcesz mówić, ale co z Darrellem?

— Z Darrellem wszystko w porządku. Osiwiiał tylko.

— Ty sam nie masz już zbyt wielu ciemnych włosów.

— Tak to bywa. — Roześmiałem się.

Na ścianie wisiało niewielkie, okrągłe lustro. Stanąłem przed nim. Scanderov miał rację. Mój zarost miał normalny kolor, ale włosy miałem prawie zupełnie siwe, jakbym miał perukę, która postarzała mnie tak, że z trudem rozpoznawałem własną twarz.

Kiedy tak stałem prowadząc oględziny swojej twarzy, usłyszałem krzyk Scanderova:

— No tak, teraz wszystko rozumiem!

— Co rozumiesz?

— Ty i Darrell wykombinowaliście sobie jakąś dziwną przygodę, żeby jemu przysporzyć sławy i znaleźć wytłumaczenie dla wybuchu w jego laboratorium. No, przyznaj się, Cassidy, rozszyfrowałem was, co?

Nawet się nie zdenerwowałem. Ten człowiek był zdesperowany. Musiał sobie znaleźć jakieś wytłumaczenie. Powiedziałem więc tylko:

— Masz przecież dowód. Jest przecież ta tkanina z wołu piżmowego.

Pokręcił głową:

— To można wyjaśnić!

— Jest jeszcze jedna rzecz, inna tkanina, która także powstała na równie doskonałych krosnach.

Zakłopotany mruknął coś do siebie:

— Dobra, zatrzymaj dla siebie swoje tajemnice — powiedział. — Chcę jednak dostać w swoje ręce Darrella. Gdzie on jest?

— Dwa dni marszu stąd. Zaprzęgaj psy.

— Dam ci jeden zaprzęg, a sam pojedę za tobą.

Zgodziłem się i wkrótce zaprzęg złożony z dziesięciu wspaniałych psów mknął po lodzie, podczas gdy Zbój biegł obok mnie: wielki, zgrabny i zwinny jak wąż.

Odległość tę psy pokonały w pół dnia. Do obozu Darrella i Sylwii dotarliśmy w chwili, gdy Cleve zabierał się do rozpalania kuchenki.

Nie był specjalnie podniecony naszym przybyciem, raczej zwyczajnie szczęśliwy. Zostawiłem ich, aby sobie ze Scanderovem pogadali i poszedłem usiąść obok Sylwii. W jej oczach nie zobaczyłem ani śladu dumy, a tylko pewność, że do niej należę oraz zadowolenie. To dopiero była niespodzianka. Usłyszałem, że Darrell kłóci się o coś ze Scanderovem, odwróciłem więc głowę w ich kierunku.

Usłyszałem głos Scanderova:

— Darrell, wiem, że w duszy kochasz honor i prawdę, ale gdybym był na twoim miejscu, nigdy na moich ustach nie pojawiłyby się słowa Kraina Dymów. Nigdy, do samej śmierci!

— Scanderov, sądzę, że nigdy o tym nie wspomnę! — odpowiedział Darrell.

Jestem pewien, że słowa dotrzymał.

Moja pewność wynika stąd, że rancza moje i Darrella sąsiadują ze sobą. Z nauką Cleve wziął rozwód i nie ma mowy o powrocie. Prowadzi teraz raczej spokojny, samotny i pozbawiony rozrywek tryb życia. Widujemy go z Sylwią mniej więcej dwa razy na tydzień, ale pilnujemy, aby te odwiedziny nie trwały zbyt długo.

Mam wrażenie, że Darrell przestał służyć ludzkości za pomocą probówek, elektrycznych przyrządów i innych takich tam. Zamiast tego po cichu, w duszy, służy teraz Bogu.

KONIEC



## Nota o autorze

Frederick Schiller Faust (1892—1944), amerykański pisarz, scenarzysta filmowy i korespondent wojenny. W latach 1911—1915 studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Zginął 12 maja 1944 pod Salerno.

Nazywany „królem groszowych magazynów” (King of Pulps), w latach 1917—1944 pod 26 pseudonimami (najbardziej znane: Max Brand, George Owen Baxter, Evan Evans) opublikował blisko 300 powieści westernowych (z tego wydano książkowo ok. 170) i ponad 230 takichże opowiadań (wydano 2 autorskie zbiory) oraz dziesiątki innych utworów: przygodowych, sensacyjnych, romansowo-historycznych, medicals (cykl o doktorze Kildare; był twórcą tej odmiany tematycznej literatury popularnej), science fiction etc. (wydano łącznie 27 powieści oraz 4 zbiorki poezji).

Nie przyjęty do wojska w 1917 i zagrożony głodem, zadebiutował opowiadaniem kryminalno-romansowym „Convalescence”. Debiut książkowy Fausta to *Nieposkromieni* (1919), tom 1 cyklu o tajemniczym Danie Barrym, nazywanym wręcz bożkiem Panem pustyni, który swoim zachowaniem przypomina trochę wilkołaka, włóczy się nocami na czarnym koniu w towarzystwie pół psa, pół wilka i którego atawistyczna dzikość doprowadza do tragicznego końca. Następne tomy: *Nocny jeździec* (1920), *Siódmy człowiek* (1921). Kontynuacja: *Córka Dana* (1924).

Ale właściwym wkładem Fausta do fantastyki są dwie powieści i trzy opowiadania. *The Garden of Eden* (1927) opowiada o zamkniętej dolinie koni-mutantów, a *Kraina dymów* (1937, 1980) to utwór typu „lost race fiction” (powieść o zaginionej cywilizacji) o arktycznej enklawie, której mieszkańcy, bardziej zaawansowani technicznie niż reszta świata, planują jego podbój. Rzec ukazała się pierwotnie pod pseudonimem George Challis, w 1950 została przedrukowana w *Abraham Merritt's Fantasy Magazine*, by — jako legenda do 1980 roku — pojawić się wreszcie w wydaniu książkowym pod pseudonimem... Max Brand. Trzy powyżej wzmiankowane opowiadania noszą tytuły: „John Ovington Returns” (1918, o reinkarnacji), „Devil Ritter” (1918, mikropowieść o telepatii), „That Receding Brow” (1919, brakujące ogniwo).

Faust, milioner i legenda okresu międzywojennego, który o swojej prozie zwykł mawiać: „te staroświeckie melodramatyczne śmiecie”, traktował poważnie tylko swą twórczość poetycką...

Oprac. MSN

## SPIS ROZDZIAŁÓW

I.	Wezwanie	002
II.	Łkający olbrzym	005
III.	Wielkie drzwi	008
IV.	Kiedy ruszyła góra	012
V.	Kawałek drewna	015
VI.	Krew na śniegu	017
VII.	Przestraszony kłamca	020
VIII.	Szczęście i strzelba	023
IX.	Morska podróż	027
X.	Biegący pies	030
XI.	Pojawiają się ludzie	032
XII.	Trzoda bogini	034
XIII.	Bezimienna łaska	038
XIV.	Sprawiedliwość bogini	043
XV.	Ludzie z wnętrza góry	048
XVI.	Fontanna Życia	051
XVII.	Biały ogień	053
XVIII.	Spotkanie na Lodowym Biegunie	059
XIX.	Interludium	063
XX.	Wyrok mędrców	066
XXI.	Opowieść Darrella	069
XXII.	Genealogia mędrców	074
XXIII.	Broń i dwóch mężczyzn	076
XXIV.	Jak koty w ciemnościach	079
XXV.	Uniki	083
XXVI.	Przenigdy nam nie umkniecie	087
XXVII.	Kraksa	090
XXVIII.	Lodowa jaskinia	093
XXIX.	Fauna	097
XXX.	Z powrotem na ziemi	099
	Nota o autorze	105